



przebiegi

62.

1699

PLONY WOJNY.

BIBLIOTEKA  
URZĘDN: TOW: WZAJ: UR: w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.



3148136

PAWEŁ BOURGET.

---

1599

# PLONY WOJNY

---

~~BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW: ...  
SER...~~

KRAKÓW.  
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”.  
1916.

sell.

A-18208



1000173361

*Literat. 13 d*

**BIBLIOTEKA**  
**UMCS**  
**BIAŁYM**

Kr. 1160/56/1629

NAKŁADEM WYDAWCY.

## I.

Chciałbym spisywać te wspomnienia na świeżo, zanim się zetrą w mej pamięci, a co prawda niewiele mam na to czasu w tej mojej klinice przy ul. św. Wilhelma, przetworzonej obecnie na ambulans. Mam tylko 40 łóżek, ale za to dobrze obsadzonych. Co za rany! I na to jest nas dwóch lekarzy. Skoro mówię dwóch, to wliczam w to chirurga, który przychodzi zrana do swych operacyj, a popołudniu wpada na chwilę, spojrzy na chorych i odchodzi, podczas gdy ja siedzę tu wciąż z moim asystentem, słuchaczem z drugiego roku. Biedaczysko ma wadę serca i z tego powodu zwolniono go od służby czynnej, a przytem taki jest niewprawny, że co najwyżej można mu powierzyć jakie wstrzyknięcie międzysłne. I żyję już tak dziewięć miesięcy: sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień.

Widzę zda się jeszcze ów pogodny wieczór — dziwnie bo pogodne były wieczory w owym tra-

gicznym 1914 roku, jakby dla ironii — ów wieczór, w którym prosiłem, by mnie wyprawiono na front, mimo mego kalectwa. Przyjechałem do dawnego mego profesora Michała Ortegue, który miał poprzeć moje podanie.

— To niemożliwe, drogi mój Marsal — rzekł do mnie. — Nie chcą cię wziąć na front, ale ja tu obmyśliłem dla ciebie coś innego. Zmieniłam właśnie moją klinikę na szpital wojskowy. Byłeś przecie moim asystentem w Beaugeu, a dziś potrzeba mi pewnego pomocnika. Sprzeniewierzyłeś się wprawdzie od tego czasu chirurgii, ale ona ci to wybacza. Cóż, zostajesz u mnie? Rzecz ułożona.

Dla każdego z nas, który miał sposobność pracować u Ortegua, człowiek ten, o tak wybitnej indywidualności pozostawał raz na zawsze zwierzchnikiem. Rozkazy jego nie podlegały dyskusji. Zrozumiałem więc, że na czas wojny pozostać muszę przy nim w tym starym ślicznym domu tak paradoksalnie przez niego przystosowanym do użytku lekarskiej specjalności.

Ortegue pysznił się zawsze z posiadania tego wspaniałego domu, wzniesionego w 1610 r. przez architekta Daniela Marot, dla pierwszego księcia Colombieres. Lubił też wspominać starą świetność gmachu i wyliczać jego dawnych mieszkańców, owego księcia Colombieres, jakąś prawnuczkę wielkiego Kondeusza, następnie pewne-

go bankiera, który był synem balwierza i dorobił się fortuny, posługując się systemem Lawa. Za rewolucyi stary dom książęcy obrócony został na więzienie, za cesarstwa służył za mieszkanie jednemu z marszałków Francyi, za monarchii lipcowej mieściła się w nim jakaś ambasada, a następnie za drugiego cesarstwa jeden z senatorów. Niejeden cichy dramat rozegrać się musiał w ciągu 225 lat w obrębie tych murów, otoczonych ogrodem, którego stare drzewa puszczają właśnie pączki, gotując się do nowej wiosny.

Drzewa te zieleńły się jeszcze w sierpniu: potem patrzyłem na liście ich zwiędłe, pożółkłe, opadłe; dziś znowu odrastają. Ileż to oczu patrzyło na te same drzewa w godzinach troski, zdumionych może kontrastem tej cichej i równoważonej pracy przyrody, z bólem i szaleństwem ludzkich przejść życiowych. Czemu jednak były tragedye, w które zamieszani byli dawni mieszkańcy tego domu wobec straszliwego kataklizmu, jaki dziś przechodzimy, którego ponure ślady dostrzegam tu na każdym kroku, nawet w tym ogrodzie wiosennym, gdzie błądzą ranni i kalecy, wygrzewając się na słońcu.

Wystarczy mi zresztą wyjść na korytarz i drzwi otworzyć, by ujrzeć na białych poduszkach szereg twarzy bladych, nabrzmiałych, bez kropli krwi, o ściągniętych nozdrzach i kurczowo za-

BIBLIOTEKA  
URZĘDNI. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE  
SEKOYA IV.



ciętych wargach. To nasi ranni, a przed nimi rozłożone na kołdrach dzienniki, których depe-sze stwierdzają najsrozsze nasze klęski. „Nowe bombardowanie Reims, zacięte walki pod Dix-munde, statek zatopiony przez łódź podwodną“.

Ileż to razy w ciągu ubiegłej jesieni, a zwłaszcza zimy, drżałem z bólu i wstydu na myśl, że słucham tylko zdaleka odgłosów wojny, nie biorąc w niej bezpośredniego udziału. Kalectwo moje przygnębiało mnie, choć nie moja to wina, że się urodziłem przed 39-ma laty z krótszą nogą. To też gdy Zeppelin-y poczęły rzucać bomby na Paryż, doznałem poprzez grozę jakby rodzaju ulgi. Niebezpieczeństwo było wprawdzie niezna-czne, ale zawsze bliskie. Słyszając huk bomby, poddawałem się złudzeniu, że należę do bitwy, że doświadczam choć przez parę sekund tych wrażeń, jakimi żyją żołnierze nasi przez całe długie dni.

Próbowałem potem rozważyć rzecz krytycznie. Nazywam żołnierzy bohaterami, dlaczego? Ponieważ niosą mężnie życie w ofierze. Komu? Po-czuciu obowiązku. Cóż to jest obowiązek? Po-słuszeństwo pewnemu prawu, a prawo, to dla uczonego kolejne następstwa i związek przyczy-nowy dwóch faktów.

Wiem już, coby powiedział Ortegue, gdyby żył jeszcze. Jego definicya bohaterstwa byłaby

bardzo prosta. Stawiamy zasadę niebezpieczeństwa, a w związku z nią pewną grupę faktów, jako to: temperament, dziedziczność, wychowanie. Pewna grupa temperamentów i dziedziczności wydziela z siebie męstwo tak niezbędnie, jak żołądek sole gastryczne, a wątroba żółć; inne znów wychowanie i temperament, wywołują nieodrowne tchórzostwo.

Takby rozumował Ortegue, a ja nie śmiałybym mu przeczyć, choć w duszy miałbym przekonanie, że zjawiska psychiczne są bardziej skomplikowane i nie znoszą podobnych porównań. Nie wydajemy sądu o żołądku lub wątrobie za wydzielanie tych lub owych soków, a żołnierza sądzimy, jako bohatera lub tchórze; nie stwierdzamy faktu, ale go oceniamy. Czujemy podziw dla bohatera a pogardzamy tchórzem. Dlaczego? bo czyny ich nie są następstwem przyczynowego i stałego związku faktów lecz spełnieniem obowiązku — i w tem właśnie tkwi różnica między prawami, rządzącymi naszą energią duchową a fizyologiczną. Ale i tak zwany obowiązek ma swoje granice, zakreślone możliwością. Żaden przykład wódz nie może nakazać żołnierzom swoim, by chodzili po morzu. Dlaczego? bo nie potrafią tego dokazać, podobnie jak ja nie mogłem zostać doktorem na froncie, bo jestem kaleką.

## II.

I gdzież to doniosły mnie rozumowania? Mnie, który jestem lekarzem i żyję w tak bezwzględnie lekarskim środowisku. A przecież nawiedziło mnie pragnienie rozwiązania zagadnień moralnych i stało się to jakoby rysem, górującym we mnie w czasie tej wojny. Dlatego właśnie wziąłem do rąk pióro i spisywać zacząłem te wspomnienia, bo chcę ugrupować metodycznie pewną seryę zdarzeń, których byłem tu na miejscu świadkiem. Na razie tak się czułem oszołomiony dziwnem ich następstwem, że nie byłem w stanie spojrzeć na nie, że tak rzeknę, intelektualnie. Dziś z pewnej odległości zaczynam rozumieć abstrakcyjnie ich znaczenia i wartość, jaką stanowić mogą jako argument dla pewnej tezy, czy raczej hipotezy.

Mistrz mój, Ortegue, bohater tych scen tragicznych, zwykł był powtarzać nam przy stole operacyjnym w chwili, gdyśmy zaczynali usypiać chorego: „Pamiętajcie, że każdy pacjent jest dla lekarza nowym eksperymentem, podanym mu przez samą przyrodę“. Otóż i dla mnie wypadki, które chcę opisać, byłyby eksperymentem i tematem do zbierania spostrzeżeń. „Zbierajcie fakta i tylko fakta“, powtarzał nam Ortegue. Swoją drogą miał słuszność Magendie, że uczony jest łachmaniarzem, który włóczy się z workiem na plecach i zakrzywionem haczykiem w ręku po

wielkiej dziedzinie wiedzy, zbierając same tylko strzępy“. To prawda, chociaż gdyby mój biedny mistrz powstał ze swego wspaniałego grobowca, który sam sobie przysposobił w Passy, to porównanie to nie byłoby mu do smaku, jak również i szereg spostrzeżeń, które tu piszę.

Fakta bowiem, jakie zebrałem, pochodzą z dziedziny psychologii religijnej, której ten bałwochwalczy czciciel faktów nie uznawał nigdy za istniejący fakt. Na wspomnienie o zagadnieniach religijnych wybuchał zazwyczaj donośnym, wesołym śmiechem i niepodobna było wydobyć z niego nic poza formułką sparodyowaną z komedyi Moliera *Chory z urojenia*, „*prima purgare ensuite philosophari*“.

Oczyścić się? Z czego? Naturalnie z wszelkiej wiary w pozaziemskie życie, z niezdrowego mistycyzmu, wszczepionego w nas atawistycznie, który każe nam dopatrywać się w zjawiskach przyrody znaków myśli, woli, miłości. Nie uznawał stanowczo pierwiastku nadprzyrodzonego we wszechświecie, a tem mniej w człowieku. Myśląc tak, spełniał zasadę Magendiego, który żąda, by umysł podlegał oczywistości faktu, a czyniąc tak nie wiedział, że dogmatyzuje w kierunku przeciwnym, on, zażarty wróg wszelkich dogmatów, że przyjmie za fakt tylko zjawiska z góry tendencyjnie wybrakowane przez ortodoksyę wiedzy, niemniej ciasną i stroną. Zwracałem mu

niekiedy uwagę, że zjawiska religijne są również faktem, z którym się wiedza doświadczalnie powinna liczyć. „*Prima purgare*, — odpowiadał mi niezmiennie. Świat nadprzyrodzony nie istnieje, a więc niepodobna jest doszukiwać się w nim świadomej myśli. Gdyby kto twierdził, że istnieje zwierzę, które chodzi, porusza się i czuje bez systemu nerwowego, nie potrzebowalibyśmy stwierdzać tego faktu, wiedząc z góry, że jest zmyśleniem“.

Niezliczona ilość uczonych rozumuje tak samo, jak Ortegue, a i ja rozumowałem podobnie, dopóki nie stanąłem twarzą w twarz wobec nowej rzeczywistości. Od tego czasu, wyznaję, bezwzględna negacya zjawisk nadprzyrodzonych lub ściślej mówiąc duchowych, zdaje mi się być czemś zbyt sumarycznym. Ostatecznie wiedza jest tylko hipotezą, której wartość sprawdzamy przez kontrolę faktów. Ten sam Ortegue powtarzał zawsze, że w medycynie teoria najlogiczniejsza musi być odrzuconą, skoro tylko zaprzeczy jej doświadczenie kliniczne, i na odwrót, najśmielsza doktryna musi być uznana, gdy doświadczenie kliniczne ją potwierdzi. Skoro więc niektóre pojęcia, wprost przeciwne ortodoksji wiedzy, dają się przecie zastosować w życiu niektórych ludzi podczas gdy inne, zgodne z ową ortodoksyą nie nadają się wcale do takiego przystosowania, to dowodzi to chyba, że i ta prawowierność naukowa powinna uleść rewizji.

Moje też spostrzeżenia obecne mają na celu zdobycie takiego dowodu dla pewnego wypadku bardzo pospolitego w ogólnem założeniu, lecz bardzo osobistego w szczegółach. Moje sumienie uczonego domaga się odemnie, abym skontrolował dokonany eksperyment dla wydobycia zeń wewnętrznej prawdy, jeśli taką zawiera. Chciałbym innemi słowy, rozpatrzyć się jasno we własnych myślach.

Gdyby Ortegue przeczytać mógł te słowa, nie omieszkałby powiedzieć: „Ależ mój drogi, czytam aż nazbyt jasno w twoich myślach. Ojciec twój wykładał filozofię w Montpellier, a był to metafizyk, poniekąd i witalista; matka twoja była katoliczką praktykującą. Bierzesz więc za zagadnienie psychiczne, postulat swej dziedziczności“. Mógłbym na to odpowiedzieć, że każdy uczony ma również jako narzędzie wiedzy mózg, jaki stworzyła mu jego dziedziczność. — W tem więc rzecz, aby się przekonać, czy wynik zdobyty tem narzędziem ma jakąś wartość sam w sobie? Chciałbym też odróżnić, co w tej całej historii było osobistem, a co pozostaje w niej trwałem dla wszystkich świadków.

### III.

Przystąpmy więc do faktów, to jest do okoliczności, wśród jakich prywatna klinika Ortegue'a przerobioną została na szpital wojskowy.

Stało się to 1 sierpnia, współcześnie z ogłoszeniem mobilizacji. Za ledwie ogłoszenia te ukazały się na ulicach, Ortegue udał się do dyrektora kuźnic i warsztatów okrętowych z La Rochelle, potentata przemysłu, którego syna uratował niegdyś dokonaniem bezprzykładnie śmiałej i trudnej trepanacji. Dyrektor ów, nazwiskiem Moreau-Jamoille, zgodził się też natychmiast na poniesienie kosztów utrzymania kliniki na czas wojny, w imieniu towarzystwa metalurgicznego, którego jest przewodniczącym. Otrzymałszy to przyrzeczenie, Ortegue udał się do ministerstwa wojny, gdzie wyrobił sobie złączenie nowego ambulansu ze szpitalem Val de Grace, gdzie rządził bez ograniczeń. Piątego sierpnia przystąpiliśmy do pierwszych niezbędnych zmian.

Ortegue wziął się do tego z tą rzutką ścisłością, która cechowała wszystkie jego najdrobniejsze i najważniejsze zabiegi. To był dopiero chirurg, w pełnym i doskonałym znaczeniu tego słowa, o ile wywieziemy je z greckiego, złożonego z dwóch wyrazów ręka i dzieło. Bo też u niego myśl i czyn, to było jedno. Nie widziałem u nikogo tak bezpośredniego zlania się z dokonywaną czynnością. Przy operacji szczupła twarz jego, obramowana gazą, wyrażała tak intensywne skupienie, że zdumiewać musiała tem oddaniem się, tym niejako darem całej istoty na rzecz chwili. Szczupły, drobny, o cienkich ko-

ściach, bardzo czarnych włosach i jasno-brunatnych źrenicach, o dziwnie gorącym spojrzeniu, zdradzał powierzchownością swą jakiś atawizm cudzoziemski, niemal egzotyczny. A przecież był tylko synem notaryusza z Bajonny. Prawda, że z tamtej strony Pireneów istnieje rodzina tegoż nazwiska, której jeden członek był słynnym botanikiem i nadał nawet imię swoje pewnej roślinie z rodziny gwoździkowatych.

— Nie pragnę dla siebie innego życia po za grobem — mawiał Ortegue, wspominając o tym swoim imienniku. — Związać imię swoje z jakimś odkryciem naukowym mniejszem czy większem, to prawdziwa nieśmiertelność, która trwa póki żyć będzie wiedza.

Prócz tego ukochania wiedzy cechowało go namiętne, można powiedzieć, rozmiłowanie się w przepychu. Ten drobny człowiek o suchym profilu czarodzieja arabskiego z tysiąca i jednej nocy, umiał sobie stworzyć odpowiednie ramy. Mieszkanie jego na placu Stanów Zjednoczonych obfitowało w przedmioty rzadkie i cenne, meble, obrazy, makaty, zwierciadła i brzozy. Posiadał kilkadziesiąt płócien pierwszorzędnej wartości artystycznej, a wiedziony dziedzicznym instynktem, wybierał je z pośród szkół hiszpańskich. Pacjenci, oczekujący w jego salonach, odczytywać mogli u dołu staroświeckich drogocennych ram, w które oprawne były te obrazy, obco brzmiące na-



zwiska, jak Jorge Ingles, Dalmau, Jacomart Baço. Z późniejszych mistrzów posiadał Ortegue Zurbarana św. Urszulę w żółto różowej sukni, św. Franciszka Murilla, szkic jeźdźca Velasqueza i Tauromachię Goji. Po zatem oszołomiająca obfitość kwiatów i cały wogóle poziom życia niesłychanie wystawny. Służba w liberyi, bogate srebra, trzy automobile, łoża w Teatrze francuskim i w operze nie tylko na premiery, ale i na próby generalne.

Czarodziej arabski umiał przystosować się do paryskiego życia. Z tem wszystkiem psychicznie przypominał raczej Fausta, spragnionego wszelkich rozkoszy ziemskich i wyczerpującego je do dna. Dla nas, uczni jego, to podwójne jego stanowisko wywierało odrębny urok. Księżę wiedzy a razem księżę przepychu światowego; posiadał jednocześnie rozum i bogactwo, zaszczyty i sławę; był też dla nas żywym wcieleniem powodzenia. W czterdziestu latach był już profesorem, zdobywszy wprzód wiele konkursów. Do czasu przytem swojej strasznej choroby wyglądał tak młodo, że nikogo to nie zdziwiło, gdy licząc lat 44 wziął za żonę dwudziestoletnią dziewczynę niezwykle piękną. Dziewczyna ta nosiła również nazwisko słynne i dobrze zasłużone wiedzy — jako córka doktora Malfan-Trevis, ulubionego ucznia Claude-Bernarda.

Skoro młoda pani Ortegue ukazała się wraz

z profesorem w teatrze, na wystawie lub na zgromadzeniu publicznem, wszystkie spojrzenia biegly ku niej z podziwem, który wzbudza dumę w sercu starszego o wiele męża, dopóki duma ta nie przerodzi się w uczucie zazdrości.

#### IV.

Spróbuję teraz uprzytomnić sobie postać tej kobiety taką, jaką była w chwilach, gdy jako narieczona mego mistrza dawała mu tyle szczęścia. Do dziś pamiętam, jaką radością brzmiał głos jego, gdy oznajmił mi swe zaręczyny. Trzeba wiedzieć, że dokoła osoby profesora wytworzyła się legenda, przypisująca mu niezliczone powodzenia u kobiet, a sława ta dziwnie wydała mi się niezgodną z akcentem naiwnego niemal zapału, z jakim mówił o swem postanowieniu.

— Tak! mój drogi Marsal, żenię się i znalazłem ideał, rozumiesz? ideał. Przekonasz się sam, skoro zobaczysz Kasię. Nazywam ją tak, bo znam ją od dziecka, ot taką, tylko że odkryłem ją dopiero tej zimy. Co za głupiec był ze mnie, powtarzam sobie czasem, bo przecież mógł mi ją zabrać ktoś inny. Zresztą sam zobaczysz.

Widok panny Malfan-Trevis usprawiedliwiał w zupełności ten zachwyty. Była to wówczas dziewczyna 20-letnia, wysoka i smukła, o cerze matowej i bujnych kasztanowatych włosach, prześwieca-

wykwintna w białym ubraniu pielęgniarki. Wtedy jeszcze zdawaćby się mogło, że nic się nie zmieniło w uczuciach jej dla męża, że po za nim ludzie dla niej nie istnieją. Ani śladu zalotności nie dopatrzyłby nikt w niej w stosunku do asystentów, lekarzy lub młodych oficerów. Miała oczy tylko dla profesora, starając się usilnie spełniać jak najdokładniej jego zlecenia.

W białym fartuchu i w płaskich trzewiczkach bez korków, biegła niezmordowanie po kamiennych schodach z apteki do magazynu, to znów do sali operacyjnej lub gabinetu sterylizacyjnego. Białe jej paluszki, z których zdjęła wszystkie pierścionki, nawet ślubną obrączkę, którą nosiła przypiętą do fartuszka spinką Czerwonego Krzyża, trudziły się nieustannie. Pomagała w odpakowaniu przywiezionych zapasów wody utlenionej, słoików z chloroformem lub też opieczętowanych rurek szklanych, zawierających dreny. Układała w szafach koszule dla ciężko rannych, zwitki bandaży i pakiety z watą. Sprawdzała nadchodzące transporty opatrunków i błyszczących stalowych narzędzi lekarskich. Widocznem było, że styka się z tem wszystkim po raz pierwszy, że Ortegue trzymał ją dotąd zdaleka od tych wszystkich rzeczy, odgradzając niejako murem domowe życie od surowych obowiązków swej specjalności. Nie mniej przeto pani Ortegue oddała się

tym pracom z bezgranicznym zapałem, nie ustępującym gorliwości jej męża.

Nadeszły tymczasem pierwsze wieści o wkroczeniu wojsk niemieckich do Belgii. Szczegóły tchnęły grozą wojny, stojącej już za progiem. Inne pielęgniarki, zaangażowane do naszego szpitala, drżały z obawy. Ona nie. Patrzyła tylko w oczy mężowi, gdy przychodził kontrolować sale, niespokojna, gdy mu się co nie podobało, a był już wówczas bardzo drażliwy i unosił się o lada błahostkę. On, który niegdyś władał tak po mistrzowsku swymi nerwami. Za to, gdy usłyszała z ust jego pochwałę: „Dobrze, bardzo dobrze“ — twarzyczka jej rozpromieniała się radością.

Była to więc chyba miłość, to pragnienie zadowolenia go za wszelką cenę. Skądże więc wtedy już powstało we mnie niejasne przecucie że między tych dwojgiem, którzy, mówiąc nawiasem, nie mieli dzieci, gotuje się cicho tragedia, jeden z tych dramatów uczuciowych, kiełkujących jeszcze w mętnych głębiach podświadomych wrażeń. Może też nie było to przecucie, ale wprost stwierdzenie rzeczywistości. Ortegue, który przed, sześciu laty, w dniu swego ślubu, był jeszcze tak młodym, że budził prawie zazdrość w uczniach i kolegach tą wzajemną miłością pięknej dziewczyny, zmienił się teraz do niepoznania. Pamiętałem go, gdy mówił do mnie po opuszczeniu me-rostwa, gdzie brał ślub cywilny:

— Słuchaj, Marszał! Biorąc ślub kościelny, robię to ustępstwo dla jej matki. Pierwszy raz w życiu sprzeniewierzam się na tym punkcie zasadom moim i wierzę mi, że się sam należycie za to oceniam. Nie chcę też, aby ktoś z prawdziwych moich przyjaciół, do których i ciebie zaliczam, widział mnie w kościele. Proszę cię, nie idź tam.

Człowiek, który mówił do mnie te słowa, czuł jeszcze jak młodzieniec i był młodym; dziś stał się prawie starcem. Stwierdziłem z pewnem przeżeniem zmiany, jakie zaszły w jego rysach. Wychudł, policzki miał zapadłe, twarz, z natury smagła, bardziej jeszcze pożółkła. Wiedziałem, że przeszedł w kwietniu gorączkę, po której wystąpiła żółtaczka.

Te zaburzenia wątroby zostawiły po sobie żółtawe ślady, które dostrzegałem u niego na dłoniach i przegubach. Włosy i broda posiwiwały mu znacznie. Mimo to tyle było w nim jeszcze życia i temperamentu, a przytem tak byłem do niego przywiązany, że nie chciałem spojrzeć w oczy groźnej prawdy, wypisanej na twarzy jego zbyt wyraźnymi głoskami dla każdego choć trochę doświadczonego lekarza. Wmawiałem w siebie, że te objawy wątrobiane były czystym przypadkiem; wychudzenie jego tłómaczyłem przepracowaniem, to jest przypisywałem je przyczynie, służącej, jak wiadomo, za wygodny parawan dla wszelkiej ignorancyi.

Chwyciłem się jednak tej wymówki, a dla usprawiedliwienia jej przed sobą odtwarzałem w myśli cały program dnia tego niez mordowanego pracownika. Zrana, służba w Salpêtrière, gdzie miał cały szereg sal. Po śniadaniu, spożytem na prędcie, szereg operacyj we własnym szpitalu, gdy tymczasem tłumy chorych tłoczyły się w poczekalni. Po załatwieniu ich wizyty na mieście, wieczorem teatr, życie światowe, a prócz tego wycieczki zamiejscowe, dalekie nieraz podróże za granicę, gdzie wzywano go w ciężkich wypadkach. Prócz tego wykłady i przygotowania do wykładów. Nie! Cudem było po prostu, że Ortegue wytrzymał to dotychczas; żelazny jego organizm wypłacał mu się dotąd z lichwą, podtrzyma go więc i nadal.

Mimo to nie mogłem zamykać oczu na uderzający kontrast wzrastającej starości męża i cudownie rozkwitającej piękności jego młodej żony. Kontrast ten rysował się aż nazbyt ostro w surowem, jasnem świetle szpitalnych sal naszego ambulansu. Ona z czołem gładkiem, jak marmur, z świeżą cerą i szkarłatnymi ustami, które uśmiech rozchyłał tylko, nie żłobiąc najlżejszej zmarszczki w zaokrąglonych płaszczynach cudnego owalu, wносиła w te białe mury świeży wdzięk żywego kwiatu; on wyglądał przy niej na żyjącą ruinę człowieka. Czy małżonkowie zdawali sobie sprawę, że sama obecność ich obok siebie podsuwać

musi ludziom niezyczliwym ironiczne uwagi, a przyjaciółom, jak ja, smutne spostrzeżenia?

Ona z pewnością nie przypuszczała nic podobnego. Z największą prostotą traktowała profesora prawie jak córka ojca, troszcząc się o jego zdrowie, zamykając okna, by mu przeciąg nie zaszkodził, to zmuszając go, by spoczął. Ale on! Przypominam sobie teraz dokładnie niektóre spojrzenia jego, gdy patrzył na żonę. Wyczytać w nich można było coś nakształt rozpacz, a czasem podejrzliwość, graniczącą z okrucieństwem. Jakich uczuć doznawać musiał ten człowiek, stojący do niedawna jeszcze u zenitu sił a dziś tak nagle zestarzały, patrząc na rozkwitającą w pełnym przepychu urodę tej cudnej istoty, która do niego należała. Tu, na tem tle szpitalnem, gdzie lada dzień oczekiwano pierwszego transportu rannych, rysował się już dramat osobisty tych dwojga ludzi na tle wielkiego dramatu dziejowego.

Jak już wspomniałem, niejasne przecucie ostrzegło mię o nadchodzącej katastrofie. Każdy chyba zna ten stan dziwny, gdy w pewnych godzinach budzi się w nas poczucie rzeczywistości, silniejsze od działania zmysłów i od samej świadomości rozumu, tem dotkliwsze, że się go nazwać nie umie. Jestże to obcowanie duszy z owym światem, którego nie bierze w rachubę ortodoksyjna wiedza. Lecz cóż ona bierze w rachubę? I jak ubogą jest, gdy się ją mierzy miarą istotnej

rzeczywistości. Nie miały też po stokroć racji ten, który wyrzekł: „Jest wiele rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom“.

## VL

A teraz przychodzimy do momentu, który stał się dla mnie prawdziwym wstępem do przeczuwanej tragedii. Rozwijać się ona zaczęła wspólnie z wielką tragedią wojny, a równoległość tych obu tragedii nie jest bez znaczenia. Dziś dopiero rozumiem głębszą naukę, jaką wyciągnąć stąd można, ze względu na zbiorową próbę, przez jaką przechodzimy w tej chwili jeszcze, gdy to piszę. Ale wróćmy do rzeczy.

Byliśmy w połowie sierpnia, to znaczy, że upłynęło już dziesięć dni od wypowiedzenia wojny. Ustawiliśmy 15 łóżek, niezbędnych dla dopełnienia liczby 40, jakiej domagało się Val de Grâce. Żyliśmy w nerwowem oczekiwaniu dziejowej katastrofy, a godziny zdawały się nam jednocześnie za długie i za krótkie. Dnie bowiem oczekiwania dłużą się zwykle bez końca, a gdy nadejdzie spodziewany moment, dziwimy się wówczas, że spadł tak nagle. Przeszliśmy najpierw gorączkę nadziei, której, przyznać to muszę, jeden Ortegue nie podzielał z nami. Ukrywał zresztą przed innymi swój pesymizm, ze mną jednak mówił otwarcie. Jeździłem z nim



niegdyś na kongres chirurgów do Berlina, przypomniał mi więc teraz nasze ówczesne wrażenia.

— Pamiętasz, mówił do mnie, żeśmy powrócili wtedy przerażeni niemal tem, cośmy tam widzieli. Wyprzedzili nas conajmniej o dziesięć lat w przygotowaniach. Rozumiesz sam, jaki z tego wniosek.

— A czy masz pan za nic energię moralną? — zauważyłem na to.

— Pomyśl sam — odparł — na co się zda ta energia przeciw naprzykład samochodom.

Po chwili jednak smagła twarz jego wypogodziła się i rzekł wzruszając ramionami.

— Dajmy zresztą pokój tej paplaninie. Obowiązkiem lekarza jest zarówno znać prawdę, jak ukrywać ją przed chorym.

Łatwiej mu jednak przyszło wygłosić ten program, niż go wykonać. Napróżno Ortegue zmuszał się do obiektywnej oceny; w duszy był zbyt gorącym Francuzem, być może podświadomie, by oczekiwać spokojnie przebiegu wypadków. On, który dawniej nie zaglądał prawie do gazet, kupował je teraz tuzinami, przeglądał je, czytał, a potem rzucał zniechęcony.

— Nasze gazety wiedzą tyle — powtarzał z rozdrażnieniem, że mogłyby śmiało wychodzić na białą, a wówczas i cenzura byłaby zbyt uczynna. Ale czekaj-no — rzekł do mnie pewnego dnia — wkrótce będziemy mieć autentyczne wiadomości z frontu.

Przyjedzie tu Le Gallic, wiesz, ten kuzyn mojej żony, któregoś spotykał u mnie. Jako inteligencya, to mierność, ale żołnierz z niego skończony. Nie powie wprawdzie nic zbytecznego, ale zaraz po minie jego poznamy, jak tam sprawy stoją.

Przypomniałem sobie wtedy, że widywałem przy stole u Ortegua młodzieniaszka w mundurze kadeta z Saint Cyr, a zjawisko to było dość dziwne w domu antymilitarysty, jakim był profesor. Chłopak był nieśmiały; nie słyszałem prawie jego głosu. Przypadkowo tylko dowiedziałem się o pokrewieństwie jego z panią Ortegue z nieznaczej uwagi, rzuconej przez jednego z rywali słynnego chirurga, który ulżył swej zazdrości frazesem:

— A co! Widzieliście kuzynka?

— Przecież to całkiem naturalne — odpowiedziało mu na to. — Matka jego była z domu Ferlicot, tak samo jak matka pani Ortegue; znam ich wybornie, bo są z Tréguier, a to moja okolica.

— Co do mnie, gdybym popełnił takie szaleństwo, jak mój genialny przyjaciel, żeniąc się z kobietą o 25 lat młodszą, nie przyjmowałbym u siebie kuzynka, bo jak mówi piosneczka — pamiętasz?

— Czy pamiętam? Czuję się znów młodym, gdy ją nucę:

Było nas trzy, dobre dziewczątka,  
Lubiące gwar i śmiechy,  
A każda z nas miała kuzynka  
I wiele z nim uciechy.

Pod wpływem tych złośliwych insynuacyj, zwróciłem uwagę na stosunek do siebie dwojga kuzynów i zauważyłem tylko, że mimo braterskiej poufałości, bo mówili sobie ty, młody kadet traktuje panią Ortegue z wielkim szacunkiem. Sam Ortegue był dla chłopaka bardzo serdeczny, i to całkiem szczerze, bo nie był to człowiek, któryby się krępował w okazywaniu sympatyj lub antypatyj.

## VII.

Znając ten rys charakteru Ortegua, omal nie wpadłem na fałszywy trop, będąc obecnym przy spotkaniu jego z kuzynem żony. Młody oficer przyjechał do naszego szpitala i wszedł do biura w chwili, gdy Ortegue unosił się nad miarę gniewem prawie chorobliwym z powodu rachunku zbyt wygórowanego, jaki mu podano wbrew ustnej umowie. Gniew ten ujawnił się w geście, jakim przywitał krewnego i w pierwszym zdaniu, jakie do niego przemówił.

— To ty, Erneście! Cóż idzie wam gładko, ta wasza wojna. Wyglądasz na uosobienie sukcesu.

Komplement to był dość dwuznaczny, bo mimo, że młody porucznik był istotnie uosobieniem siły, a nawet radości życia, to przecież siła ta i radość tkwiły całkiem w czem innem, niż w zewnętrznyj jego wyglądzie. Mundur już przymię-

ty, cera opalona, pewne napięcie w ruchach i gestach, zdradzały w nim czynnego robotnika wojny, który był w ogniu i wraca w ogień. Jego jasne bretońskie źrenice, podobne barwą do szaro niebieskich oczu Katarzyny, płonęły cichym ogniem; ale nie był to gorączkowy blask radości życia, lecz płomień ofiarny opanowanej woli.

Wogóle rysy twarzy dawniej niewyrobione młodego kadeta, uległy bardzo korzystnej zmianie; wszystko w nich zmęźniało i ustaliło się, nadając fizyognomii jego charakter — jedności i prostoty, bo nie umiem inaczej tego nazwać. Le Gallic miał czoło szerokie, nos równy, suchy i kościsty, oczy jakby wydłużone pod prostemi brwiami, usta poważne i stanowcze. Średniego wzrostu, ale doskonale zbudowany, przedstawiał idealną sylwetkę wojskowego, a przytem było w nim coś, co wzbudzało jakby poczucie bezpieczeństwa.

— Bo widzisz, kuzynie — odrzekł na cierpką uwagę Ortegua — jestem naprawdę tak szczęśliwy po przeżyciu tych kilku ostatnich dni. Wierście mi! Nie zna naszych żołnierzy ten, kto ich w ogień nie prowadził, a ja byłem już z nimi w ogniu.

— Co za radość słyszeć od ciebie takie słowa! — zawołała pani Ortegue. — Widzisz, widzisz mój drogi! — dodała, zwracając się do profesora — żeś nie miał powodu być pesymistą.

— Pesymistą? Ty, kuzynie, pesymistą? — zapytał oficer. — To tak do ciebie niepodobne. Żałuję, że nie mogłeś widzieć naszego wymarszu z Riom. Przed odmarszem prawie cały pułk spowiadał się i przystępował do Komunii. A wiecie, kto odprawiał mszę? Kolega nasz, ksiądz w mundurze, na który włożył albę. Ty nie wierzysz w cuda, kuzynie, a to przecie cud, że ci księża z tornistrem na plecach, którzy mieli być dowodem upadku religii u nas, stali się właśnie żywą propagandą religii w armii. Pułkownik nasz, gorący katolik, rzekł do żołnierzy: „Słuchajcie, chłopcy, kto chce uzyskać rozgrzeszenie, niech uklęknie“ — i co powiesz, uklękli wszyscy, co do jednego, gdy ksiądz ich rozgrzeszał. Nie myśl, kuzynie, że chcę cię nawrócić, zmienić poglądy twoje; wiesz dobrze, że nie pozwalam sobie nigdy poruszać z tobą tego tematu, ale wiem i to, że wojna cię interesuje, że zbierasz o niej szczegóły. Podaję ci więc fakt, którego byłem naocznym świadkiem. Zanotuj go, kuzynie, ty, co tak eenisz fakty. Zwyciężymy, obaczysz, jeśli Bóg będzie z nami...

Ortegue wysłuchał do końca, nie przerywając słowem; zagryzał tylko wąsy, co zdarzało mu się zawsze, ilekroć był podrażniony, gdy naprzykład chory, którego operował zrana, miał po południu gorączkę. Na ostatnie jednak twierdzenie

Le Gallica przeciął nagle dyskusyę tonem zimnym, jak ostrze noża.

— Ten zwycięży, mój przyjacielu, kto będzie miał lepsze armaty, lepsze karabiny, lepszych wodzów i lepszych żołnierzy.

Le Gallic chciał coś odpowiedzieć, ale Ortegue nie dopuścił go do słowa, cytując z sardonicznym uśmiechem dwuwiersz, zapamiętany zapewne z czasów studenckich, bo potem nie bawił się już w czytanie poezyi.

A teraz, mój Mardoszu, bierzmy temat inny,  
Bo mózg twój jest, jak widzę, z różnej niż mój gliny.

— Katarzyno, — dodał, zwracając się do żony — proszę cię, skończ już sprawę z tym rachunkiem. Marszał podyktuje ci list, który odbijesz na maszynie w dwóch egzemplarzach. Kuzynka twoja, Erneście, nauczyła się przygrywać na tym kupieckim instrumencie. Mianowałem ją sekretarzem szpitala na czas wojny. Jak widzisz, odbywamy tu także służbę i mogę cię zapewnić, że będzie to sumienna służba, mimo że wszystko jest u nas świeckie, począwszy od dyrektora do pielęgniarki. Chodź, pokażę ci nasze instalacje. Obaczysz, że są niezłe.

Wziął pod ramię oficera i pociągnął go za sobą, a z korytarza doszedł nas jeszcze jego głos.

— Patrz, na drzwiach każdej sali kazałem wymalować kwiat, od którego bierze nazwę: sala

róż, sala gwoździków, sala bżów. Czy to nie stokroć estetyczniej, niż nazywać je od imion tych waszych świętych, jak ów Wawrzyniec, pieczony na ruszcie lub inny męczennik?

### VIII.

Pani Ortegue słuchała niewątpliwie tego wystąpienia z równym jak ja niesmakiem. Te trywialne zaczepki nie licowały z powagą i stanowiskiem uczonego tej miary, co Ortegue, a przytem obrażał w ten sposób uczucia człowieka, który co tylko bił się mężnie za kraj i miał prawo domagać się, by szanowano jego przekonania. Podrażnienie Ortegua zresztą nie pochodziło wcale z powodu mistycznego wyznania wiary, wygłoszonego przed chwilą przez oficera. Uczony tego typu, doszedłszy do absolutnej negacyi przez laboratoryum i teatr anatomiczny, nie oburza się na wierzących, stawiając ich na równi z dziećmi lub maniakami. Rozdrażniła go poprostu sama obecność młodego wojskowego. Pani Ortegue była także bardzo wzruszoną. Widziałem, dyktując jej list, że palce jej drżą na klawiszach maszyny do pisania, a częste błędy i powtarzania słów świadczyły o jej roztargnieniu. Przemknęło mi przez głowę, że jednak ten młody, piękny, interesujący kuzynek wzbudził w niej żal spóźniony; ale teraz widzę, że byłem w błędzie, a przynajmniej

ona sobie jeszcze z tego nie zdawała sprawy, bo wysuwając z pod klawiatury zapisany arkusz, rzekła całkiem naturalnym tonem:

— Michał nie powinien postępować w ten sposób z moim kuzynem. Widzę, że i pan to samo myślisz, panie Marsal. A przecież wiem, że mąż mój jest szczerze przywiązany do Ernesta, tylko od pewnego czasu drażni go byle co, na przykład drobiazg taki, jak ten rachunek. Dawniej był całkiem innym, teraz zmienił się i to bardzo, ale jest to zmiana czysto fizyczna, nie dotycząca jego strony umysłowej. Dlatego też lękam się o jego zdrowie. Co pan o tem myślisz, panie Marsal?

— Pracuje za dużo — odrzekłem — a przytem ta wojna...

— I ja tak myślałam, ale jednak lękam się, czy to nie co gorszego, czy nie grozi mu jaka choroba. Wychudł znacznie; nie mogę go nakłonić, by się lepiej odżywił. To od czasu tej zółtaczki.

Patrzyła na mnie temi szaremi oczyma z rozszerzonymi źrenicami, w których czytałem teraz pragnienie, a jednocześnie i obawę usłyszenia prawdy. Ten niepokój pani Ortegue wskrzesił własne moje obawy.

— Istotnie, — rzekłem — i ja także lękam się czasem o niego.

— A widzi pan! — zawołała, ściskając ner-



wowo moją rękę. Co to może być? Powiedz pan, mam odwagę wszystko usłyszeć.

— Nie badałem go dotąd, nie umiem więc powiedzieć nic pewnego.

— W takim razie zbadaj go pan i to jak najprędzej. Jutro może. Słyszałam to nieraz od was obu, że dobra dyagnoza, postawiona na czas, może zapobiedz katastrofie.

— Nie mów pani o żadnej katastrofie. Nie należy niepokoić się napróżno.

— Od pana tylko zależy, bym się uspokoiła. Pan chyba sam chcesz wiedzieć, bo pan kochasz go, wiem o tem, dałeś mu pan tyle dowodów. Dla pana także niepewność taka musi być nieznośna.

— O tak; tylko że przy usposobieniu profesora takie badanie...

— Jest bardzo trudne. Zdaję sobie z tego sprawę. W każdym razie spróbujemy.

— Dobrze więc — odrzekłem przekonany — spróbuję.

— I to jak najprędzej, dodała nagląco. Dziś jeszcze. Ja go znam. Dziś przyszedł na niego moment rozprężenia nerwów, mniej się będzie pilnował i powie może prawdę.

— Dobrze pani, chociaż...

Wstrzymała mnie wzrokiem i przechyliwszy główkę, nasłuchiwała w kierunku korytarza, potem, zmieniając nagle ton, rzekła głośno:

— Ależ ja straciłam chyba głowę, patrz pan, ile tu błędów. Piszmy ten list po raz drugi, bo inaczej zasłużymy na wymówkę.

Uśmiech miała na ustach; ale czułam, że pokrywa nim tylko wewnętrzne drżenie. Byłże to niepokój o męża, czy wzruszenie, wywołane przybyciem młodego oficera?

Wejście obu tych ludzi usprawiedliwić mogło oba te przypuszczenia. Ortegue wyglądał dziś gorzej jeszcze niż zwykle, a położyła twarz jego nosiła na sobie wymowne ślady cierpienia fizycznego. Pochylony naprzód górną częścią ciała, trzymał ręce splecione na żołądku, jakby próbował w ten sposób ukoić ból. Mimo to, przystępując do żony, zdobył się na uśmiech.

— Żałuj moja droga, żeś nie widziała zdumienia Ernesta na widok naszego szpitala. Mówi, że nie marzył o podobnych urządzeniach. Powiedziałem mu, że to twoja zasługa. Ty przecie przetworzyłaś do niepoznania moją klinikę w ciągu tych dziesięciu dni.

— To prawda, Katarzyno — potwierdził oficer. Oboje z profesorem urządziliście idealny szpital ambulansowy, a przytem to otoczenie starych drzew, te klomby kwiatów pod każdym oknem... Jedno mam tylko do zarzucenia.

— Cóż takiego? — spytała pani Ortegue.

— Że za dobrze tu będzie umierać — rzekł z powagą Le Gallic.

Ale tu profesor, któremu atak bólu dokuczał widocznie mniej w tej chwili, wyprostował się i rzekł nie mniej poważnie:

— To właśnie moja zasada, aby konający nie cierpiał. Skoro dyagnoza stwierdza zupełną pewność zgonu, przychodzi kolej na morfinę. Nigdy dość starań, by uspić cierpienia chorego, bo i po co mamy cierpieć?

— Za winy nasze — odparł spokojnie Le Gallic. — Trzeba za nie zapłacić. A po namyśle dodał: Lub za winy drugich.

— Za winy nasze, to jeszcze idzie — odrzekł Ortegue. — A potem dodał z goryczą: Nasze winy? Czy prosimy o życie? Jakiem więc prawem ten, który nam je narzucił, żądać ma od nas, byśmy zdawali z niego rachunek, a prócz tego jeszcze za winy drugich. Nie, to byłoby potworne...

— Skoro w życiu wszystko zmierza ku cierpieniu i śmierci, jaki sens miałyby to cierpienie, nie będąc odkupieniem, jaki sens, jaki cel miałyby samo życie?

— Niema też ono żadnego celu — rzekł sucho profesor.

Słowa te, wyrzeczone przez człowieka ciężko chorego, w szpitalu, przygotowanym dla rannych, wobec człowieka, który szedł jutro w ogień, może na śmierć, zabrzmiały dziwnie obcym zgrzytem. Zrozumiał to sam Ortegue i próbował zatrzeć wrażenie.

— Dość tego! — rzekł. — Pogadamy o teologii i filozofii, skoro powrócisz z wojny kapitanem z odznaką legii honorowej. Tymczasem nie gniewaj się na mnie za moje niedowiarstwo, jak ja nie mam ci za złe twych wierzeń. Wiesz dobrze, że na wojnie spełnisz nietylko powinność swą, lecz i nad powinność. Ale widzę, że ci pilno. Bywaj więc zdrów i pamiętaj o nas. Prosimy cię o karty polowe i to jak najwięcej. Kasju, odprowadź go do bramy, a wracając wstąpisz do apteki, gdzie nadszedł właśnie nowy transport. Do widzenia Erneście...

## IX.

Wyszli oboje, ale od progu pani Ortegue odwróciła się do mnie i posłała mi znaczące spojrzenie. Zrozumiałem, że chodzi jej o to, bym wykorzystał to sam na sam z jej mężem i wyba-  
dał go.

Tyle było szczerzej troski w jej spojrzeniu, tyle naturalnej swobody w obejściu z kuzynem, że podejrzenia moje rozwiały się na razie. Ortegue także widocznie ufał im w zupełności, skoro pozwolił im odejść we dwoje i sam ich do tego zachęcał. Później dopiero zrozumiałem utajone znaczenie tej sceny. Le Gallic kochał, kochał głęboko swoją kuzynkę od tak dawna, że czuł się

już panem swych uczuć; wiedział, że się nie zdradzi, tembardziej, że chroniła go od tego jego szczerza i gorąca pobożność. Pani Ortegue przeciwnie nie zdawała sobie sprawy ze swych uczuć, nie wiedziała, że nie kocha już męża miłością, lecz współczuciem, a zbyt była na razie pochłonięta swemi obawami, by dostrzedz uczucia, jakie sama budziła. Ortegue znowu dręczony był już zazdrością; nie była to jednak zazdrość o żonę, lecz raczej o młodość i zdrowie tego kuzyna, urągające zda się jego upadkowi fizycznemu. Serce krwawiło mu się na myśl o porównaniu z tą pełnią sił młodzieńczych, tłumił jednak w sobie bolesną tajemnicę i wstydził się w gruncie swej słabości.

Co do mnie pragnąłem przedewszystkiem spełnić życzenie pani Ortegue, ale nie wiedziałem, jak do tego przystąpić, tak dalece profesor hipnotyzował mnie swoją powagą, która mię zawsze onieśmielała. Tymczasem on przebiegał oczyma list, pisany na maszynie, stwierdzając znaczną w nim ilość błędów.

— Katarzyna miała słusność — rzekł — ten list jest niemożliwy. Gdzie też miała głowę, pisząc go...

Powtarzał jej słowa, co dowodziło, że słuchał rozmowy naszej, stojąc w korytarzu. Twarz jego skrzywiła się boleśnie; doznawał może w tej chwili ostrego uczucia zazdrości na wpół uświado-

mionej. Patrząc na niego zrozumiałem to, ale ruchy jego znamionowały także człowieka, cierpiącego fizycznie. Zauważyłem to i wstrzymać się nie mogłem od pytania:

— Pan musisz być cierpiący, drogi mistrzu?

— Dlaczego? — spytał — prostując się właściwym sobie hardym ruchem.

— Tak mi się zdawało — rzekłem niepewnie, ale wnet potem spaliłem mosty za sobą, mówiąc: zauważyłem pańskie pochylenie wprzód i ręce kurczowo splecione, więc...

— Zauważyłeś to? — przerwał mi Ortegue, wstając nagle. — Zauważyłeś to więc?

Przeszedł się parę razy, poczem zatrzymał się przedemną i położył mi ręce na ramionach.

— Marszał — rzekł — czy możesz mi przyrzec słowem honoru, że nie powtórzysz tego, co ci powiem, nikomu, a zwłaszcza mojej żonie?

— Nie mogę dawać panu takiego słowa, nie wiedząc, o co chodzi, a jeśli pan masz na myśli stan swego zdrowia...

— Tak właśnie.

— To muszę się panu przyznać, że właśnie pani Ortegue niepokoi się o nie i ona to zleciła mi, bym się do pana zwrócił.

— Więc i ona także... — jęknął Ortegue — poczem ukrył twarz w dłoniach ruchem, wyrażającym prawie rozpacz.

Siedział tak czas jakiś, poczem ukazał twarz

znacznie wypogodzoną i jakby rozświeconą od wnętrza płomieniem woli, tym samym, którym jaśniała zwykle w czasie trudnych i niebezpiecznych operacyj.

— Powiesz jej poprostu, że znalazłeś mnie chorym, ale nie mogłeś zbadać, co mi jest. Widzisz, chodzi tu o to, aby nie wypowiedzieć w jej obecności strasznego słowa. Niech ona nie wie. Przyrzeknij mi na honor, że się nie dowie. Umierający mają prawo żądać, a ja jestem umierający, Marszał.

— To nieprawda, drogi mistrzu! przerwałem mu.

— Owszem, to prawda. Więc przyrzekasz?

— Przyrzekam — wyjąkałem z trudnością.

— Dziękuję, odrzekł z uczuciem widocznej ulgi, a potem oznajmił mi zupełnie spokojnie:

— Żyć będę jeszcze trzy miesiące. Sam zresztą osądzisz...

Tuż obok stała w rogu pokoju szeroka sofa, przeznaczona dla pacjentów. Ortegue położył się na niej, zgiął kolana a ująwszy moją rękę, skierował ją na obolałe miejsce.

— Patrz tu, na kraju wątroby, wyczuwasz pod palcem to małe jądro żółtkowane. A teraz poszukaj woreczka żółciowego. Masz go — uważasz tumor, jaki utworzył się już z żółci, która nie cyrkuluje swobodnie. To znak niemylny, pamiętasz niezawodnie, zdefiniowany przez Pour-

voisier Terrier. Słowem rozszerzenie woreczka, a teraz... No! dość już...

Odsunął rękę swoją, mrużąc powieki.

— Mój Boże! sprawiłem panu ból — zawołałem z zalem.

— Nie ty — odparł z niezmierną słodyczą — lecz włókna nerwowe, objęte nowotworem. — Pokazał mi miejsce na poziomie ostatniego kręgu pacierzowego.

— Tu jest siedlisko bólu, a ból to bywa straszny, nie do zniesienia. Uciszam go trochę tem pochyleniem ciała wprzód, które cię tak uderzyło. Gdy jestem sam, kładę się czasem na sofie, skurczony, jak pies, i ból przechodzi. Oszczędzam ci opisu innych symptomatów; są zbyt upokarzające. Są to wszystko niemyślne znaki, zarówno jak i moja żółtaczka. Dotknięty jestem rakiem żołądka i wątroby, to znaczy, że jestem zgubiony.

Spisuję tylko po krótkce dyagnozę, którą postawił sam z taką jasnością słowa i pewnością spojrzenia, jakich nie miewał nawet na swych wykładach uniwersyteckich, gdzie go nieraz przyjmowano oklaskami. Wyrzekł z takim spokojem wyrok na siebie, jak niegdyś wielki Trousseau, stawiający własną dyagnozę. W ciągu tych kilku minut, praca myśli wzięła w nim górę nad innymi uczuciami, nadając nawet pewną pogodę wyznaniom genialnego chirurga. Podobnie, jak Trousseau, oderwał się na chwilę od własnej osobisto-



ści, by stwierdzić trafność orzeczenia pewnego punktu patologii wewnętrznej.

Nie mogłem, niestety, wątpić o ścisłości jego rozumowań; była to jakby krata, położona na piśmie kluczowym dla uwydatnienia jego ukrytego znaczenia. Nie próbowałem też zaprzeczać mu wobec bezlitośnego bohaterstwa, z jakim umiał sam spojrzeć w twarz prawdzie. Urósł mi tylko w oczach, obleczony jakąś dostojnością, przypominającą starożytnych stoików. Nie rzekłem więc nic, tylko uściśnałem mu rękę, na co odwzajemnił mi się uściskiem, mówiąc krótko: „dziękuję“.

— Rozumiesz teraz, zaczął znowu, dlaczego rozgniewał mnie ten młody Le Gallic swoim bezmyślnym optymizmem. Rozumiem jeszcze, iż sobie wyobraża możliwość istnienia wrażeń psychicznych bez systemu nerwowego. Trudno wymagać czego innego od człowieka, który nie dokonywał sekcji anatomicznych. Ale ten chłopak był przecież na wojnie i wraca do niej. Od kilku dni nasiąkał wrażeniami bitwy. Patrzył na zgruchotane członki, wyprute wnętrzności, mózgi wytryśnięte, patrzył własnymi oczyma na te wszystkie okropności, słyszał jęki, wycia, chrapania konających, i to wszystko niczego go nie nauczyło. Rozumuje i nadal nie na podstawie faktów realnych, których był świadkiem, lecz trzyma się ślepo swych naiwnych teoryj, o dobroci, sprawiedliwości, rządzącej świa-

tem. Ludzie nauki, jak ja lub ty, zdajemy sobie sprawę z tych zjawisk; widzimy w nich po prostu walkę o byt, rozbudzenie atawistyczne instynktów zwierzęcych. Ale on? Weź zresztą dla przykładu choćby mój wypadek. Bóg jest dobry, sprawiedliwy i stworzył mnie, Michała Ortegue, po to tylko, by zgładzić mnie w pełni sił męskich przez okropną chorobę, i to w chwili, gdy jestem pożyteczny, niezbędny prawie. Bo ta wojna przyniesie mnóstwo porażen mózgu i rdzenia pancerowego, wielu ludzi umrze albo utraci rozum, ponieważ zabraknie Michała Ortegue, któryby ich mógł operować. Wiesz przecie, że to moja specjalność, takie operacje. Nie zrobiłem przecie nikomu nic złego, przeciwnie, całe życie ratowałem cierpiących. I to mnie właśnie spotkać musiał ten głupi wypadek z samochodem? Musisz pamiętać, dzienniki go opisywały. Pojechaliśmy z kolegą moim Salvan w okolice Wersalu; pneumatyk pękł, wóz się przewrócił. Salvan i szofer wyszedł cało, a ja dostałem uderzenie w podbrzusze. Miałem naturalnie predyspozycję, no i teraz...

Spokój jego znikł, wzbierał w nim coraz bardziej głuchy bunt. Jeżeli przed chwilą uczuwałem podziw dla jego heroizmu, to teraz widziałem już tylko tragiczną sytuację, spotęgowaną jeszcze okolicznościami. Wojna oto nadeszła już z całą swą okropnością, a ten genialny człowiek, skazany na śmierć, stawał wobec niej bezradny. Żal mi go

było serdecznie, jako człowieka i jako uczonego, odruchowo też uściśniętem powtórnie jego rękę.

— Biedny, biedny mój mistrzu!

Tym razem wyrwał mi rękę niecierpliwym ruchem. Duma powróciła mu znów siłę, którą przed chwilą czerpał w zamięłowaniu wiedzy.

— Nie zważaj na to, co mówiłem przed chwilą. Zachowałem się jak dzieciak, prawie równie naiwny, jak Le Gallic. Wszystko na świecie dzieje się podług pewnych praw, z góry określonych, a tylko nie zawsze zdajemy sobie sprawę z ich związku i wówczas wymawiamy słowo przypadek. Niekiedy skrzyżować się z sobą mogą dwie serye przeciwnych sobie zjawisk, ale w tem niema żadnej tajemnicy, podobnie jak niema jej w śmierci. Ale dajmy temu pokój. Nie o tem chciałem mówić, chodzi tu o moje sprawy majątkowe, które nie są tem, czem się być zdają. Zarabiałem dużo, ale też i wydawałem. Kochałem namiętnie życie, Marsal, i używać go umiałem, posuwając się w tem równie daleko, jak w ukochaniu wiedzy. Chciałem urzeczywistnić w sobie typ człowieka nowoczesnego. Pewny sił swoich, nie liczyłem się z jutrem. Dziś z tem już koniec. Nie mogę rachować na honorarya po 50.000 franków.

Mam przed sobą zaledwie parę miesięcy pracy w tym szpitalu, a potem koniec na wieki. Złożyłem wprawdzie trochę kapitału, ale i to zagrożone dziś jest z powodu tej burzy wojennej. Je-

dynie pewnym majątkiem jest ten stary dom przy ulicy św. Wilhelma wraz z moją kliniką. Na szczęście zapłaciłem już za niego ostatnią ratę w zeszłym miesiącu. Pojmujesz, że nie chciałbym zostawiać żony mej niedostatecznie zaopatrzonej. Klinika, umiejętnie prowadzona, może jej zapewnić niezależność; dostanie prócz tego moją premię asekuracyjną. Nie chcę, aby Katarzyna obniżyć musiała skalę życia, do jakiego przywykła. Ale na to trzeba mi kogoś, ktoby się chciał zająć moją kliniką, gdy mnie już tu nie będzie. Czy chcesz podjąć się tego? Proszę cię mój drogi, uważaj to po prostu za interes, postaw swoje warunki. Jeśli się zgodzisz, od dziś spisujemy kontrakt spółki. Zaznajomię cię z bilansem domu. Byleś tylko nie miał przeciw temu jakich zasadniczych zarzutów lub przeszkód.

— Nie mam żadnych. Owszem wdzięczny panu jestem, za ten dowód przyjaźni po tylu innych.

— Zatem od jutra przystąpimy do uregulowania naszej spółki. Pamiętaj tylko, ani słowa przed czasem mojej żonie.

Chciał odejść na górę do siebie, ale wtedy ja go zatrzymałem.

— Przecież może ta dyagnoza, którą pan sobie postawiłeś, nie jest tak zupełnie pewną?

— Najpewniejszą. Pamiętasz zapewne, że przed sześciu tygodniami wzywano mię do Niemiec do jednego z moich chorych. Dojechałem wówczas

pocichu do Berlina i przedstawiłem się pod fałszywym nazwiskiem jednemu z tamtejszych specjalistów. Objął mnie bez ogródki i doradził ostatecznie słynną operację Keira „pod kątem”. „Pod kątem” powtórzył raz jeszcze, przedrzeźniając wymowę niemieckiego uczonego.

— A więc? — spytałem.

— A więc, nie chcę tej operacji. Uleczenie radykalne jest i tak niemożliwe. Operacja taka przedłużyłaby mi co najwyżej życie o 5 lub 6 miesięcy, o ilebym nie skończył pod nożem. Nie chcę ryzykować, nie chcę stracić ani jednego dnia, który jeszcze mogę spędzić przy niej, przy mojej żonie. Nie chcę odejść wcześniej, a przeto operacja ubezwładniłaby mnie, pozbawiając możliwości oddania naszym rannym usług, do których jeszcze jestem zdolny. A chcę im służyć, chcę dowieść Le Gallicom i innym mitologom, że my, którzy nie wierzymy, potrafimy być altruistami bez nadziei zapłaty. Nie poddam się operacji, ale za to operować będę innych, dopóki się mi starczy do władania narzędziem chirurgii — tylko... tu przerwał i skurczył się we dwoje przyciskając rękami obolałe miejsce. Chwilami ból... taki straszny ból... Gdyby parokwizm taki potrwał dłużej, jak pięć minut, nie wyszedłbym z niego żywy. Ale czekaj!...

Podszedł do małego biurka, wysunął szufladkę, wyjął z niej cieniuchną strzykawkę. Zapalił lam-

pkę spirytusową, w której płomieniu rozgrzał igielkę i zatopił ją w obnażone ramię z zimną i zawodową biegłością, jakby dokonywał wstrzyknięcia na kimś drugim. Gdy skończył odłożył na bok narzędzia, oczyścił i zamknął w szufladzie:

— Doszedłem już do 10 centygramów — rzekł do mnie. — Na nieszczęście, to się, jak wiesz, zużywa i trzeba zwiększać dozę. Ale o tem również ani słowa mojej żonie. Przyrzekasz mi to?

— Przyrzekam.

## X.

Cnota kłamstwa jest jedną z najkonieczniejszych w zawodzie lekarskim. Jest to prawie abecadło praktyki, w którym my studenci medycyny ćwiczymy się już w szpitalach. Z chorymi idzie to dość gładko, bo sam już ich instynkt zachowawczy współdziała z nami, pozwalając na łatwe zaspokojenie ich chętniej wiary. Gorzej jest znacznie z otoczeniem ich, z kobietami zwłaszcza, które się o nich niepokoją. Matka, żona, córka, siostra, posiadają cudowny prawie zmysł odgadywania, mimo najkunsztowniejszych zmyśleń, choćbyśmy wypowiedali je tonem najswobodniejszym; dostrzegą też zawsze w najszczerzem na pozór spojrzeniu zatajoną gdzieś w głębi skazę. Mają też w odpowiedzi na to swoją własną metodę. Nie pytają wprost, lecz obserwu-

ją, śledzą, niejako szpiegują; uwagi ich nie ujdzie żaden gest, żaden odcień głosu, żadne brzmienie niepewne. Najlżejsze drgnienie twarzy, gdy uspokajamy je, podchwyczone jest i tłumaczone w znaczeniu wprost przeciwnem, niż to, które chcemy mu nadać.

Ten rodzaj pojedynku między lekarzem a kobietą poczynił się istotnie pomiędzy mną a panią Ortegue. Byłem na niego z góry przygotowany; zaczął się z chwilą, gdym ją znów obaczył w pół godziny może po rozstaniu się z profesorem. Uznałem za stosowne nie grać zbyt wielkiego spokoju. To też na pierwsze jej pytanie, czy zbadalem jej męża, odpowiedziałem szczerze w przekonaniu, że postępuję bardzo zręcznie.

— Tak jest, zbadalem go; wcale się nawet nie opierał.

— I cóż pan znalazłeś?

— To właśnie, czego się spodziewałem. Wyczerpanie skutkiem przepracowania, objaw cokolwiek niepokojący ze względu na jego wiek. Poza tem nic groźnego.

— Taak! A cóż znaczyła ta żółtaczka przed kilku miesiącami, a potem recydywa?

— Chwilowe zaburzenie wątroby, do którego nie należy przywiązywać żadnego znaczenia.

— Żadnego znaczenia — powtórzyła. — Z tych słów jej wnioskować mogłem, że wie dużo więcej, niż mówi. Zastawiała wprost na mnie sidła.

— A dlaczegoż Dieulafoy pisze w swojej patologii: „żadne zaburzenie wątroby nie powinno być lekceważone“, a kilka wierszy dalej: „każda żółtaczka z towarzyszeniem gorączki i znaczniejszego osłabienia, uważana być musi za podejrzaną“. Panie, umiem te ustępy na pamięć, tyle razy odczytywałam je w ostatnich czasach. Wzięłam umyślnie książkę z biblioteki mego męża i potem...

— Ależ, droga pani — przerwałam jej, siląc się na ton swobodny, jakbym gromił niesforne dziecko. Jako córka i żona lekarzy musisz pani wiedzieć, jak rozpaczliwym błędem jest rozczytywanie się w książkach lekarskich ludzi nie fachowych. Pani daruje, ale pani jest na tym punkcie zupełnie ciemna, prawie analfabetka.

Siliłem się na spokój, ale drżałem w duszy na myśl, że czytała ten fatalny rozdział, gdzie żółtaczka z gorączką wskazana jest jako prawie niemylny prognostyk raka.

— Powtarzam pani raz jeszcze, że tego rodzaju żółtaczka chwilowa, całkiem błaha, niema absolutnie żadnego znaczenia i błagam panią w imię spokoju jej męża, aby pani nie brała już nigdy do rąk tego podręcznika, ani żadnej innej książki lekarskiej. Gdybym przypuszczał, że profesorowi grozi poważna choroba, sam nalegałbym, by się poddał kuracyi.

Nic mi nie odpowiedziała, ale czułem, że



kłamał niezgrabnie. Nie starałem się też ani przedłużać rozmowy, ani rozpoczynać jej na nowo, wiedząc, że łudzenie tej kobiety, wychowanej w atmosferze lekarskiej, trudniejszym jest i niebezpieczniejszym, niż każde inne. Ona także nie powracała już do tego tematu, unikając nawet wszelkiej o nim wzmianki, pomimo troski, która ją trawiła. Myślała jednak o tem ustawicznie, co odgadywałem z automatyzmu jej ruchów, z pewnego somnambulizmu, w jakim zdawała się być pogrążona przy spełnianiu zwykłych swych czynności w szpitalu. Ten charakter somnambuliczny, właściwy ludziom, opanowanym jedną myślą, zaznaczał się w niej tem dobitniej, że ilekroć znajdowała się w jednym pokoju z mężem, następowało jakby nagłe przebudzenie się całej jej istoty.

Obserwując ją pilnie, doszedłem do wniosku, że niepokój, jaki miotał nią wewnątrz, mimo pozornego zrównoważenia, miał także inne źródło. Nie powracając do mych dawnych podejrzeń, powziętych w czasie pierwszej wizyty młodego Le Gallic, nie mogłem przecież nie zauważyć, że wzruszenie pani Ortegue wzrastało po nadejściu każdej karty polowej, którą kuzyn nadsyłał jej z frontu, korzystając z upoważnienia profesora. Karty te zawierały zwykle zwięzłe tylko doniesienie, że piszący żyje i nie odniósł rany; po za tem nic. Zwykła korespondencya wojskowa, bez

oznaczenia miejsca, skąd była wysłana. Powtarzałem sobie wszakże, że ta wrażliwość młodej kobiety na niebezpieczeństwo, zagrażające blizkiemu jej krewnemu, jest całkiem naturalną, że niema nic romantycznego w tem prostem, czysto ludzkim uczuciu. Jakżeby zresztą to serce, wtłoczone w kleszcze tak dojmującego i twardego dramatu życiowego, znalazło w sobie jeszcze siły na urojone smutki.

Dramat ten wciągał i mnie w żelazne swe kręgi. I ja również nie miałem czasu na rozmyślanie o sentymentalnych kolizjach, skoro w każdej niemal godzinie ocierać się musiałem o najsurowszą w świecie rzeczywistość.

Skoro wskrzeszam w pamięci owe sierpniowe tygodnie, powracają mi, zda się, znów ówczesne trwogi i troski. Obok mozolnej pracy w ambulsie, miewałem codziennie długie narady z profesorem, który wtajemniczał mnie w przyszły zarząd kliniki. Przystałem oczywiście na wszystko, czego odemnie żądał. Musiałem przykładać się pilnie do zrozumienia obcych mi dotąd pojęć i dokumentów. Dowiadywałem się szczegółowo, jak olbrzymim był trud, w którym Ortegue stargał siły swego organizmu i jak ogromnego dostatku pozbawić go miała nadchodząca śmierć. Poza tem codziennie prawie, bo nie krępował się moją obecnością, stwierdzić mogłem nieustanny postęp niszczącej choroby, jak również zgubne skutki nar-

kotyku, którym kość próbował nieznośny ból fizyczny. Na dłoniach i przegubach ukazały się żółte piętna, ogarniające również i twarz jego, której typ hiszpański akcentował się silniej jeszcze skutkiem tej zmiany cery, co mu nadawało nawet pewną egzotyczną piękność o charakterze tragicznym. A wszystko to działo się w oczach coraz to przenikliwszych jego żony.

Współcześnie tymczasem następowały po sobie wypadki wojenne, darząc nas na przemiany błyskami nadziei, to jadem śmiertelnych obaw. Po szalonych nadziejach pierwszego wkroczenia do Alzacyi, wojska nasze zepchnięte do Nancy, armia belgijska osaczona w Antwerpii, Namur zbombardowane, bitwa pod Charleroi, Leodyum zdobyte, Donon, Col de Saales opróżnione, Longwy zdobyte, Maubeuge — wreszcie odwrót. Niemcy w Compiègne, w Senlis, rząd przeniesiony do Bordeaux, Paryż zagrożony, wreszcie rozkaz dzienny Joffra, streszczający ogrom niebezpieczeństwa: „Utrzymać za wszelką cenę zdobyty teren; dać się raczej zabić na miejscu“. Przyszły dni oczekiwania, nadzieja tłumiona, w którą nie śmieliśmy prawie wierzyć; potem l'Ourq, Grand-Morin, Montmirail, Marna przekroczona, Lunéville, Raon, Saint Dié, Pont-à-Mousson oswobodzone, wreszcie bitwa nad Marną.

Wielki Boże, jakaż otucha wstąpiłaby w moje serce, nawet przy boku umierającego Ortegua,

gdyby nie to, że właśnie wtedy przywieziono nam pierwszy transport rannych.

Było to 8 września, we środę. Uwzględniając specjalność Ortegua, Val-de-Grâce przysłało nam samych rannych w głowę lub kręgosłup. Dzwonek, osobno w tym celu urządzony, oznajmił nam ich przybycie. Do śmierci nie zapomnę tego pierwszego hasła, trzykrotnego dzwonienia, na które zerwaliśmy się wszyscy, Ortegue, ja, sanitaryusze i pielęgniarki z panią Ortegue.

Wszyscy znaleźliśmy się na dole. Przed bramą stały trzy samochody, trzy długie popielate wozy, oznaczone czerwonym krzyżem, przykryte żaglowem płótnem. Widzieliśmy później niejednego taki wóz sanitarny, zatrzymujący się przed naszym szpitalem na wąskiej uliczce św. Wilhelma, ale żaden z nich nie zatrze nigdy w pamięci mojej tego pierwszego przyływu rannych, o którym dziś jeszcze nie umiem myśleć bez wewnętrznego drżenia.

Tak bliskie były jeszcze te pierwsze dni sierpnia, tak żywo jeszcze mieliśmy w pamięci pierwszy odpływ wojsk ku granicy. Oba dworce wschodni i północny huczały jak wulkany, wyrzucające z rozplómiennionych gardzieli lawę ludzką, a była nią młodzież, odjeżdżająca na wojnę z piosenką na ustach i iskrą zapału w oczach. Pamiętaliśmy pociągi, ruszające z peronu, zasypane deszczem kwiatów i echa piosenek, co prze-

mknąć miały przez całą Francję z południa na północ, niesione w kłębach pary dymiących lokomotyw na pola i gościńce. Dla mnie zwłaszcza wizya tych wrażeń przedwojennych była tem realniejszą, żem napawał się niemi w krótkich przerwach swych zajęć w klinice z żalem człowieka pominiętego, który musi pozostać za frontem wbrew własnej woli.

Pamiętam wszakże, że uderzyły mnie już wtedy rozszerzone trwogą źrenice kobiet, które patrzyły dalej i głębiej niż nasze, czytając już naprzód w Niewiadomem. Nie minął oto jeszcze letni sezon, słońce wrześniowe paliło się równie prawie jasno, jak w tych pierwszych dniach sierpniowych, niebo równie było pogodne jak wtedy, a tylko okrutna halucynacya strwożonych oczu kobiecych stanęła już przed nami jako rzeczywistość, naga, potworna, nieubłagana.

Sanitariusze wynosili rannych, podnosząc ich ostrożnie wraz z noszami, umieszczonemi w samochodzie. Spojrzałem na jednego. Sztywna, nieruchoma postać, opięta jeszcze w błękitną bluzę żołnierską i czerwone spodnie. Żołnierz ten głowę miał owiniętą gazą, z pod której widać było zaledwie część brody i usta, zsiniałe, prawie fioletowe, odsłaniające kurczowo zacięte zęby. Za nim inni, również ciężko ranni; było ich dziewięciu. Złożono ich wszystkich wraz z noszami

na podłodze w hali wchodowej, gdzie Ortegue i ja z pomocą asystenta poddaliśmy ich pierwszemu badaniu dla przekonania się, czy stan którego z nich nie wymaga natychmiastowej operacji.

Zdziwiło nas ich milczenie. Wycierpieli już widocznie tyle, wiezieni w wagonach towarowych od Charleroi z przestankami na małych stacyach, gdzie nie śmiano dotykać tak ciężkich ran, że nie chcieli już mówić. Z mundurów ich podziurawionych, upstrzonych słomą wydzielala się zmieszana woń potu i krwi. Na nogach mieli jeszcze ciężkie zabłocone obuwie, do którego przyłgnęło zeschnięte błoto z pola bitwy.

Stwierdziliśmy ze zgrozą, że dwóch jest całkiem ślepych, trzeci nie może mówić, mając wiązadła głosowe sparaliżowane skutkiem rany. Reszta widziała i mówiła, ale każdy miał jakiś członek bezwładny: ten rękę, ów nogę. Najstraszniejszy był jeden, pogrążony w częściowej katalipsyi. Mimo to wydawał od czasu do czasu przeraźliwy na wpół przytomny krzyk, którego nie zapomni, kto go raz usłyszał.

— Mamy tu ładną próbkę dobroci i sprawiedliwości rządzącej światem, jakby powiedział kuzynek Le Gallic, — mruknął Ortegue, dokonawszy pierwszych oględzin. A potem wskazując na tego, który był w katalipsyi, rzekł:

— Dla tego da się jeszcze coś zrobić; zanieście go na górę.

## XI.

Widywałem nieraz Ortegua przy operacjach, znałem jego mistrzowskie cięcia, które wykonywał chętnie w obecności zdumionych swych rywali. To nie operacje, to wyścigi konkursowe, mawiał Poncet, mistrz z Lyonu, a potem dodawał z poważnym uśmiechem: „Ale skoro wygrywa je zawsze!..“ Powodzenie to prawie czarodziejskie zawdzięcza Ortegue zarówno dokładnej znajomości anatomii, jak cudownej pewności ręki i oka. Nigdy wszakże jego wiedza i talent, czyniący go prawdziwym księciem chirurgii, nie zajaśniały takim blaskiem, jak przy leczeniu tych pierwszych rannych i paru nowych seryj, które przybyły po nich aż nazbyt prędko.

W tydzień po pierwszym transporcie, mieliśmy już wszystkie łóżka zajęte. Siły i gorliwość Ortegua rosły, zda się, wraz z pomnożeniem liczby pacjentów, wybranych odpowiednio dla jego specjalności. Zapał naukowy niemal młodzieńczy odradzał się w tym skazańcu na śmierć. Mnie jednak, który znałem prawdę, nie wprowadzała w błąd ta nagła odnowa sił w tak nadwątlonym organizmie. Morfina to rozpoczynała swoje dzieło nie mniej niszczące od działania raka. Pierwszy stopień zatrucia objawia się zwykle sztucznym wzmocnieniem nerwów.

Najboleśniejsem wszakże było uciszenie obaw pani Ortegue. Nie wiedząc o fatalnym nałogu, ja-

kiemu zaczynał ulegać nieszczęsny jej mąż, widziała tylko, że roznamiętnia się, jak dawniej, wobec ciekawszych wypadków chirurgicznych, opowiada o nich i dyskutuje. Wywnioskowała stąd, że poprzedni upadek sił był tylko skutkiem chwilowego wyczerpania nerwów i wierzyła w całkowite uleczenie.

W samej rzeczy władze umysłowe i nerwowe profesora zdawały się rozkwitać drugą młodością, a z niemi i jego znany altruizm, który go zawsze cechował. Jeżeli brał wysokie honoraria od bogatych, to natomiast bezpłatne kuracje i operacje, w których oddawał swój czas ubogim, nie dałyby się zliczyć. To też w zgodzie był ze swą naturą, powtarzając nam w początkach września.

— Co jabym począł w czasie wojny, gdyby nie to, że ratować mogę naszych żołnierzy. Nie spłacimy nigdy długu, jaki zaciągnęliśmy wobec nich, my cywilni, bo przecież to za nas dają się oni zabijać, za mnie, za ciebie, Marszał, za Katarzynę. Nie możemy sobie tego dość często powtarzać. Nie dalej, jak wczoraj, wyjąłem jednemu z nich kulę poza uchem, dzięki czemu będzie żył. Poczciwy chłopak dziękował mi ze łzami, a ja mu na to: „Ależ to wam należy się podzięka od nas, wam wszystko zawdzięczamy“. No! nie powiedziałem mu, że miał szczęście, że go tu przysłano, bo co za bezecne głupstwa wypisują nasze pisma lekarskie, zwłaszcza z dziedzi-



ny chirurgii nerwów. Obaczysz, Marsal, jaką książkę napiszemy po wojnie.

Wierzył więc sam, mimo poprzedniej autodyagnozy. Było to jedno z tych złudzeń, jakim ulegamy bez udziału naszego rozumu, pod których wpływem jednak mówimy, jakbyśmy w nie wierzyli. Zdania te zresztą, tak dziwne w ustach uczonego tej miary i chorego w tym stopniu, były tylko nowym objawem zatrucia morfiną.

Po dwutygodniowym też polepszeniu, nastąpił okres ubytku sił i widocznego upadku nawet władz moralnych. Stwierdzałem z boleścią, że ten człowiek, który zawsze surowo przestrzegał prawdy, zaczynał kłamać i to w sensie czysto patologicznym. Utrzymywał naprzykład, że chodził po ogrodzie, podczas gdy był w swej kancelaryi lub też odwrotnie; to znów, że czytał gazetę, której do rąk nie brał. Obok tych nieznaczących „mytomanii“, przychodziły na niego dnie całkowitego i niemal zupełnego zaniku woli. Kładł wprawdzie z rana bluzę i fartuch szpitalny, ale nie szedł do chorych, lecz wyciągał się wygodnie na sofie, mówiąc:

— Marsal, zrobisz wizytę za mnie i zdasz mi sprawę.

Nie dość na tem. Tak gorliwy przy nadejściu pierwszych rannych, stał się teraz ociężały, powolny, odkładający najpilniejszą nieraz operację na dzień następnny, jak to czynią leniwi chirur-

dzy. Nie ja jeden patrzyłem ze smutkiem na tak widoczny upadek. Dostrzegła go i pani Ortegue a w oczach jej widziałem już nietylko trwogę, ale i zdumienie. Nie poznawała go, tego niepospolitego człowieka, którego dawniej podziwiała, i ja także nie poznawałem go. Znając zaś podwójne źródło z którego płynęło rozkładowe działanie, niszczące jego organizm, oczekiwałem lada dzień katastrofy. Zaszedł też istotnie wypadek, który rozpoczął niejako drugi akt rozgrywającej się tragedyi.

## XII.

Wypadek ten zdarzył się w poniedziałek 29 września. Do dziś pamiętam datę i nie bez przyczyny. W wilią tego dnia lotnik niemiecki rzucił cztery bomby na Paryż, a wśród ofiar zabitych była 13-letnia dziewczynka.

— Jak głupim bywa los — rzekł do mnie Ortegue, przeczytawszy opis wypadku w porannem wydaniu dziennika. — Czemu ja nie znalazłem się w alei Trokadera zamiast tego dziecka?

— A Dufour? odrzekłem mu na to. Któżby go operował?

Dufour, był to kapitan artyleryi ciężko ranny w okolicy rdzenia pacierzowego. Przywieziono go nam w zeszłym tygodniu, jako kalekę nie mogącego chodzić. Poddawszy go drobiazgowym o-

ględzinom, Ortegue stwierdził częściowy paraliż uciskowy i mniemał, że kalectwo ustąpi po wyjściu kuli.

To też skoro tylko wspomniałem nazwisko rannego, Ortegue ożywił się, mówiąc

— Masz słuszność, Marszał, któżby go operował? Nie zapomniałem o tym biedaku ani też o tem, że wyznaczyłem dzisiejszy ranek na operację. Im prędzej, tem lepiej. I tak za długo zwlekaliśmy. Z tem zaskorupianiem się rany może być wkrótce zapóźno. Każ go natychmiast przynieść do sali operacyjnej; musi być zapewne przygotowany.

Spełniłem to zlecenie, a gdym powrócił do niego, Ortegue rzekł:

— Przez wzgląd na tę operację nie używam już od trzech dni morfiny, mimo że strasznie cierpię. Przerwałem całkiem, bo wiem, że stopniowe obniżanie dozy nie doprowadziłoby do niczego. Ale co gorsze od samego bólu, to ten zamęt tu — mówiąc to, dotknął swej głowy.—To okropne, mówię ci. Myśl ucieka gdzieś, a przytem ta gruba warstwa, jakby mur nieprzebyty pomiędzy wolą a czynem. Jakie wewnętrzne o-bezwładnienie... Wyobraź sobie, ja, Ortegue, stanąwszy wobec konieczności operacji na tym biednym Dufour, zawahałem się, a dla mnie takie wahanie to dezercya. Wtedy to dałem sobie słowo, że zaniecham wstrzykiwania morfiny. Tylko,

wiesz, odczuwam już klasyczne symptomy, jakich się doświadcza po przerwaniu wstrzyknięć. Cierpię na bezsenność i dreszcze. Jakaś wprost nadwrażliwość. Ale to nic. Wolę to wszystko, niż tę straszną czapkę z ołowiu, którą czuję na mózgu. Słuchaj, chcę, żeby Dufour chodził i będzie chodził.

W kilka minut potem wchodziliśmy do sali operacyjnej, on wciąż równie podniecony, ja z troską w duszy, jak powiedzie się próba, której mieliśmy dokonać na bohaterskim kapitanie. Stwierdziłem z niepokojem, że w miarę, jak zbliżała się chwila działania, podniecenie profesora wzrastało. Dawniej działało się wprost przeciwnie; dość mu było włożyć fartuch i rękawiczki kauczukowe, aby odzyskać spokój i doskonałą równowagę. Dziś stał się nagle dziwnie wielomówny. Słowa płynęły mu z ust z chorobliwą obfitością. Mówił, mówił wciąż na korytarzu i w sali. Przypominam sobie dokładnie parę zdań, które wtedy wypowiedział. Ukazując przez okno wstępującego po schodach kapelana, rzekł zjadliwie:

— Patrz, ksiądz Courmont idzie rozdawać swoją morfinę, gorszą jeszcze niż tamta.

Drugie powiedzenie jego miało za widownię salę operacyjną, a za słuchaczy gromadkę pielęgniarek i sanitariuszy, zgromadzonych dokoła chorego, którego zaczęto już usypiać.

— Zobaczycie teraz prawdziwy cud — mówił

Ortegue — cud, działyany przez naukę. Paralityk zacznie chodzić. Otworzy mu się kanał pacierzowy i wyjmie kulę, która spowodowała bezwładność. Będzie to wspaniała operacya. Macie szczęście, chłopcy, w ciągu dwóch miesięcy widzieliście trzykrotnie laminektomię<sup>1)</sup>. Marszał nie oglądał ich więcej przez czas kilkuletniej pracy w szpitalu, możecie sobie powinszować.

Ten ton, prawie radosny, jakim zapowiadał jedną z najniebezpieczniejszych operacyj, jakie zna chirurgia, zdawał się usprawiedliwiać złośliwy epigramat humorysty, który twierdził, że ludzie, poświęcający się chirurgii, czynią to jedynie dla zaspokojenia bezkarnie swych okrutnych instynktów. Jakże obcą byłaby mu dawniej ta niesmaczna wesołość i ten wzrok tępy, którym śledził rękę moją, gdy smarowałam jodem plecy rannego.

Zauważyłem, że palce jego zazwyczaj tak pewne, drżały w chwili, gdy przesuwając po zajodnowanem miejscu kompas trójramienny i kierując się płytką radiograficzną, na której oznaczone było miejsce, gdzie się znajduje kula, oznaczył na tej poślódkiej obecnie skórze, nie żółtszej jednak od jego twarzy, trzy punkta do przyszłego cięcia. — Dopełniwszy tych przygotowań, przystąpił do obnażenia kręgow pa-cierzowych, przez głębokie prostokreślne nacięcie

---

<sup>1)</sup> Wycięcie kawałka kości z kręgosłupa.

aż do kości. Zdawało mi się jednak, że ręka jego niema zwykłej pewności, ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tem, bo znaczny upływ krwi, towarzyszący zwykle temu cięciu, groził zalewem operowanego miejsca. Porwałem więc szczypczyki, służące do przytrzymania brzegów rany i zużytkowawszy jedno, podałem drugie profesorowi. On jednak, widziałem to z przerażeniem, nie zwrócił uwagi na mój gest i krajał dalej ciało, zalane krwią, ale ręką drżącą, niepewną. Nagle wypuścił lancet zachwiał się z oczyma błędniemi i runąłby na ziemię, gdybyśmy go nie podtrzymali.

— Nie widzę nic.... nie mogę.... — wybełkotał chrapliwym głosem.

W tem ogólnem rozbiciu ocalały w nim wszakże jeszcze sumienność i honor lekarski, bo znalazł w sobie tyle jeszcze mocy, by odtrącić mnie w chwili, gdym go chciał podtrzymać i jęknął, wskazując na pacyenta, który leżał zakrwawiony na stole operacyjnym :

— On przedewszystkiem, Marsal. Zajmij się nim. Kulę mu trzeba wyjąć...

### XIII.

Powinność moja nie ulegała wątpliwości : przedewszystkiem operowany. W chwili też, gdy dwaj sanitaryusze odprowadzali wpół omdlałego chi-

rurga, ja próbowałem zatamować krwotok. Ale co potem? Czy zaszyć ranę?... Wobec groźnych słów, które brzmiały mi jeszcze w uszach, że za kilka godzin może już być za późno. Z obawą śmiertelną w duszy postanowiłem wszakże dokończyć operacji, trzymając się ściśle dyagnozy, wskazanej przez Ortegua. Ulegałem sugestyi tego genialnego człowieka mimo tak jaskrawie stwierdzonego przed chwilą zaćmienia jego władz umysłowych. Być może chodziło mi głównie o przy niesienie ulgi nieszczęśliwemu, wiedziałem bowiem, że pierwsze jego słowo po przyjściu do siebie, będzie to pytanie o rannego. Co za bocięcha, jeśli będę mógł powiedzieć mu: wyjąłem kulę. Był to rzeczywiście tylko nacisk na rdzeń pacierzowy. Dufour uratowany.

Po przez zamęt wzburzonych myśli znalazłem jeszcze w sobie siłę do stanowczego działania. Zarządziłem powtórne zanarkotyzowanie Dufoura, którego jęki zdradzały bliski już powrót do świadomości. Włożono mu znów maskę, a ja po założeniu szczypczyków rozpocząłem poszukiwania na niepewne, ryzykując, bo najdrobniejsze zboczenie sprowadzić mogło katastrofę. Nigdy w całej mej karierze lekarskiej żadna operacja nie wydała mi się tak nieskończenie długa. Nigdy nie odczuwałem równie żywo wrażenia, które określa tak dobrze jeden z mistrzów naszej sztuki Jan Ludwik Faure w swych pięknych szki-

each „O duszy chirurga“. Ukazuje on w nich operatora, przenikniętego dreszczem podniecenia, które potęguje jego siły, obdarzając nową mocą całą jego istotę. Po przez trzask łamanych i otwieranych kości posuwałem się od włókna do włókna, operując w żywym skrwawionem ciele.

Musiałem raz jeszcze oddać hołd cudownej wiedzy i doświadczeniu genialnego chirurga. Znalazłem kulę, tam właśnie, gdzie na nią wskazał, w dokładnie oznaczonym punkcie. Wyjąłem ją. Nacisk na rdzeń ustąpi więc a z nim i paraliż. Stanie się cud, chory będzie uleczony. Nawiasem mówiąc, chodził potem tak dobrze, jak najzdrowszy człowiek, a przed miesiącem wyjechał z naszego szpitala za urlopem, jako rekonwalescent, nie dowiedziawszy się nigdy, przez jak ryzykowne momenta przeszedł w czasie swej operacji. Słusznie też mówi Jan Ludwik Faure, że znieczulony jest jedynym obojętnym świadkiem dramatu, jaki się rozgrywa na stole operacyjnym. Nigdy twierdzenie to nie wydało mi się równie trafnem, jak w chwili, gdy sanitaryusze wynosili ранnego, pogrążonego wciąż jeszcze w uśpieniu, ale już przywróconego życiu.

Obmywszy ręce, nie zdjąłem nawet splamionego krwią fartucha, spiesząc do gabinetu profesora, aby mu donieść o pomysłnym wyniku operacji. Ścisnąłem w palcach wyjętą kulę, jak skarb najdroższy, który mu chciałem podać, zanim je-



szcze przemówię. Po drodze spotkałem jedną z pielęgniarek, która mi powiedziała, że Ortegue czuje się już lepiej, kazał sobie zastrzyknąć morfinę i spoczywa na sofie, pani Ortegue zaś czuwa przy nim.

Zastrzyknął więc sobie znów truciznę. Było to fatalne, ale i niezbędne, bo omdlenie, jakiemu uległ przed chwilą, mogło być skończyć się snem wiecznym. Szedłem w każdym razie do niego, chcąc mu zwiastować dobrą nowinę.

Musiałem zdać sobie sprawę z jego stanu. Jeżeli śpi, wejdę tylko do poczekalni i usunę się cicho; w przeciwnym razie widok wyjętej kuli, podziła na niego zbawienniej, niż każde lekarstwo. Otworzyłem więc drzwi owej poczekalni, jak mogłem najciszej i wszedłem na palcach. Za ledwie stanąłem na progu, dobiegły mię z gabinetu echa głośnej rozmowy. Chciałem zapukać, ostrzegając o swej obecności. Ale usłyszałem teraz całkiem wyraźnie zdanie, które przykuło mię do miejsca, jak odrętwiałego. I oto straszliwy dyalog, którego wysłuchałem:

Ortegue doprowadzony do ostateczności wypadkiem przy operacyi, nie umiał milczeć dłużej i wyznał żonie swój stan rozpaczliwy. Ona zaś mówiła:

— Gdybyś miał umrzeć, ja ciebie nie przeżyję... ty nie możesz umrzeć.

— Moje biedne dziecko — odparł Ortegue —

przeżyjesz mnie; to rzecz całkiem naturalna. Nie masz jeszcze lat trzydziestu, masz prawo żyć.

— Bez ciebie nie chcę.

— Nie mów tak, nie mów, nie kuś mnie... Nie kuś mnie — powtórzył.

Słyszałem nierówny chód jego i łoskot potracanych krzesel.

— Miałem — mówił dalej — ja sam straszną pokusę zabrania cię razem z sobą w chłodną próżnię nicości. Od kiedy wiem, że dla mnie niema ratunku, wstawałem nieraz w nocy. by śledzić twój sen. Słuchałem twego równego, spokojnego oddechu. Zapalałem potem świecę i zakrywszy płomień ręką, przyglądałem się tobie. Leżałaś we śnie, taka cicha, piękna, młoda! Ach młodość! Co za rajskie słowo. I myślałem z rozpaczą, że za dwa, trzy, dziesięć, piętnaście lat będziesz wciąż jeszcze młoda, piękna, żywa, ale daleka. Będę już dla ciebie tylko widmem, o którym zapomnisz.

— Nigdy! — krzyknęła.

— Zapomnisz — powtórzył. — Zapomina się zawsze. — To też zdejmował mnie taki szal gniewu, zazdrości, rozpaczy, że nieraz przychodziło mi na myśl: A gdybym zabił ją we śnie, tak, aby tego nie czuła. Mam przecie na to środki, są trucizny o działaniu piorunującym, mam je tu pod ręką. A potem brzydziłem się sobą za tę

myśl, klękałem przy łóżku twojem, przeprasząc cię. Bo widzisz, Kasienko, ja się nie śmierci boję. Śmierć nie jest przecie żadną zagadką, chyba dla tych, którzy nie znają jej, nie widzieli. Ba, przecie wiem, że to tylko wielki sen; ale odejść bez ciebie, zostawić ciebie innym, to nad siły moje. To nawet haniebne, ale ty nie wiesz, jak ja ciebie kocham.

— Ty nie wiesz, ty także nie wiesz, jak ja ciebie kocham...

— O nie, ty mnie już kochać nie możesz, nie kocha się trupa, jakim się stałem. Dość mi przecie spojrzeć w zwierciadło, dość mi spojrzeć na tę okropną maskę, policzki zapadłe, zieloną cerę. Wiem, że mnie już kochać nie można, z tem już koniec. Ale do dzisiejszego ranka miałem jeszcze prawo wierzyć, że, jako córka uczonego, kobieta inteligentna, możesz znaleźć jakieś upodobanie w mojej wiedzy, w talencie, że nawet pysznić się możesz niekiedy mną, patrząc na pracę moją w tym szpitalu. Ta myśl podtrzymywała mnie, dzięki jej przewyższałem, rzecz mogę, sam siebie w ostatnich czasach. Dokazywałem cudów. Pozwól, że sam sobie oddam sprawiedliwość, jak gdybym mówił o umarłym. Ale dziś i z tem już koniec. Po dzisiejszym wypadku nie wezmę już do rąk narzędzi chirurgicznych. Lękałbym się zostać mordercą, a może już nim jestem, jeśli Marsal nie ocali tamtego biedaka. To rzecz straszna,

uważasz, utracić naraz wszystko. Wszystko odchodzi, wszystko, com tyle kochał. Nauka, sława, ty, a potem śmierć, taka śmierć....

— Ależ ja nie odchodzę, Michale — zawołała — mnie nie utracisz nigdy. Ja kocham cię, rozumiesz, kocham cię.

— Nie, nie wymawiaj tych słów. To boli. Nie kochasz mnie, tylko się nademną litujesz, bo też wart jestem litości.

— Ależ ja cię kocham! — jęknęła. — Całą duszę, życie całe w ciebie włożyłam. Możesz myśleć, co chcesz, ale tak jest. Kocham cię dziś tak samo, jak wtedy, gdyś zażądał, abym została twoją żoną, a ja odpowiedziałam tak. Rozumiesz to, czujesz? Powiedz!

— Nie, nie mogę tego czuć, to niemożliwe.

— Bo cierpisz zanadto, bo jesteś nieszczęśliwy. Dlatego mnie zrozumieć nie możesz. Włożyłam w ciebie wszystko, powtarzam ci, wszystko. Całe moje życie, tak, całe. Ja nie jestem z tych, co kochają dwa razy. Nie potrafiłabym odrabiać swego życia po raz drugi. Tego właśnie nie umiałam przebaczyć mojej matce. Wiedziałałam przecie, że jako starszy odemnie wcześniej się postarzejesz, ale to był dla mnie jeden powód więcej, aby cię kochać jeszcze mocniej. Ojciec mój wpoił we mnie cześć dla wiedzy, mówił mi o tobie. Od niego wiedziałam, ile jesteś wart jako uczony. Pociągnęła mnie ku tobie wielka poezja tej pracy tak

ciężkiej, twardej, a tak dobroczynnej. Powiedzia-  
łam sobie już wtedy: „Skoro się postarzeje, oto-  
czę go staraniem, będę mu służyć, jeśli trzeba  
będzie — pielęgnować. Włożę w to całą moją istotę.  
Inne kobiety kładą całą swą miłość w macierzyń-  
stwo; nie miałam z tobą dzieci, ale nie żałuję  
tego. Ty jesteś dla mnie wszystkim. To jedno  
tylko boli mnie, że ty tego nie czujesz. Skądże  
w takim razie zaczerpnę sił do podtrzymania cię  
w tej ostatniej próbie. Więc chciałeś zabić mnie?  
Naprawdę chciałeś?

— Chciałem.

— Więc umrzemy razem. Wtedy uwierzysz, że  
cię kocham naprawdę.

— Tak! — Zadrżałem. Odpowiedział tak, a  
w głosie jego w miejsce poprzedniej rozpaczki za-  
brzmiała dzika radość, ekstaza, upojenie.

— Tak. Wierzę ci teraz. Dzięki ci, dzięki. Po  
raz pierwszy od tygodni całych opuszcza mnie  
ciężka zhora. Odczuwam pewną słodycz tego,  
że czuję, że oddycham. Tak, czuję teraz, że mnie  
kochasz naprawdę. Co za ukojenie, jak miło żyć...  
Musisz mnie naprawdę kochać, skoro mogłaś to  
powiedzieć.

— Nareszcie, nareszcie uwierzyłeś mi. Tak!  
Kocham cię namiętnie, wyłącznie. Czy myślisz,  
że choć odrobinę będzie mnie to kosztowało,  
odejść z tego świata, gdzie ciebie nie będzie. Ja  
także nie boję się śmierci ani trochę. Wiem prze-

cie, że to tylko sen, wieczny sen. Chcesz, możemy odejść dziś jeszcze, abyś nie potrzebował dłużej znosić cierpienia w twym biednym udręczonym ciele. Zaraz, w tej chwili, kiedyśmy złączeni z sobą, gdy się przejrzelśmy na wskroś, kiedy jesteśmy serce przy sercu. Chcesz? Jestem gotowa.

Jakże czekałem z ust jego, z ust człowieka, którego przywykłem szanować, choćby jednego słowa protestu, gestu odmowy, wobec tej szalonej ofiary. Słowa tego nie wyrzekł, gestu, zgadywałem, to nie zrobił. Znaczyło to niestety, że dusza jego bardziej jeszcze była chorą niż ciało. Przyjął bez dyskusyi potworny projekt samobójstwa we dwoje, w delirium radości, która była dowodem, że on także włożył całe życie w tę miłość.

— Nie teraz jeszcze — odrzekł. — Nie w tej chwili. Jestem zbyt szczęśliwy. Dopóki mam oczy, które cię widzą, myśl, która wie i czuje, że jesteś przy mnie, chcę żyć i nie stracić ani jednej godziny, ani sekundy. Morfina uciszy ból. Bałem się jej, dopóki chciałem pracować. Teraz to i tak niemożliwe. Morfina nie przeszkodzi mi patrzeć na ciebie, cieszyć się twym widokiem. Mam jeszcze przed sobą tygodnie całe, może miesiące. Nie chcę ich tracić.

— Ani ja — powtórzyła pani Ortegue. — Ale przysiądź mi musisz na miłość naszą, że to się tylko

odwleka, że nie odejdiesz bezemnie. Że umowa nasza mieć będzie moc, jak w dniu, w którym prosiłeś mnie... Pamiętasz... Jesteś lekarzem, rozpoznasz objawy zapowiadające koniec, a dla mnie znajdziesz coś pewnego, co mi życie skróci. Nie zbraknie mi odwagi. Wejdziemy razem w chłodne pustkowie. Większym chłodem i pustką tchnął by mi ten dom bez ciebie, Michale! — dodała uroczyście. — Wiem, żeś nigdy słowa nie złamał, daj mi więc słowo, że...

— Masz je — odparł.

— Dziękuję, rzekła; potem zmieniając ton, zaczęła mówić, jak do dziecka.

— Uspokój się teraz, połóż, trzeba żebyś usnął. Oszczędzać się teraz musisz, wszak to ostatnie dnie, które spędzimy z sobą. Połóż się, zaśnij.

— Nie, nie! — zaprzeczył z nowym niepokojem. — Wpierw wiedzieć muszę, jak się skończyła operacja, co się stało z tym biednym Dufour. Byleby go Marsal uratował.

— Zaraz się dowiem — odpowiedziała pani Ortegue.

#### XIV.

Miałem wprawdzie czas cofnąć się na korytarz, gdzie spotkałbym niby przypadkiem panią Ortegue, któraby mogła mniemać, że powracam dopiero z sali operacyjnej. Takim też był pierwszy

mój zamiar. Ale potem zostałem. Brzmiały mi w uszach słowa: „Dziś jeszcze — zaraz“.

Jeśli Ortegue w nowym paroksyzmie zapragnie, aby okropna rzecz stała się dziś jeszcze wieczorem lub jutro... Nie darowałbym sobie nigdy, gdybym stłumił dziś w sobie krzyk protestu przeciw tej zbrodni. Bo zbrodnią byłby taki przykład tchórzostwa wobec cierpienia, w tym domu cierpienia, wypełnionym ciężko rannymi. To też nie cofnąłem się na widok pani Ortegue, wychodzącej z gabinetu. Za to ona stanęła, jak wryta. Położyła po chwili palec na ustach, wskazując na zamknięte drzwi gabinetu i wyszła wraz ze mną.

Wprowadziła mnie do pokoju dla niej zarezerwowanego, a który był przyległym do gabinetu profesora. Okoliczność ta podnosiła bardziej jeszcze tragizm naszego sam na sam, gdyż Ortegue mógł tu wejść niespodzianie, pytając o los biednego kapitana Dufour.

— Jak dawno pan tam stałeś? — spytała.

Nie miałem zamiaru kłamać.

— Dość już dawno — odparłem. — Chciałem pokazać profesorowi wyjętą kulę.

— Trzeba więc było wejść do gabinetu albo się tu wcale nie zatrzymywać.

— Tak z pewnością, należało wejść albo się wycofać, ale nie byłem w stanie. Stałem w miejscu, jak przykuty.

— Podśluchiwałeś pan więc, szpiegowałeś nas,



a teraz wiem, co chcesz zrobić. Pójdiesz do niego i będziesz mu perswadował, że nie ma prawa zabierać mnie z sobą. Zatrujesz mu ostatnie chwile, odbierzesz ostatnią radość, jaką mu dać jeszcze mogę. Zabraniam panu tego, stanowczo zabraniam. Ale cicho!

Położyła znów palec na ustach, bo słychać było czyjeś kroki na korytarzu.

— Daj mi pan tę kulę, zaniosę mu to sama. To go ucieszy i zaśnie spokojnie. Ale poczekaj pan tu na mnie. Zaraz wrócę.

Po upływie pięciu minut powróciła, ja zaś przysposabiałem się tymczasem do rozmowy z nią.

— Pani — rzekłem — nie powiem ani słowa profesorowi, nie będę z nim wcale o tem mówił. Wiem przecie, ile cierpi. To pewna, że gdyby to nie był szpital wojskowy, opuściłbym go natychmiast. Ale tu jestem związany tem bardziej, że jako uczeń pana Ortegue najlepiej spełniać mogę jego wskazówki. Nie odejdę więc i nie będę mówił z nim. To powtarzam pani. Ale to milczenie, do którego zobowiązuję się wobec mistrza, przez cześć dla niego i szacunek dla pani, nie odbiera mi jeszcze prawa mówienia z panią. Powtarzam też pani wręcz, że to zamierzone samobójstwo jest zbrodnią. Pani go nie popełni... To zbrodnia...

— Jaka zbrodnia — odparła wyzywająco. — Życie moje do mnie należy.

— Nie pani. Życie pani, podobnie jak innych, należy jeszcze do bardzo wielu osób. Ależ pomyśl pani tylko o tych wszystkich rannych, którzy tu leżą, o tym, którego dziś operowałem. Póki choć jeden z nich cierpi i potrzebuje nas, nie mamy prawa ich opuścić. Byłoby to zbiegostwo. Dziś zwłaszcza w czasie wojny, wśród tej powszechnej klęski, to dezercya...

— A jeśli mąż mój potrzebuje mnie bardziej — przerwała mi — niż tamci wszyscy. Jeśli ja jedna tylko mogę mu przynieść ulgę w chwili śmierci. Panie Marszał! Gdyby ktoś z naszych chorych zapadł na epidemiczną chorobę, mogłabym ofiarować mu swe usługi, jako pielęgniarka i niktby tego nie nazwał samobójstwem. To jest przecie to samo. Sumienie moje jest zupełnie spokojne. Zresztą to, co pan mówisz, nie wypływa wcale z pańskiego sumienia. To przesąd. Zauważyłam to już dawno, że pan nie śmiesz prawdziwie spojrzeć w oczy. Ojciec mój i mąż nauczyli mnie myśleć i żyć w prawdzie. Panu brak do tego odwagi. Chcesz pan wiedzieć co mąż mój myśli o samobójstwie. Przed dwoma laty, był jeszcze wtedy zdrow, jedna z moich przyjaciółek zabiła się. Imienia jej nie wymienię; ukrywano to skutkiem przesądu. Ktoś oburzał się na nią a mąż mój odpowiedział: „Argumenta przeciw samobójstwu wynaleziono zostały przez obłątuchów, zakochanych w życiu, którzyby chcieli, aby każdy kochał

je jak oni. Z najgorszego instynktu zwierzęcego, uczyniono cnotę“.

— Ależ właśnie instynkt ten jest dowodem, że samobójstwo jest czemś przeciwnem naturze, porządkowi, prawu...

— Dokończ pan — przerwała mi ze szczególnym sarkazmem. — Powiedz jeszcze, że jest ono przeciwnem woli Bożej, nie krępuj się pan. Dziwi się pan moim słowom? Bóg? Czy to on skazuje mnie na przeżywanie tych chwil okropnych, na które nie zasłużyłam. A potem dobro i zło? Cóż właściwie znaczą te słowa? Jestem córką i żoną uczonego, umiem myśleć. Wiem, że świat przyszedł, dobro i zło i te wszystkie formułki, które inne kobiety powtarzają, nie rozumiejąc ich, to zabytki zadawnionego atawizmu. Ojciec mój i mąż komentowali mi je nieraz. Służą one stworzeniu ludzkiemu jako środek przystosowania się do życia, ale skoro stworzenie to cierpi nad miarę, w imię jakiej zasady wzbrosisz mu pan, by się z cierpienia tego wyzwoliło. A to mój los, panie Marszał, ja naprawdę cierpię nad miarę.

— Gdyby jednak żołnierz w okopach, ktoś, kogo szanujesz pani i kochasz, gdyby naprzykład kuzyn pani Le Gallie powiedział sobie także, że cierpi nad siły i z tego powodu odebrał sobie życie, cobyś pani o nim pomyślała.

— Że jest tchórzem, bo mógł walczyć dalej. Ale jeśli nie może? Daj mi pan sposób walki z tą okropną chorobą mego męża, a wtedy zobaczysz! Ale nie! Pan wiesz dobrze, że tu nie ma ratunku, że rak jest chorobą nieuleczalną, której straszne następstwa są tak nieodwołalne, jak codzienny powrót dnia i nocy. Pan wiesz dobrze, że mąż mój jest zgubiony. A wiedz pan, że nie kłamałam przed chwilą, gdym mówiła mu, że włożyłam całe życie moje w miłość ku niemu, że gdyby mi jej zbrakło, nie miałabym czem żyć. Mówiłeś mi pan o prawach natury. Właśnie w naturze mojej tkwi ta potrzeba wierności. Cała wartość, całe piękno życia skupia się dla mnie w tem uczuciu. Ja nie potrafię zaczynać na nowo. Dla mnie kobiety, które kochają po razy kilka i powtarzają drugiemu te same słowa miłości, które już raz wypowiedziały, zapierając się własnej przeszłości, godne są pogardy, więcej powiem, budzą we mnie wstręt i obrzydzenie. Nie chcę przeżyć mego męża, bo ja nie chcę się zmienić, a wiem, że toby się stać mogło. Kto żyje dłużej zmienia się i zapomina, choćby tego sam nie chciał. Już teraz nawet, od chwili, gdy mąż mój zachorował, lękać się zaczynam, że uczucie moje dla niego, tak przecież wyłączone, tak wyjątkowe, ulegać zaczyna zmianie.

Przypominasz pan, sobie tego biedaka Wincen-  
tego, którego nam przywieziono do ambulansu

z twarzą zgniecioną, powleczoneą ohydą maską z ropy i krwi. Pamiętasz pan jego narzeczoną, która zakradła się do sali opatrunkowej, a ujrzawszy tego ślepeca z okaleczoną twarzą, uciekła na korytarz, wołając z jękiem: „To nie on, to już nie on!“ Otóż ten sam bunt rozpaczy podnosi się we mnie, ilekroć nie znajduję w mężu moim tego, co w nim było dawniej. Drzę cała na myśl, że nie porusza on już we mnie niektórych strun, które niegdyś dźwięczały tak silnie... Ale to drżenie to jeszcze miłość, to namiętne pragnienie, by żyć tylko dla niego i przez niego. Odejść z nim razem, to nasycenie tego pragnienia. Będę wiedzieć przynajmniej, że nie żyła na darmo...

Co jej odpowiedzieć? W imię jakiej zasady odmówić słuszności jej twierdzeniom? Widziałem ją tak bezwzględnie szczerą, a prawda ma w sobie moc, która się udziela. Podchwycić zresztą naturę ludzką w najwewnętrzniejszych jej przejawach, to uznać logiczną jej konieczność. Takich ludzi nie, sądzi się już, nie potępia za ich sposób myślenia, chociażby ten w oderwaniu od ich osoby, od ich indywidualnego cierpienia był czemś ohydliwym i potępiania godnym. Co do mnie, posądzałem już i dawniej panią Ortegę o przejęcie doktryn od ojca i męża, ale nie miałem na to wyraźnych dowodów, zwłaszcza wobec życia światowego, jakie prowadziła, pewnego zamięłowania w zbytku i wielkiej jej na tym punkcie dyskrecyi.

Nie oceniłem też dotąd należycie tego charakteru. Dziś dopiero przekonałem się, do jakiego stopnia sposób myślenia ojca jej i męża wpłynął na jej wyobrażenia i jak nad nimi zapanował. Nie napróżno była Bretonką. Przyjęła zasady obu tych ludzi prawie jako artykuł wiary. I z wiary tej wypłynęło to szalone postanowienie samobójstwa, jako wola ofiary ostatecznej, której źródło tkwiło jednocześnie w uczuciu i w rozumowaniu. Postanowienie to istoty tak skoncentrowanej w sobie, a jednocześnie skłonnej do stawiania sobie najwyższych postulatów, powzięte zostało w delirium litości, a podsycone jeszcze nihilistyczną doktryną. Nie mogłem też zaprzeczyć, że koniec taki byłby czemś logicznym dla natury jednocześnie gorąco romantycznej i nawykłej do twardego liczenia się z systemem raz sobie narzuconym. Przeciwwstawić tak mocno ugruntowanej egzaltacji zwykle szkolarskie argumenty byłoby tem samem, co chcieć zatamować rozhukany pęd bystrego potoku garstką drobnych kamyczków. Potok zagarnąłby odrazu tak wątlą tamę, pieńjąc się bardziej jeszcze. Słowem żadne argumenty nie pohamują rozpędu duszy, w której rozum i namiętność zeszyły się we wspólnem napięciu woli. Oddziać na nią może tylko druga dusza, pozostająca pod wpływem równie potężnego napięcia. Życie tylko walczyć może skutecznie

z życiem. Co do mnie nie czułem w sobie sił, potrzebnych do takiej walki. Własna moja słabość i różne wewnętrzne wahania, czyniły mnie całkiem bezradnym wobec tak żywiołowej kolidacji. Czułem jednak, że trzeba coś powiedzieć, lecz nie zdobyłem się na nic prócz najzwyczajszych wyrazów współczucia.

— Jaka pani jest nieszczęśliwa i jak mi pani bardzo żal.

— Nie potrzebuję litości! — przerwała mi z tym samym prawie hardym ruchem głowy, z jakim odrzucił współzucie moje mąż jej, po swem pierwszym zwierzeniu.

Tak, pomimo różnicy wieku, była stanowczo żoną, godną tego człowieka. Była nią również i w dalszym ciągu tej sceny, gdy przerwała stanowczo rozmowę, która schodzić już zaczynała na manowce bezpłodnej czułości. Jeśli mówiła ze mną wogóle, to dlatego jedynie, aby zapobiedz na przyszłość wszelkiemu dalszemu wkraczaniu pomiędzy nią a męża, z którym zamierzała wytrwać do końca w tragicznym sam na sam. Zesztywniała też nagle, żalując już widocznie mimowolnego wybuchu, który ją zdradził i rzekła całkiem już innym, suchym tonem.

— Po co to wszystko! To tylko strata czasu, którego ani ja, ani pan nie mamy za wiele. Muszę skończyć rachunki, zanim mój mąż się zbudzi,

pan zaś potrzebny jesteś operowanemu. Nie zatrzymuję też pana dłużej.

Usłuchałem jej i wyszedłem, ale zaraz za progiem, wyzwoliłem się z pod magnetycznego wpływu, jaki wywierała na mnie jej obecność i stałem się znów sobą, powtarzając w duszy:

— Muszę nie dopuścić do spełnienia tej okropnej rzeczy, ale w jaki sposób?

## XV.

Dziwnem bywa to milczenie, jakie zapada niekiedy pomiędzy dwojgiem ludzi po wymianie pełnych znaczenia zwierzeń. Skoro spotkałem panią Ortegue w parę godzin po wyżej opisanej rozmowie, zrozumiałem od razu, że nie powróci już nigdy do poruszonego w niej tematu. Zamknęła się znów w sobie, odejmując mi prawo mówienia. Spotkaliśmy się w obecności jej męża, który także opanował się już całkowicie, a czując się wypoczętym po paru godzinach snu, zażądał odemnie szczegółów z operacyi dokonanej przed południem.

— Kontent jestem z ciebie, mój drogi Marsal — powtarzał. — Sprawileś mi wielką pociechę. Ja sam nie będę już prawdopodobnie nikogo operował.

Próbowałem zaprzeczyć mu, ale przerwał mi natychmiast:



— Ręka zawodzi mnie już niestety, ale pozostaje mi jeszcze dyagnoza, dzięki której z pomocą twoją jeszcze na coś się przydam. Widzisz teraz sam, jak to dobrze, żeś został chirurgiem. Piękna to sztuka, wierzaj mi, o ile jest opartą na wiedzy, a przytem co za rozkosz dla umysłu, gdy z lancetem w ręku, uzbrojeni w dokładną znajomość najdrobniejszych szczegółów anatomicznych, szczepimy niejako akcyę naszą na funkcjach samego życia. Wojna daje nam pod tym względem olbrzymie pole doświadczeń. Chociażby fakt taki, jak dzisiejsza operacya. Zanutuj, proszę, główne szczegóły, zwłaszcza te oznaki lokalizacyi. Czy je pamiętasz ?

W kilku przejrzystych zdaniach wyłożył mi motywy, które skłoniły go do postawienia dyagnozy, tak pomyślnie stwierdzonej doświadczeniem. Podziwiałem pogodę, rozlaną obecnie na jego twarzy. W całym zachowaniu się jego przebijało jakieś ciche ukojenie, prawie że słodycz. Było to wprost zdumiewające, że on, mistrz w swej sztuce, istny książę chirurgii, abdykować mógł z taką rezygnacyą z dotychczasowego swego stanowiska. Był to wskazówką, że ów projekt samobójstwa we dwoje, powzięty w obłądnie litości, a przyjęty w obłądnie rozpaczy, uciszał jednak jakby cudem bunt szalejący w jego duszy? Konający, który jeszcze przed chwilą dochodził do obłądu, widząc, jak wszystko dokoła niego i w nim roz-

pada się w gruzy, znajdował naraz w sobie siły potrzebne do pożegnania się z życiem, skoro nie zostawiał już w niem poza sobą tej, którą ukochał z takim rzec można szaleństwem.

Spokój ten przeraził mnie wszakże bardziej jeszcze, niż poprzednie wybuchy; dowodził bowiem, że zabójcza umowa, którą zawarło z sobą tych dwoje, nie była dla nich igraszką ani też przelotnym kaprysem. Przyjęli ją oboje i zatwierdzili z absolutną, bezwzględną, niezaprzeczną szczerością. Patrząc na nich w tym stanie, miałem przed sobą fenomen wzajemnego współdziałania psychicznego, odpornego na wszelkie wpływy zewnętrzne. On upojony podwojonym narkotykiem, morfiny i namiętności, ona z tym swoim wzrokiem istoty urzeczonej, ulegali jak gdyby epidemii uczuciowej, której sobie wzajemnie udzielili, pod wpływem niezwalczonej mocy istnego fatum, na które patrzyłem z dreszczem grozy.

Fatalność jest tą siłą, z którą lekarz spotyka się bardzo często w swoim zawodzie, żeby uledez jej, gdy spadnie piorunująco lub zwalczać ją tam, gdzie nie działa zbyt bezpośrednio, zostawiając nam trochę czasu do namysłu. Czas, to nasza arena walki, a często i sprzymierzeniec, który, wprowadzając w grę nowe nieoczekiwane czynniki, pomieszać może nieraz najpewniejsze na pozór rachuby. W tym wypadku czas był po mojej stronie, co posłużyć mi może za uspra-

wiedliwienie, że nie wystąpił od razu czynnie przeciw okropnemu zamiarowi, w który mnie los przypadkowo wtajemniczył. Wiedziałem, że katastrofa nie nastąpi dziś, jutro, ani też za dni kilka. Już sama gorączka miłosna Ortegua była mi rękojmią, że postara się on odwiec do ostatnich możliwych granic chwilę ostatecznego rozstania się z żoną. Być może, myślałem, że przez ten czas zbudzi się w nim sumienie. Zauważyłem przytem, że w tem powszechnem rozbiciu moralnej jego istoty ocalało w nim jednak poczucie honoru. Dowodziła tego rozmowa, jaką miał ze mną, usprawiedliwiając się ze swego powrotu do morfiny.

— Przyznaj się Marsal — mówił do mnie — że straciłeś dla mnie szacunek z powodu, że wstrzykuję sobie znów dawki narkotyku. Ale widzisz, to nie znaczy, abym złamał dane sobie słowo. Bo jeśli gotów byłem znosić ból aż do ostatnich granic wytrzymałości, to tylko w nadziei, że będę mógł jeszcze nadal robić operacje i służyć rannym. Skoro to było niemożliwem, miałem prawo zwolnić się z danego sobie słowa. Pominąwszy nawet ostatni wypadek, nie mam już wogóle sił. Patrz! zaledwie mogę utrzymać w ręku tę książkę.

Było to własne jego dzieło „Traktat kliniczny o chirurgii nerwowej“, wydany w zeszłym roku.

Otworzył książkę i wskazując parę dopisków skreślonych na marginesie, rzekł:

— Wciągniesz te notatki do książki, Marszał, o ile doczeka się ona drugiego wydania. Człowiek nauki, widzisz, nie może być nigdy dość sumiennym w drobiazgowem przedstawianiu faktów.

Te słowa wypowiedziane przez niego, upoważniały mnie prawie do poruszenia w nim skrupułów sumienia. Ale jak tu przyznać się do tego, że posiadał jego tajemnicę, podsłuchując jego rozmowę z żoną. Wywołałoby to niezawodnie szalony wybuch gniewu, jeden z tych, jakim ulegał często w ostatnich czasach. Wygnałby mnie niezawodnie ze swego szpitala — miał do tego prawo — a wówczas straciłbym jedyną sposobność do stykania się z obojgiem i nie zdołałbym zrobić nic dla przeszkodzenia czynowi, który uważałem za zbrodnię.

Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać, ponieważ ostatecznie miałem przed sobą czas. Ta siła, jaką niesie z sobą umiejętność wy-czekiwania, stwierdzała się właśnie wówczas, jako żywy przykład w bitwie nad Marną, której wspomnienie zmieszało mi się dziwnie w pamięci z ciężkimi wrażeniami owych dni wrześniowych. Ortegue sam mówił ze mną wciąż o tej bitwie.

— Czy wiesz, Marszał — powtarzał — dlaczego Joffre jest wielkim wodzem? Bo prowadzi wojnę naukowo.

Twierdził, że już w Charleroi generał obliczył matematycznie, że rezerwy jego nie nadejdą na czas i zarządził odwrót, aby front swój do nich zbliżyć.

— Prosty rozsądek nakazywał mu tak postąpić. „Każdą ideę poddawać należy kontroli faktów, aby odstąpić od niej lub też zmienić ją odpowiednio do zaobserwowanych zjawisk“. Zasada to Claude Bernarda, niemniej trafna w zastosowaniu do wojny, jak i w laboratoryach. Niema dwóch różnych metod dla umysłu ludzkiego; istnieje tylko jedna: obserwować rzeczywistość i do niej się stosować; na fakta oddziałać można tylko faktami.

Słyszając go rozumującego tak ściśle i trafnie zdumiewałem się, jakim sposobem tyle mądrości się godzić się w nim może z tak obłądnem niemal zboczeniem. Cały dzień prawie wśród mej pracy szpitalnej powtarzałem sobie wygłoszoną przez niego zasadę.

„Na fakta oddziałać można tylko faktami“. Pomiędzy jednym a drugim opatrunkiem rozwiązywałem w wyobraźni ciężące nad umysłem moim zagadnienie i czułem, że myśl o niem dręczyć mnie będzie całe życie, o ile nie rozwiązę go pomyślnie przed oznaczonym przez Ortegue'a terminem,

Jaki fakt przeciwstawić tej potwornej woli samobójstwa we dwoje? Czułem, że tylko fakt czy-

sto psychiczny posłużyć mi może w tej walce; żaden materialny fakt nie przydałby się tu zgoła. Nie istnieje przymus zapobiegawczy przeciw tego rodzaju zamachom, stan zaś zdrowia Ortegue'a, główna i podstawowa przyczyna całego dramatu, nie mógł być zmieniony, tak samo jak byłoby fizycznym niepodobieństwem, przywrócić niezutyty organizm.

Nie mogłem się zdobyć na jedyny dostępny dla siebie fakt, jakim byłoby ustne z nim wyjaśnienie. Mówiłem już dlaczego. Pozostawała mi tylko jedna jeszcze dziedzina, usposobienie pani Ortegue. Ona tylko i zwłaszcza ona mogła się zmienić. Przywiązanie do życia bywa jeszcze tak silne w jej wieku.

Tak, ale dla niektórych natur potężniejszym jeszcze bywa poczucie osobistego honoru i potrzeba tem wierniejszego spełnienia danego zobowiązania, im cięższem ono jest i boleśniejsem. Zauważyłem już w czasie wyjaśnień, jakie mi dawała pani Ortegue, że należy ona do rzędu tych kobiet, dla których cień nawet podejrzenia o tchórzostwo lub niesłowność jest czemś niedopuszczalnym. Jak tu mówić z nią pod grozą obawy, że zatnie się bardziej jeszcze w dumnym uporze wykonania tragicznego zamiaru?

Dnie tymczasem upływały po dniach, tygodnie po tygodniach, 28 września, 5 października, 12 października. Gdybym podawał codzienny biule-

tyn ze stosunków mych z małżeństwem Ortegue, to brzmiały on tak samo, jak te, które przygnębiały nas zbyt często w doniesieniach urzędowych: „Położenie niezmienione“.

Wojna toczyła się jeszcze tak blisko, zaledwie 80 kilometrów od Paryża, a wynik jej był tak niepewny. Śledziłem przebieg jej z wielkim niepokojem, nie z większą jednak troską, jak ta, którą rozbudził we mnie dramat, na który patrzyłem zbliska, mimo że rozumiałem, iż niema żadnej proporcji pomiędzy wielką tragedją narodową, a komplikacją osobistą tych dwojga ludzi, których śmierć w stosunku do wielkiej bitwy nad Aisne, byłaby tem prawie, czem rozmiżdżenie dwóch marnych mrówek w stosunku do trzęsienia ziemi w Mesynie. A jednak odrzuciłem nieraz gazetę, w której przed chwilą szukałem chciwie wiadomości, skoro Ortegue i żona jego wchodzili do pokoju, bom chciał wyczytać coś nowego z ich twarzy.

Nie dostrzegałem wszakże nic, prócz szybkich postępów choroby u męża, u żony zaś silnego postanowienia nie odkrycia już przedemną kart. Po za tem zamęczała się wprost pracą w szpitalu, budząc tem powszechny podziw. Snuła się nieustannie pomiędzy salami rannych a gabinetem profesora, zdając mu sprawę z najdrobniejszych szczegółów, przynosząc nam jego rozpo-

rządzenia, które wydawał leżąc całymi dniami na sofie i nie wypuszczając z ust papierosa.

Ta gorliwa praca miłosierna, jakiej oddawała się w oczach moich pani Ortegue, stanowiła raziący kontrast z wyrokiem śmierci, wydanym na siebie, zastygłym zda się na pięknej, lecz surowej jej twarzy. Doszukiwałem się w tem jej postępowaniu utajonych wyrzutów sumienia, jakoby ekspiacyi, dopełnianej z góry względem tych cierpiących, których zamierzała opuścić. To być nie może, powtarzałem sobie, aby nie przyznawała mi słuszności, gdym twierdził przed nią, że samobójstwo w tych warunkach jest prostą dezercją.

Postanowiłem też zwrócić się do niej raz jeszcze w imię tych samych uczuć, dając jej jednak wprzód czas do rozwinięcia ich w sobie z większą jeszcze wyrazistością. Ona sama zresztą wypowiadała niekiedy uwagi bardzo proste, ale świadczące o tem, jak silnie odczuwa cierpienia naszych rannych, i jak wysoko ceni sobie możliwość przyniesienia im chociażby drobnej ulgi. Raz naprzykład odwiedziła ją jedna z jej przyjaciółek, ładna, strojna kobieta, zapraszając ją do siebie na obiad. Po odejściu tej pani rzekłem do niej:

— Dziwna rzecz, że są u nas jeszcze ludzie, którzy zdają się nie domyślać, że mamy w kraju wojnę.



— To prawda — rzekła. — Zresztą jest to bardzo dobra osoba, tylko, widzi pan, ona się nie styka z rannymi. Gdybym musiała, jak ona, chodzić na obiady proszone, to i tak widziałabym wciąż przed sobą naszych biedaków ze szpitala i czułabym wstyd. Dopóki oni cierpią, nie mamy prawa żyć, jak dawniej.

Pewnego znów ranka zastała mnie czytającego gazetę, którą podałem jej, wskazując na jakiś ciekawszy ustęp.

— Niech pani przeczyta — rzekłem — to bardzo zajmujący artykuł.

— Nie chcę — odparła, odsuwając moją rękę. — Nie obchodzą mnie wcale słowa pisane lub mówione. Jediną realną dla mnie rzeczą jest cierpienie tych biednych ludzi i ulga, którą im można przynieść.

Ukazała ręką na paru żołnierzy amputowanych, którzy przechodzili właśnie podsieniem.

— Nie rozumiem doprawdy, jak mogą żyć we Francji ludzie, nie biorący udziału ani w walce na froncie ani w pielęgnowaniu rannych.

Wieczorem tegoż dnia, w którym wzruszyła mię tem szlachetnem wyznaniem wiary, objawiła mi się w nowej jeszcze odmianie. Przywróciła mi ona do reszty nadzieję, iż fatalny zamiar nie zostanie wykonany.

Wojna szalała wówczas pomiędzy Lille a Verdun, a mimo to skutkiem niesłychanego niedbal-

stwa administracyi, dowóz rannych został prawie zawieszony. Wybiła piąta godzina, opatrunki południowe skończyły się wcześniej niż zwykle, na korytarzach panowała cisza po wizycie lekarskiej. Była to chwila, w której rekonwalescenci powinni byli wracać z przechadzki, gdzie nie wolno im było bawić dłużej, z powodu nagle zapadającego chłodu, właściwego wieczorom jesiennym.

Stałem w oknie, chcąc sprawdzić osobiście, czy żołnierze nasi stosują się ściśle do regulaminu i czy żaden z nich nie zapóźnia się ponad przepisaną godzinę. Zobaczyłem wtedy panią Ortegue, spacerującą samotnie w opustoszałej już alei. Zaledwem ją poznał z razu, tak dalece chód jej, zwykle żywy i stanowczy, stał się naraz znużony, ociężały, jakby złamany. Idąc, patrzyła po przez szpalery złotych liści na cudownie piękne niebo zachodnie, zabarwione barwą pomarańczową o refleksach prawie zielonych. Najlżejsze tchnienie wiatru nie poruszało powietrza, stare drzewa stały nieruchomo, a cały ten zielony zakątek, wciśnięty pomiędzy fasady domów różnych wiekiem naszemu, wyglądał na rodzaj małego parku, przesyconego dziwnym spokojem i słodyczą.

Całe to otoczenie harmonizowało przedziwnie z białą, smukłą sylwetką kobiecą, snującą się wciąż po alei krokiem coraz bardziej znużonym.

Czy spokój otoczenia udzielał się znękanemu jej sercu? Czy przeciwnie — cierpiała mocniej jeszcze pod wrażeniem kontrastu, zachodzącego pomiędzy tą ciszą a burzą miotającą jej życiem. Dookoła niej czerwieniały się na trawnikach klomby rozkwitłych róż, umieszczonych tam w koszach, które Ortegue kazał zmieniać co tydzień dla utrzymania ich w ciągłej świeżości. Był to jeden z wykwintów jego kliniki, którego nie zaniechał i teraz pomimo wojny, przez pewien właściwy mu odcień miłości własnej.

Widziałem, jak pani Ortegue zatrzymała się obok jednego z krzewów, osypanego ciemno-purpurowym kwiatem i uszczknawszy zeń jedną różę, przytuliła ją do twarzy. Mrok już zapadał, a z odległości tej nie dostrzegałem wyraźnie jej rysów, ale ten gest, ta postawa, ten kwiat, którym lubowała się widocznie, chłonąc długo rozkoszny jego aromat, stały się dla mnie aż nadto przejrzystym symbolem.

Ta kobieta, z której ust słyszałem własnowolnie na siebie wydany wyrok śmierci, a którą widziałem w tej chwili pieszczącą się z kwiatem w ostatnich blaskach zachodzącego słońca, objawiła mi się naraz w nowej postaci, niby owa branka legendowa, żegnająca się z życiem, z żalem za niem i nad sobą. Ona, która w ostatnich czasach zetknęła się już parokrotnie z ponurą i mrozną atmosferą śmierci, musiała chyba żało-

wać w tej chwili postanowienia, powziętego w porywie współczucia, będącego wpływem niezmierniej tkliwości, ale też i bezprzykładnego szaleństwa, a dusza jej wzdrygała się niezawodnie przed nadludzkim wysiłkiem, który sobie narzuciła.

Jakby dla uzupełnienia dramatycznej sceny, której szczegóły dopowiadałem sobie w wyobraźni, ujrzałem nagle profesora, schodzącego po schodach do ogrodu, zapewne w poszukiwaniu za żoną. Wszedł do alei, w której ona stała wciąż nieruchoma z twarzą przytuloną do kwiatu, nie przerywając swych marzeń. Zatrzymał się wtedy i patrzył na nią tak, jak ona przed chwilą patrzyła na różę.

Naraz horyzont zaciemnił się, zgasły refleksa słoneczne, płomieniejące przed chwilą jeszcze na szybach sąsiednich domów, jakby samo pojawienie się tego człowieka rozwiać musiało czar i zgasić pogodną słodycz wieczornej tej godziny. Co też myślał on sam patrząc na melancholię tej kobiety, jeśli trwał wciąż w okrutnym zamiarze zabrania jej z sobą do grobu? Podszedł do niej nagle i położył jej rękę na ramieniu, na co ona odwróciła się jakby ze strachem, poczem wracali oboje do domu, nie mówiąc do siebie słowa, jakby lękając się brzmienia własnego głosu.

Zdjęty litością poszedłem umyślnie naprzeciw nich, a spotkawszy ich na ganku, zacząłem rozmowę o jakiejś podrzędnej sprawie, z czego pani

Ortegue skorzystała natychmiast aby się od-  
dalić.

— Ja to sama załatwię — rzekła odchodząc.

Mówiąc to położyła machinalnie na małym  
stoliczku różę, którą trzymała dotąd w ręku. Po  
odejściu, Ortegue, który był usiadł, ujął kwiat rę-  
koma w rękawiczkach, których nie zdejmował  
teraz prawie nigdy dla ukrycia coraz to żółtsze-  
go kolorytu skóry i obrywać zaczął płatek po  
płatkowi z wyrazem okrucieństwa na wychudłej  
pargaminowo żółtej twarzy i błyskiem nienawiści  
w czarnych palących źrenicach, których szklista  
połyskliwość robiła prawie straszne wrażenie.  
Przedzierał pachnące listki i rzucał je na ziemię,  
aż dopóki ze wspaniałego kwiatu nie pozostało  
nic prócz suchego badyła. Potem wybuchnął  
spazmatycznym śmiechem, mówiąc:

— Patrz tylko, Marsal, do czego doszedłem  
ja, Michał Ortegue... Michał Ortegue! — powtórzył. —  
Szukam zemsty na kwiatach...

Zanim zdążyłem mu cośkolwiek odpowiedzieć,  
wstał i zniknął za drzwiami, przez które wyszła  
była przed chwilą jego żona.

## XVII.

W pół godziny później wezwał mnie do siebie,  
gdzie zastałem go z depeszą w ręku, którą mi  
podał. Jeden z dawnych jego uczniów, obecnie

lekarz na froncie, donosił mu telegraficznie o wyprawieniu do szpitala przy ulicy św. Wilhelma porucznika Ernesta Le Gallic, rannego ciężko w bitwie pod Albert.

— Chciałbym, abys przygotował na to Katarzynę. Ja już nie mam sił do niczego, idę spać.

W oczach jego dostrzegłem charakterystyczną osłupiałość, a na w pół odsunięta szufladka, w której chował morfinę, była dowodem, że co tylko zaaplikował sobie wstrzyknięcie. Tym razem usypiał prawdopodobnie nie fizyczny, lecz moralny ból. Niedawna scena w ogrodzie dowodziła tego aż nazbyt jasno.

Co za upadek od czasu ostatniej wizyty porucznika, co za ruina! Pamiętałem go jeszcze tak pełnym życia, tu w tem samym biurze, gdy toczył szermierkę słowną z kuzynem żony, a potem żartował z powodu sal, oznaczonych nazwami kwiatów, w miejsce imion świętych. Przypomniałem sobie także chwilowe moje podejrzenia, iż pani Ortegue interesuje się żywiej pięknym kuzynkiem.

W tej chwili miałem się przekonać powtórnie, jak dalece się myliłem, bo ta kobieta miała duszę zbyt prawą, by pozwolić sobie na uczucie, z którego powodu musiałyby się rumienić.

— Mój biedny Ernest! — zawołała z prostotą, dowiedziawszy się o ranie porucznika, i dwie wielkie łzy potoczyły się po jej twarzy.

Nie ukrywała ich wcale, jak również i uczciwego żalu, który je wywołał.

— Spodziewałam się, że tak będzie — mówiła dalej. — To było nieuchronne. Najlepsi, najdzielniejsi padają zawsze ofiarą, bo też narażają się najwięcej, aby dać przykład. On był zawsze taki odważny od dzieciństwa. Pamiętam, kiedyś, gdy miał nie więcej jak 10 lat, było to w Tregnier, na wakacjach. Odnawiano wówczas kościół, który też obstawiony był cały drewnianem rusztowaniem. Mały jakiś chłopak wspinał się nie wiadomo jakim sposobem na jedną z najwyższych belek, by odczepić swego latawca. Nagle jednak zdjął go taki strach, że nie śmiał ruszyć się ani zejść na dół i siedział na belce, wołając o ratunek. Przechodziliśmy właśnie wtedy z boną. Ernest pobiegł bez namysłu, wspinał się z belki na belkę, wołając do chłopca: „Widzisz, że to nie straszne!“ — doszedł tak na górę, sprowadził dziecko, a potem wrócił jeszcze po latawca. Zdaje mi się, że słyszę go jeszcze, jak mówił do mnie: „Nie masz pojęcia, Kasiu, jak to zabawnie bać się, a przecie iść“. On już wtedy kochał niebezpieczeństwo. Lękam się najbardziej, panie Marsal, by ta rana w głowie nie pozbawiła go przytomności. To byłoby najgorsze. Pomyśl pan, taki człowiek nie jest już sobą.

Umilkła. Zapewne przemknął jej przez myśl obraz męża.

— Dlaczego się pani tego obawia? — spytałem.

— Bo go tu przysyłają — odpowiedziała, drżąc cała. — W szpitalu można się z czasem ze wszystkim oswoić, tylko nie z tem. Myślałam o tem właśnie wczoraj w czasie nocnego dyżuru. Jest chwila dziwnie zawsze dla mnie wzruszająca, gdy świt błękitny wkrada się rankiem do sal, w których śpią chorzy. Przez całą noc słyszało się skargi, jęki, ciężkie oddechy i zmieszane westchnienia, słowem ból. Naraz nastaje chwila, co prawda bardzo krótka, w której wszystko cichnie, usypia, a wtedy, patrząc na chwilowe ukojenie tych cierpiących ciał, nabieram mimowoli nadziei, bo już nawet ten krótki sen jest bądź co bądź ulgą i przerwą w cierpieniu. Znam wszystkie ich rany i myślę o nich wtedy: „Ten wyleczy się za dwa, trzy, ten za pięć miesięcy“, a potem wzrok mój zatrzymuje się na tych, którzy, mimo że uleczeni ciałem, pozostaną w stanie prawie zwierzęcym i wieść będą dalej jakąś półgłęboką stencję bez woli, myśli, częstokroć bez mowy. Takim życzyłabym prawie, aby się wcale nie zbudzili. Jeśli mam zobaczyć Ernesta w takim stanie...

— Po cóż pani przewiduje najgorsze. Tak nie można.

— Ma pan słuszność, a zresztą w takim razie nie moglibyśmy...



Wzrok jej spochmurniał w chwili, gdy wymawiała te słowa zagadkowe, których znaczenie było dla mnie jednak całkiem jasne.

— Trzeba przedewszystkiem pomyśleć o przygotowaniu dla niego pokoju — mówiła dalej, całkiem już nad sobą panując. Damy mu ten, wie pan, drugie drzwi na prawo, pod konwalią. Co prawda i mnie rażą dziś te nazwy kwiatów, zastosowane do miejsc, gdzie ludzie tyle cierpią.

Rzeczywiście wrażenia wiosny, świeżości i lekkiej wesołości, związane z pojęciem konwalii, tej lili wodnej, stanowiły chyba krążącą sprzeczność z widokiem rannego, którego nam przywieziono nazajutrz.

Mimo że porucznik mógł chodzić, wniesiono go na noszach z rozporządzenia chirurga, który mu był założył pierwszy opatrunek, a który obawiał się widocznie dla niego każdego żywszego ruchu. Głowę miał ranny obandażowaną i podwiązaną pod brodą opaską z gazy, a w tem złotawem obramowaniu uwydatniała się bardziej jeszcze bladość jego męskiej, energicznej twarzy z oczyma podkrążonemi i rozszerzonymi źrenicami, z których przeglądał w tej chwili wyraz niemal zwierzęcego bólu.

Dwa miesiące wojny zrobiły swoje i naznaczyły piętnem swem człowieka w pełni sił i zapędu, jakim był porucznik Le Gallic w początkach sierpnia. Dziś powracał wyczerpany nietyl-

ko w skutek ciężkiej rany, ale i z nadmiaru wzruszeń i trudów. Obawy jednak pani Ortegue nie sprawdziły się. W tem ciężko udręczonem ciele, umysł pozostał nietknięty, hart duszy także, a świadczyły o tem pierwsze słowa, jakie wyrzekł ranny, gdy ułożono go na łóżku w jego pokoju.

— Nie trzeba płakać, Kasiu, nie jestem tego wart, a przytem nie ma powodu. Marzyłem zawsze o tem, by paść w obronie ojczyzny i Bóg dał mi tę łaskę, a w dodatku pozwolił mi wiedzieć o niej.

— No, no! mój chłopcze — przerwał Ortegue, który chciał koniecznie kierować osobiście pierwszymi posługami, oddanemi rannemu — nie trzeba tyle mówić. Przedewszystkiem musimy wiedzieć prawdę o tym kamyczku, który ci gdzieś ugrzązł. Rozwiń mu, proszę, bandażę, Marsal, a ty Erneście odpowiadaj mi jak najkrócej, najlepiej jednym wyrazem. A najpierw ile dni temu zostałeś ranny?

— Sześć.

— A gdzie cię boli? tu? tu? tu? Mówiąc tak, przesunął palcem po własnej czaszce, aż do chwili, w której Le Gallic zatrzymał go, mówiąc:

— Tu.

Było to miejsce, gdzie snują się pod czaszką nerwy potyliczne.

— Boli cię bardzo ?

— Tak.

— To znaczy, że masz w tem miejscu nerwy poszarpane, a może tylko naruszone. Czy miewasz zawroty głowy ?

— Teraz nie.

— A gorączka ? Zobaczymy zaraz.

Założył mu termometr, który stwierdził, że gorączki niema.

— Miewasz konwulsye ?

— Nie.

— Doskonale ! Przytomność zupełna. A czy widzisz moje palce ? — Mówił to, przysuwając palce swe do obu skroni porucznika.

— Nie bardzo — odparł Le Gallic.

Rozwinałem następnie bandażę i oczom naszym ukazała się mała ranka z tyłu głowy, otworek tem widoczniejszy, że włosy były dokoła wystrzyżone. Ortegue przyglądał się ranie długo i z uwagą.

— Zdaje mi się, że mogę tu postanowić stanowczo definicyę — rzekł wreszcie. — Kość polityczna przebita, kula została. Uwięzła prawdopodobnie w prawej komórce nerwowej. Można ją tam zostawić w spokoju, wobec tego, że nie masz ani zawrotów, ani konwulsyi, ani gorączki. O ile wnosić mogę z wyglądu rany, niema w niej odłamków strzaskanej kości, co jednak sprawdzić trzeba dyskretnie za pomocą trepanu. Młody je-

steś, wyleczysz się, kula stanie się z czasem obcem ciałem, tolerowanem przez organizm. Przedewszystkiem spokój, trochę morfiny dla stłumienia newralgicznych bólów, ruszać się jak najmniej, aby się kula umiejscowiła. W taki sposób wyzdrowiejesz całkiem i przeżyjesz niejeden jeszcze piękny dzień.

— Nie piękniejszy w żadnym razie od tych, jakie przeżyłem w ostatnich czasach w okopach — odparł Le Gallic. — Wspaniała to rzecz, leżeć tak pod gradem kul z myślą, że lada chwila oglądać będziemy Boga.

— No, ale odłożyłeś to na inny raz — zauważył z przymusem Ortegue. — Bo też my lekarze staramy się zwykle przeszkodzić tego rodzaju spotkaniom. Marszał zmieni ci opatrunek, a ja pójdę spocząć. Bo widzisz, mój biedny Erneście i ja także nie czuję się dobrze; chorowałem ciężko po twojej ostatniej bytności, a i teraz jeszcze jestem poważnie chory, nie chciałem jednak spuścić się na nikogo, nawet na niego (ukazał ręką na mnie) w pierwszym opatrzeniu twojej rany. Jutro każemy ci prześwietlić najlepszemu naszemu radyografowi, a dziwiłbym się, gdyby i on nie potwierdził postawionej ci przezemnie dyagnozy.

Wyszcudł, a myśmy zostali przy chorym, pani Ortegue i ja. Le Gallic leżał nieruchomy, z oczyma na wół przymkniętymi i głową na pół obandażowaną.

— A widzisz — zaczęła mówić pani Ortegue — że niema nic groźnego w twojej ranie. Michał rzadko się myli, a jeśli nie uważa operacji za konieczną... Wierzysz mu przecie? — spytała, widząc, że chory milczy uparcie.

— Wiem, co wiem — odparł porucznik. — Mieliśmy w naszym polowym ambulansie kolegę rannego, jak ja, w tem samym miejscu. On także nie miał ani zawrotów głowy, ani konwulsyi, ani podniesionej temperatury, a tylko umarł nagle. To samo będzie ze mną. „Nastroiłem się już na to“ — jak mówią w naszych stronach. — Pamiętasz Kasiu? To też mówmy lepiej o czem innym.

— O nie! — przerwała mu pani Ortegue. — Mówmy o tobie. Niech ci najpierw powie pan Marszał, że niema na świecie dwóch ran do siebie podobnych, a ty, zamiast „głuptasić“ — jak mówią także w naszych stronach — opowiedz nam lepiej, w jakich okolicznościach dostałeś swoją kulę.

— O, niema w tem nic ciekawego ani bohaterskiego — odparł oficer. — Na wojnie tak bywa. Wziąłeś udział w dwudziestu bitwach i kule cię nie chciały. Aż tu posyłają się z rozkazem, jak było właśnie ze mną. Idziesz całkiem bezpiecznie podkopem komunikacyjnym, dzień stosunkowo spokojny, bitwy prawie niema — i właśnie w chwili, gdy stanąłeś w miejscu odkrytem,

pada granat i trafia cię, całkiem głupio, powiedziałbym, gdyby nie to, że to było na służbie i że tyłu już żołnierzy naszych, nie skarżąc się, padło w ten sam sposób. To też i ja się nie skarżę. Powiem wam, że od początku wojny, koledzy moi i ja, mamy jedno tylko dążenie: dorównać żołnierzom naszym...

— Nie ustępujesz im z pewnością — zauważyła pani Ortegue.

— Spodziewam się, że spełnił swój obowiązek. Ale powiedz mi o mężu twoim, wspominał coś o swej chorobie.

— Jest już znacznie lepiej — zacząłem mówić — i mamy nadzieję...

Ale tu pani Ortegue przerwała mi stanowczo.

— Nie mamy żadnej nadziei. Po co pan łudzisz Ernesta, panie Marsal. I tak zauważyłby z pewnością stan mego męża i zapytywałby go, co mu jest, co go boli, a pan wie, jak Michał stał się teraz drażliwym. Tak mój Erneście, biedny mój mąż jest bardzo chory, dni jego są policzone. Zrozumiesz zresztą sam, skoro ci powiem, że ma raka.

Ranny spojrział teraz na swą kuzynkę po raz pierwszy od wyjścia profesora, a w oczach jego w miejsce pogodnego cierpienia, odmalowała się bezmierna litość. Usłyszałem też, jak wyszeptał raczej od siebie.

— „Wszędzie tedy znajdziesz swój krzyż“ — a potem spytał głośno:

— Więc to rak? Napewno rak?

— Niema wątpliwości.

— I on wie?

— Wie.

Le Gallic zdawał się wahać, a potem rzekł poważnie:

— Pozwolisz, że ci zadam jedno pytanie. Jak on teraz zachowuje się w stosunku do swych pojęć religijnych?

— Jakże chcesz, żeby się zachowywał, skoro wiesz, że te pojęcia wcale dla niego nie istnieją.

— Nawet w obliczu śmierci?

— Nawet w obliczu śmierci.

Tu Le Gallic zawahał się znów, a na twarzy jego odbiła się jakby troska.

— A ty Kasiu! Miałaś przecie wiarę, gdyśmy byli dziećmi. Nie dalej jak przed dziesięciu laty byłaś już przecie prawie dorosłą, przystępowaliśmy razem do Komunii wielkanocnej, w naszej starej katedrze w Tregnier, na tem samym miejscu, gdzie od wieków przystępowali tak samo do tego Sakramentu ojcowie nasi, od których pochodzimy oboje, ja i ty. Wszak prawda, że dziś zwłaszcza u progu prawie rozłączenia z mężem, wierzysz obietnicy, w którą oni wierzyli?

— Jakiej obietnicy?

— Życia wiecznego.

— Niema życia wiecznego.

— Odpowiem ci na to słowami św. Pawła, które pewien ksiądz-żołnierz, zabity później pod Ypres, powtarzał nam w okopach: „Jeśli niema w nas inszej nadziei, jak na żywot doczesny, biada nam, bośmy najnędzniejsi z ludzi“.

— Nie chodzi przecie o to, byśmy byli szczęśliwi, lecz byśmy żyli w prawdzie.

— Czy może tkwić prawda w zasadach, z którymi nie można ani cierpieć ani umierać?

— Patrz na mnie! — przerwała mu gwałtownie pani Ortegue — i patrz na mego męża, a przekonasz się, czy nie potrafimy i my także cierpieć i umrzeć.

Chciała odejść po tych słowach, ale zatrzymała się jeszcze, chcąc jak się zdaje złagodzić wrażenie.

— Mój Erneście — rzekła — mąż mój nie pozwala ci mówić, a ja wyciągam ciebie na gadanie i sama gadam. Dość już tego, przyślę ci inną pielęgniarkę, która dostanie instrukcye od pana Marsal. Do widzenia mój drogi, powrócę wkrótce.

Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie.

## XVII.

Zadrżałem wewnątrznie, słysząc, jak pani Ortegue upewniała wyzywająco tego chrześcijanina, że przekona go, iż ona także będzie umiała cierpieć i umrzeć. On zrozumiał zapewne te słowa



w odniesieniu tylko do stanu profesora; ja wiedziałem, że stosowała je do siebie. Stwierdziła więc jeszcze raz wolę swą tego samobójstwa, przeciw któremu nie przedsiębrałem dotąd nic, przez zbytnią przezorność, z powodu której doznawałem teraz wyrzutów sumienia. Lecz nagle miałem jakby objawienie, że właśnie ranny może być tym czynnikiem przeciwdziałania, którego szukałem dotąd na próżno.

Był przecie najbliższym krewnym pani Katarzyny, prócz jej matki, która wyjechała z Paryża w pierwszych dniach wojny. Pierwotnie miałem nawet zamiar pisać do niej, ale później zaniechałem tej myśli, nie chcąc wtajemniczać w tak wyjątkowo tragiczną komplikację kobiety, znanej z ciasnoty i samolubstwa. Uprzytomniłem znów sobie podobnie jak wówczas, gdy weszła do pierwszych wynurzeń pani Ortegue, że zimne rozumowanie nie wyrze najmniejszego wpływu na tę wykolejoną duszę, która uleść może jedynie oddziaływaniu drugiej duszy, wyposażonej w moc prawie apostołską.

Moc taką miałem oto przed sobą. Dość było spojrzeć na męską, energiczną twarz młodego oficera, na oczy jego, z których po przez mgłę cierpienia przeświecał i promieniował jakiś blask wewnętrzny, dość było przypomnieć sobie słowa, wyrzeczone przez niego przed odjazdem i teraz po przybyciu, aby wiedzieć, że wierząc w to, w

co wierzy z taką szczerością i siłą, człowiek ten musi być zdecydowanym wrogiem samobójstwa. Zrobiłby też z pewnością wszystko, aby przeszkodzić katastrofie.

Na nieszczęście nie miałem prawa ostrzedz go, odstawiając przed nim tajemnicę, podsłuchaną. przezemnie w warunkach, które sam potępiałem. Kto wie jednak, czy on sam nie odkryje prawdy? Słowa, które wyrzekł do mnie po wyjściu swej kuzynki, dowodziły, że znał on do głębi naturę tej kobiety i że odgadywał ją prawie cudownie. Nie dziwiło mnie to później, gdym już wiedział, jak tkliwie, jak bezmiernie ją kochał.

— Panie doktorze — rzekł do mnie po wyjściu pani Ortegue — czy pan także żyjesz w absolutnej negacyi?

— Nie — odrzekłem — chociaż nie żyję też w bezwzględnej afirmacyi. Co się tyczy świata psychicznego, wziąłem sobie już dawno za dewizę napis, wyryty na grobie pewnego uczonego lekarza z Padwy, który żył w średnich wiekach: „Żyłem 80 lat i nie przestawałem uczyć się przez całe moje życie: nauczyłem się też przynajmniej nie zapoznawać własnej nieświadomości... *ignorantium meam non ignorare*“.

— Pokora — zauważył Le Gallic — to już dołowa wiary. Ale moja biedna kuzynka! Słyszałeś pan? Żąda odemnie, bym patrzył na nią, gdy cierpi, a oto uciekła i przed czem? Przed

cierpieniem. Tak mało ma sił do walczenia z niem... Pycha tylko cierpieć umie z twarzą tak spokojną, jaką daje w gruncie rzeczy jedynie wiara. Ale ten spokój pychy, to maska, poza którą kryje się rozpacz. Katarzyna przyjęła wprawdzie doktrynę pychy, ale pyszną nie jest. Kochała dawniej nad życie ojca i przyjęła jego sposób myślenia; dziś kocha męża i myśli, jak on. Przywykła opierać się zawsze o kogoś; to już tkwi w jej naturze, jest przecie kobietą. Co się z nią stanie, gdy ze śmiercią męża zabraknie jej tego oparcia?

Wejście nowej pielęgniarki przerwało nam rozmowę. Pani Ortegue przyprowadziła ją sama. Wyszliśmy następnie razem z nią z pokoju rannego. Mając wciąż w pamięci słowa, które wypowiedziała niedawno, odnawiając niejako ślub samobójstwa, byłem równie prawie wzburzony, jak wówczas, gdy w poczekalni profesora podsłuchałem po raz pierwszy straszne ich wyznania. Postanowiłem też mówić z nią znów w tej sprawie.

— Chodźmy do sali radyograficznej — rzekła do mnie. — Trzeba przygotować płytki.

Towarzyszyłem jej, a skorośmy tylko weszli do sali, rzekłem bez wstępu.

— Powiedziałas pani przed chwilą kuzynowi swemu, że potrafisz pani cierpieć i umrzeć... i umrzeć — powtórzyłem znaciskiem. — Czy znaczy to, że

trwasz pani zawsze w swem okropnem postanowieniu?

Nie spojrzała nawet na mnie, idąc wprost do stołu, na którym leżały stosy płytek i odpowiedziała mi krótko.

— Tak.

Zauważyłem wszakże, że pomimo tego pozorowego spokoju drżały jej ręce, któremi układała płytki radiograficzne. Ośmielony tym objawem wzruszenia, zacząłem mówić dalej, tem bardziej, że mi nie wzbroniła tego wprost.

— Musi mi pani przyznać, że dotrymałem wiernie danego słowa i przez całe trzy tygodnie nie dotknąłem ani słówkiem tej sprawy, mimo że wciąż o niej myślę, nie mówiłem też o niej z profesorem.

— Postąpiłeś pan jak prawdziwy przyjaciel, za co też jestem panu szczerze wdzięczną.

— Ale dziś muszę raz jeszcze zwrócić pani uwagę, że życie pani nie jest wcale wyłączną jej własnością. Słyszałaś pani, co mówił pan Le Gallic. Przez niego więcej jeszcze chyba, jak przez innych rannych, poznać możemy, jakie są uczucia tych ludzi, którzy biją się za nas i za nas giną. Musi też pani chyba odczuwać, jak małośtkowym jest pani osobisty dramat, wobec tych wielkich tragedyj.

— Być może — przerwała mi — ale to mój dramat.

— Nie masz pani prawa usuwać się od współudziału w wielkim dziejowym dramacie, w którym uczestniczyć musimy wszyscy aż do końca. Staraj się pani przyjrzeć bliżej swemu zamiarowi. Chodzi tu o przyniesienie ulgi mężowi pani, ponieważ jest nieszczęśliwy.

— Tak i jak sędzę, że sprawiam mu tem trochę radości.

— Dobrze, a teraz niech pani sobie uprzytomni nasz front bojowy od Dunkierki do Belfort, te setki tysięcy ludzi, którzy tam stoją w ogniu. Każdy z nich, podobnie pani, ma jakąś bliską rodzinę, żonę, dzieci, rodziców. Każdy miał jakąś przyszłość i każdy z nich oddał to wszystko i poświęcił. Dziś każdy cierpi ciałem, leżąc w błocie pod gradem kul, cierpi duszą, tęskniąc za swoimi i płacząc nieraz w skrytości — a jednak muszą iść. Przypomina pani sobie słowa jednego z naszych rannych: „Wychodzić z okopów po drabinie, jest to samo co wstąpić na rusztowanie“. Wstępują jednak wciąż na to rusztowanie. I dla kogo? Dla Francyi, a Francya to przecież tylko suma naszych poszczególnych przeznaczeń, to nasze wsie, miasta, to Paryż ze wszystkimi domami z których się składa, z tą naszą kliniką św. Wilhelma, w której pracujemy i z tym domem, w którym pani mieszka na placu Stanów Zjednoczonych. Tego wszystkiego bronią kosztem krwi własnej i życia. Zapytaj pani teraz własne-

go sumienia, czy po to ponoszą te wszystkie ofiary, aby tu w obrębie tych czterech ścian rozegrał się czyjś dramacik osobisty na tle rozbujałych namiętności?

— Choćbyś pan miał po tysiąc razy słuszność, nie zmieni to w niczem faktu, że ja dałam słowo.

Dała je niezawodnie, ale przecież mogłaby być z niego zwolnioną, co by ją ocaliło. Zwolnić ją mógł oczywiście ten tylko, co wymógł na niej przyrzeczenie siłą swej sugestyi, a którego kroki słyszałem właśnie na korytarzu. Gdyby tak wywołać pomiędzy nimi wyjaśnienie wobec świadka, którego obecność pohamowałyby cokolwiek wybujałość dwóch egzaltacyi, wzmagających się jeszcze bardziej w tem obcowaniu z sobą sam na sam. Zaniechałem jednak wczas tego zamiaru, skoro profesor stanął w progu, bo mnie od razu z jego twarzy, że jest szalenie podrażniony.

— Marszał! — rzekł do mnie. — Namysliłem się i uważam, że niema potrzeby czekać do jutra z prześwietleniem. Poślesz dziś jeszcze po radiografa! Dziś także należy zbadać ranę ze względu na możliwe odłamki kości. Z operacją poczekamy jeszcze, bo przy tem osłabieniu... choć z drugiej strony zauważyłeś jego spokój? Ten człowiek nie ma wcale nerwów. Co prawda, życie intelektualne nie było w nim nigdy rozbudzone. Wszystko się na to złożyło: środowisko domowe

jednostajne, śpiące, później ten konwikt klasztorny, szkoła w Saint-Cyr, wreszcie koszary. Wieczny regulamin, żadnej inicjatywy, żadnej rozmaitości wrażeń. Ludzie tego pokroju stanowią wyborny grunt dla przechowywania różnego rodzaju przeżytków, a ten jest pod tym względem typowym okazem. Wytworzył sobie stereotypowy światopogląd, który przystosowuje obecnie do każdej okoliczności i który mu zresztą wybornie służy.

— Skoro mu więc służy... drogi mistrzu — ośmieliłem się zauważyć.

— Bądź spokojny — przerwał mi Ortegue — nie mam bynajmniej zamiaru naruszać w jaki bądź sposób jego aparatu myślowego. Byłoby to zresztą niewdzięczne zadanie. Tego rodzaju typy nie potrafią żadną miarą zająć stanowiska bezosobistego, jakiego domaga się nauka. Dla takiego Le Gallic jedyną ważną kwestią jest jego osobowość i dalsze jego losy. To przecie jest oś środkowa wszelkich religij. Osią zaś nauki jest tylko stwierdzenie nieskończonego szeregu praw, jakim ulegają zjawiska. Wobec nauki życie nasze to prosty epifenomen; dla takiego Le Gallic to, co nazywa swoją duszą, jest jedynie ważną rzeczywistością. Tu niema możliwości porozumienia.

— A przecież stworzenie ludzkie, które cierpi i kona jest rzeczywistością — zauważyła nagle pani Ortegue.

— To tylko pewne stadyum jego organów, które powstały same, jako serya drobnych zjawisk fizyko-chemicznych, wywołanych wieczy-  
 stym ruchem, który niema początku, ani końca. Ale za to dziedziczność! Co za potęga! Patrz tylko na moją żonę, Marsal. Wie przecież dobrze, że istnieją dwa światopoglądy, fizyczny i moralny, inaczej mówiąc naukowy i religijny. Wie również, że pierwszy oparty jest na ścisłej obserwacji przyrody, drugi na samych tylko marzeniach, że zatem nie mogą być nigdy z sobą zgodne. Wie o tem wszystkim bardzo dobrze, zna fałsz i prawdę. Ale wystarczy spotkanie z towarzyszem lat dziecińczych, który jest ranny, aby wrażenia dzieciństwa zmartwychwstały w niej nagle. I oto stoimy wobec fenomenu podstawienia chwilowego osobowości jej z piętnastego roku jej życia na miejsce dzisiejszej. Nie zdaje sobie sprawy z gruntu pojęć, wyznawanych przez tego chłopca, który wyobraża sobie, że sam Bóg wziął go za rękę i wyprowadził z tego okopu, aby mógł dostać w głowę rondlem, sfabrykowanym w Essen. Przyznać musisz sama, moja droga, że to przecież szaleństwo, czysta waryacya.

Śmiał się sarkastycznie, mówiąc te słowa, ale jednocześnie pani Ortegue wybuchła głośnym łkaniem.

— Co to jest Katarzyno! — zawołał. — Co ci jest? Dlaczego płaczesz? Wybacz nam, Mar-



sal, tą małą scenę małżeńską. Ale co się właściwie stało?

— Nic... tylko, że to życie jest zanadto ciężkie. To boli.

— To też moje biedne dziecko, robimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby je zrobić lżejszem, przynajmniej w naszej klinice. Idźże Marsal i telefonuj natychmiast po radyografa. To będzie najpewniejsze.

### XVIII.

Znacząca ta scena dodała mi trochę otuchy. W głosie Ortegue'a drżała, jak mi się zdawało, litość, gdy mówił do żony „moje biedne dziecko“. Jakby się jednak dowiedzieć, co zamierzają oboje w stosunku do postanowionego samobójstwa? Czy rozmawiali o niem powtórnie i w jakich słowach?

Dwa fakta w każdym razie nie ulegały wątpliwości: ona przed chwilą nie umiała przeciwstawić przytoczonym przeze mnie argumentom nic, prócz danego słowa; on czuł się widocznie wzruszonym, słysząc, jak skarżyła się we łzach, że życie jest zbyt ciężkie. Pożałował jej, uczuł litość, widząc ją słabą i „poddającą się naturze“. Było to jego ulubione wyrażenie, które powstarał często u wezłowia chorych w czasie swych wizyt w klinice, zwłaszcza, gdy ich zastawał we śnie. „Nic dla mnie nie ma bardziej wzruszają-

cego, mawiał wtedy, nad widok cierpiącej istoty ludzkiej, która z prostotą poddaje się naturze<sup>a</sup>. A więc wystarczy może, by żona jego zdradziła lęk przed samobójstwem, a wtedy on sam zatrzyma ją na tej drodze i obroni przed pokusą, którą w niej sam wzniecił może bez zamiaru, którą jednak przyjął w przystępie bezprzykładnego samolubstwa i szalonej rozpacz.

Tak postąpiłby zapewne dawny Ortegue, ów wspaniały pracownik wiedzy, przepelniony, rzecz można, altruizmem, który wypływał z jego temperamentu. Jeden z kolegów naszych, pełniący przy nim obowiązki asystenta, zwykł był mówić o nim:

„Nasz majster wspaniały jest, jak szlachetne wino“ i zdanie to określało dobrze wczorajszego Ortegua. Ale dzisiejszy, ten upiór wychudły i znędzniały, naprzemian drzemiący, to wybuchający gniewem, a przytem nad wyraz podejrzliwy, nie miał nic wspólnego z tamym, prócz chyba władz umysłowych, które przetrwały w nim zdumiewająco, podczas kiedy uczuciowa strona jego natury ulegała stopniowo zwyrodnieniu, graniczącemu z deprawacją.

Nie chcąc abdykować ostatecznie, upierał się przez miłość własną przy swem stanowisku kierownika kliniki, a że codzienna jazda samochodem utrudzała go zbyt, zamieszkał na stałe przy ul. św. Wilhelma. To codzienne z nim

współzycie pozwalało mi śledzić krok za krokiem stopniowy rozkład moralnej jego istoty, stokroć dla mnie bolesniejszy od fizycznego upadku. Patrzyłem codziennie na staczanie się jego po tej pochyłości i stwierdziłem odrazu, że przyjazd Ernesta Le Gallic spowodował nagłe i znaczniejsze obniżenie w tym procesie stałego upadania.

Pierwszym tego dowodem było jego drwiące szyderstwo, na które nie pozwalał sobie dotąd nigdy wobec chorych. Skoro przyniosłem mu nazajutrz wynik radiograficznego zdjęcia i sprawozdanie ze stanu rany, rzekł mi na to:

— A więc rana normalna, nie zanieczyszczona odłamkami. Bardzo dobrze. Kula, jakem to przewidział, utkwiała w prawej komórce nerwowej; możemy poczekać z operacją. Le Gallic ma zresztą doskonałe warunki z tym swoim mózgiem, który nigdy nie pracował. Jak sądzisz, a gdybyśmy go tak nauczyli myśleć? Zdumiałby się chłopaczek, co?

Śmiał się przytem przykrym złośliwym śmiechem, podobnie jak w sierpniu za pierwszej bytności oficera, tylko że wtedy śmiech ów był wynikiem podrażnienia człowieka chorego, a dzisiaj brzmiała w nim złość, granicząca z nienawiścią.

W parę dni potem wyczytałem w spojrzeniu jego większą jeszcze zaciętość, gdy mając zamiar odwiedzić rannego w jego pokoju pod kancela-

ryą, spotkaliśmy tam u progu panią Ortegue, która zatrzymała nas, mówiąc:

— Nie wchodźcie teraz, Ernest zażądał księdza, którego mu właśnie przyprowadziłam.

— Taak? — syknął Ortegue — więc gdy cię szukałem przed chwilą napróżno, byłaś tam?...

— Ależ tak.

Ortegue nic na to nie odrzekł, tylko stanął przy oknie, wychodzącym na ogród i bębnił niecierpliwie po szybie.

— Marszał! — odezwał się wreszcie — wszak Le Gallic widział się już z księdzem przedtem, nimesz go znieczulił dla wysondowania rany.

— Tak, — odrzekłem.

— A teraz znów! Ładnie to musi wyglądać, taka spowiedź żołnierza, powracającego z obozu.

— Nie takiego, jak on, — przerwała pani Ortegue.

— A co się tyczy innych, — ośmieliłem się zauważyć — należy się im chyba pobłażliwość. Wszakże sam przyznawałeś drogi mistrzu, że ci ludzie idą na śmierć za nas.

— Nie ja też z pewnością będę im poczytywał za grzech, dzielny ich współudział w przysporzeniu ludności Francji — szydził Ortegue. — Ale coś Bajard nasz sporo ma do opowiadania księdzu. No! wreszcie skończył.

Drzwi, prowadzące do pokoju pod konwaliał otworzyły się i wyszedł przez nie ksiądz Courmont, kapelan szpitalny.

Był to chudy człowieczek, liczący lat około 60-ciu, z twarzą świeżą, rumianą, rozświeconą parą niebieskich oczu, które spoglądały z poza złotych okularów z wyrazem dziecięcej niemal pogody. Wyraz pewnej, czysto zawodowej subtelności w połączeniu z charakterystycznym mrużeniem powiek i finezyą uśmiechu, równoważyły zbyt może dobroduszny charakter jego twarzy, z której zresztą przebijała wrodzona przenikliwość obok olbrzymiego zasobu dobroci.

Ksiądz ten znany był wśród paryskiego duchowieństwa z wielkiej tolerancyi; uważanym był za człowieka bardzo liberalnych poglądów, i dzięki właśnie tej jego opinii Ortegue przyjął go jako kapelana do swej kliniki. Poznawszy jednak z bliska prostą i gorącą wiarę tego człowieka, obok wielkiej, prawdziwie misyonarskiej pobłażliwości, profesor doznał w gruncie zawodu. Od początku wojny ksiądz Courmont rozwinął niesłychanie gorliwą działalność. Opowiadano o nim, że w czasie odmarszu wojsk stawał godzinami całemi w pobliżu jednego z naszych wielkich dworców i wdawał się w rozmowy z żołnierzami, nakłaniając całe ich setki do spowiedzi.

Ortegue naogół lubiał go dosyć, uważając go zresztą za ciekawy okaz, zachowany z przeszłości; dziś wszakże zauważyłem, że na widok księdza w oczach profesora zamigotały złe błyski,

a dokoła ust przewinał mu się jadowity półuśmiech.

— Ach, pani! — mówił tymczasem z wylaniem ksiądz Courmont — kuzyn pani, to święty, prawdziwy żołnierz podług Ewangelii.

— Nie tak bystro, mój kapelanie — przerwał mu Ortegue. — Mógłbyś nazwać krewnego naszego bohaterem, i na to zgoda, ale mówić o Ewangelii w zestawieniu z człowiekiem, który powraca z pola bitwy — to już za wiele. Nie rozczytywałem się wprawdzie zbyt często w tej książce, którą podziwiam zresztą jako największy sukces wydawniczy, jaki osiągnął kiedykolwiek handel księgarski, przypominam sobie jednak pewien ustęp z kazania na górze, gdzie jest powiedziano: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi“. Czy nie tak jest w tekście?

— Z pewnością — potwierdził ksiądz — ale jest też w Ewangelii mowa o setniku, któremu Pan uleczył sługę i którego podziwiał. Tak, panie profesorze, Chrystus podziwia setnika, skoro mówi o nim: „Zaprawdę, nie spotkałem takiej wiary w Izraelu“. A przytem, uważa pan, bogaczowi mówi Chrystus: „Porzuć swe majątności“, ale nie mówi setnikowi: „Porzuć swój pułk“. Setnik to przytem naznaczył na zawsze mszę świętą słowami swemi: „Non sum dignus“ — i słowa te, słowa żołnierza powtarza codziennie

ksiądz przy ołtarzu; żołnierz ma ostatnie słowa przed dopełnieniem się świętej ofiary.

— Widzę tylko, żeś kapelan zmilitaryzował Ewangelię, jak ja moją klinikę — odrzekł Ortegue. — Gdyby jednak sługa setnika miał pod czaszką taką drzazgę, jak ten biedak Le Gallic, to wasz mistrz z Nazaretu straciłby czas na próżno, próbując go uleczyć. Bez urazy, kapelanie, zrobiłeś swoje, a teraz na nas kolej. Chodźmy więc do naszego setnika. Czy idziesz z nami, Kasiu?

— Owszem, tylko wpierw odprowadzę księdza Courmont — odparła pani Ortegue. — Słyszac to, profesor spojrział na nią z wyrazem, który mówił: „Spodziewam się, że nie masz zamiaru usprawiedliwiać mnie przed nim“... zmarszczył przytem brwi tak groźnie, że żona jego nie poważyła się sprzeciwić temu niememu rozkazowi i powróciła wnet, zamieniwszy zaledwie parę wyrazów z księdzem Courmont, poczem weszliśmy razem do pokoju porucznika.

## XIX.

Ranny leżał na wznak, pisząc swoim stylografem. Piękna jego męska twarz, wysubtelniona cierpieniem, tchnęła wyrazem niezmiernej godności; w jasnych, nieco marzących źrenicach, migotał ciepły płomyk.

— Złapaliśmy cię na gorącym uczynku, panie oficerze — rzekł, wchodząc Ortegue. — Takież

to poszanowanie karności i posłuszeństwa winnego lekarzowi. Wzbronilem ci przecie surowo pracować, a ty pracujesz.

— To nie praca, — odparł Le Gallic. — Przepisywałem tylko parę zdań w wspomnieniu pośmiertnym dla jednego z moich kolegów, Franciszka Delanoe. Pamiętasz go zapewne Kasiu? Ten, co tak dobrze wioskował.

— Pamiętam. Więc zginął?

— Padł jak bohater, tuż obok mnie. Było to przed ośmnastu dniami. Spisałem nawet w pierwszej chwili szczegóły jego śmierci, dla jednego z dzienników, wychodzących w Rennes, gdzie Delanoe osiadł był jako adwokat i gdzie go wszyscy znali. Po namyśle jednak nie posłałem tego wspomnienia, bo forma jego wydała mi się zbyt chropawa.

— Masz je może przy sobie? — spytała pani Ortegue.

— Tak, ale to drobiazg. — Wydobył, mówiąc to, parę arkusików zapisanego papieru z teczki, leżącej przy jego łóżku pomiędzy Nowym Testamentem a jakąś książką świecką.

— Oto rękopism — rzekł do pani Ortegue. — Możesz go przeczytać głośno, jak chcesz, a w takim razie ty kuzynie i pan panie Marsal dowiecie się, co warci są nasi żołnierze. Trzeba ich kochać, widzicie, bo zadanie ich jest bardzo ciężkie. Słyszałem raz jednego z nich, jak mówił



w okopach: „Jeśli raz jeszcze pójdziemy do szturm, krzyż honorowy pewny“. „Albo krzyż drewniany“ — rzekł na to drugi. „To przecie wszystko jedno“ — odparł tamten. — Ale czytaj, Kasiu.

Pani Ortegue rozwinęła rękopism i zaczęła czytać. Nie pamiętam, abym doznał kiedy równie silnego wrażenia, jak słuchając tego opisu, gdzie w zwartych, prostych słowach skreślony był tak wyraziście obraz szalonego szturm, przez jednego z jego uczestników. Wyrazy techniczne, wplecione w to opowiadanie i wymawiane z pewnym trudem drżącym głosem kobiecym, potęgowały jeszcze wrażenie. Przy ustępach zbyt okrutnych lub wskrzeszających zbyt twardo przeżyta scenę, głos czytającej zamierał chwilami od tłumionego wzruszenia. Opowiadanie to przytaczam tu w całości.

. *Franciszek Delanoë.*

(Świadectwo).

Zginął jak bohater. Był mi od dziecka druhem i towarzyszem, a od ośmiu dni moim sierżantem. Biedny chłopak.

Atak obmyślany był w najdrobniejszych szczegółach. Zregulowano co do sekundy zegarki szefów sekcji. O 5 zrana wyruszyć mieliśmy z okopów bez racy sygnałowej. Ludzie nasi bez tornistrów; każdy po dwieście nabo. W chlebaku po

pięć granatów ręcznych; manierki pełne wody i kawy. Po pięć worków na ziemię, przytroczonych na plecach, dla zapchania strzelnic w zdobytych podkopach.

Przed wyruszeniem z rowów każdy wykopać miał przed sobą łopatką, wiszącą u pasa, jeden schodek dla szybszego wyskoczenia z okopu. Potem biegiem bez wystrzału. Wszystko na bagnety; dopadłszy na miejsce, granat ręczny.

Dziesięć minut przed piątą zakomenderowałem: „Gotów, baczność!”

Wtedy to doświadczyłem, jak zwykle, jakby ściśnięcia wnętrzości i jakby palenia we wszystkich członkach. co nie jest oznaką strachu, nad czem jednak żadna siła ludzka zapanować nie zdoła. Ludzka nie, ale za to Boska! Delance i ja spowiadaliśmy się w wilią tego dnia. On stał tuż przy mnie i rzekł cicho:

— Zginę dzisiaj. Jestem tego pewny.

— Boisz się? — spytałem ze śmiechem.

— Nie; przeciwnie, nigdy nie czułem tak dobrze wartości życia i jak pięknem jest, gdy je można oddać za sprawę. Nigdy też nie było mi tak łatwo umrzeć, bom nie czułem nigdy tak wyraźnie, jak dziś, obecność Boga.

Gdy mówił to, wstawał powoli świt poranny nadając mu pozór na wpół zjawiskowy i oblekając go w jakieś nieziemskie piękno.

Świt ten pędził przed sobą lekkie wilgotne mgły, które spływały jak całuny ze stożków

i słupków przegradzających nasze zasieki kolczaste. Widziałem w tej chwili wybornie wolne w nich przejścia, które wyrąbali dla nas w ciągu nocy nasi saperzy.

Nagle Delanoe rzekł:

— Słyszysz? Skowronek, jak u nas.

Słyszałem świegot ptaszęcy, pozdrawiający ten chłodny świt jesiennego poranku. Wszystko wyglądało zdaleka szaro. Nie dostrzegałem w tej chwili naszej mety, choć wiedziałem, że tam, w odległości trzystu metrów są ich okopy, patrzące na nas szeregiem czarnych jam, niby oczu rozwartych szeroko u nasady nasypów. Były to strzelnice dobrze strzeżone. Przeszukałem był wczoraj jeszcze moją lunetą ich pozycje i znalazłem dokładnie rozmieszczenie czterech karabinów maszynowych, które zabezpieczały ich flanki, uniemożliwiając prawie dostęp do ziemnych bastyonów.

Jeśli w czasie ataku „gruba“ nie wykona maksimum swej pracy, a ich zębate zasieki utrzymają się, to obliczyć można z matematyczną ścisłością, że karabiny ich skoszą nas do cna.

Delanoe wiedział to równie dobrze, jak ja i rzekł tylko:

— Trzysta metrów na bagnety, to szaleństwo.

Potem pokazał mi wynurzającą się w odległości dwustu metrów falistość gruntu, gdzie można było zapaść na chwilę. Ratunek to być mógł, pau-

za, spoczynek chwilowy, który pozwoli nam do-  
czekać się następnej fali atakujących, tej, co  
przyjdzie za nami.

— Mamy w każdym razie szanse — rzekł De-  
lanoe.

— Za pięć minut 5-ta.

— Osadzić bagnety!

Długi chrząst stali i szereg błysków. Ręce ści-  
skają karabiny. Delanoe i ja spojrzeliśmy na na-  
szych ludzi. Bracia to nasi, towarzysze dwumie-  
sięcznych niedoli i nadziei, których rzucić musi-  
my teraz w czeluść ognistą. Pragniemy obaj u-  
całować biedne ich zczerniałe, wychudłe twarze.  
Który z nich, w pełni sił i młodości, padnie za  
chwilę? Właśnie w tej minucie, jakgdyby ule-  
gając jednemu prądowi, uścisnęliśmy sobie ręce.

— Żegnaj Erneście! — rzekł Delanoe.

— Do widzenia wkrótce.

Ale on znów.

— Żegnaj.

Piąta godzina.

— Chłopcy! naprzód! Naprzód!

Jednym zamachem wytrysnęły z ciemnego oko-  
pu wszystkie czapki i piersi wszystkie, najeżone  
bagnetami. Zakołysał się pierwszy hufiec, deptając  
wysokie trawy.

Tamci już nas dostrzegli.

Trzask... trzask... trzask... karabiny biją bez  
przerwy, pluja nam w twarz kulami.

— Biegiem!

Ach! już słyhać tępy łoskot szarpanych ciał i trzask łamanych kości, tu i ówdzie stłumiony krzyk, lub obelga z klątwą, wybiegająca z ust zataczającego się żołnierzc.

— Biegiem!

Karabiny biją coraz gęściej. Szrapnele gwizdzą i pękają o jakie trzy metry od głowy.

— Prędeż, chłopcy! prędeż! Padnij!

Dobiegliśmy pierwszego przestanku. Leżymy w błogosławionem zagłębieniu, milczący, zdyszani, nabieramy tchu.

— Delanoe! Jesteś?

Jest przy mnie, blady, krew spływa mu z policzka i plami jasną jego bluzę.

— Ranny jesteś?

— Drobiazg. Szczęka przebita,

— Wracaj i daj się opatrzyć.

— Wracać? Żartujesz, nigdy w życiu.

— Ja ci każę, twój porucznik.

— A ja, twój przyjaciel, zostaję przy tobie.

Nadbiega już drugi pluton. Wstaję więc po raz drugi i wołam:

— Chłopcy, naprzód!

Pędzimy tym razem, jak huragan. Ostatnie sto metrów, naprzód, wciąż naprzód, z pochylonem czołem, sercem bijącym i zaciętymi zębami. Pędzimy ku białej linii, która rysuje się coraz wyraźniej, zionąc wciąż ku nam śmiercią..

— Naprzód! Naprzód! Naprzód!...

Jesteśmy już, już. Runęliśmy na siebie. Skłębione ciała skaczą, zapadają, bagnety pławią się we krwi,

— Hejże! zatkać strzelnicę.

— Tę na lewo.

Potok przekleństw. Wszystkie strzelnice w naszym ręku...

— — — — —  
Słońce wschodziło, promienne, jasne słońce, to samo, które przyświeca zbożnym trudom w czasach pokoju. Dokoła cisza, straszliwa cisza, owo „potem“, co nadchodzi po zgiełku bitwy, a które stało się wieczystem „teraz“ dla tylu naszych poległych tam na równinie.

Z gardła ściśniętego wybiega mi wołanie:

— Delanoe! Delanoe!

Znalazłem go. Leżał twarzą ku ziemi. Zażarła się wojna na szlachetną, dumną twarz żołnierza. Raz jeszcze ugodził go granat, zmiażdżył głowę i potrzaskał. Na piersiach pozostał nietknięty szkaplerz Serca Jezusowego.

*Cor Jesu, spes in te morientium, miserere nobis.*

---

— Dlatego także nie ogłosiłem drukiem tego wspomnienia, rzekł Le Gallic, że nie chciałem, aby matka Delanoe dowiedziała się o strasznym pośmiertnym oszpeceniu tego syna, którego tak

kochała. Ona to prosiła mnie o wybranie paru zdań z Ewangelii na obrazek pośmiertny, którym obdarzyć chce wszystkich żołnierzy, którzy należeli do jego sekcyi. Teraz gdy znasz już szczegóły tego zgonu, doradzisz mi Kasiu, czym trafny zrobił wybór.

Podał jej osobną ćwiartkę zapisanego papieru, którą ona przejrzała w milczeniu i zwróciła mu ją za chwilę, ale wtedy Ortegue rzekł:

— A niedowiarek może zobaczyć?

— Ależ naturalnie — odparł porucznik — i pan Marsal także.

Mam w tej chwili przed sobą teksty, które przepisałem tegoż jeszcze wieczora, bo i ja też podobnie, jak porucznik Le Gallic, spisuję świadectwa i zbieram dokumenty dla dwóch sposobów pojmowania śmierci. Jeden z nich scharakteryzowany jest wiernie w tych krótkich tekstach, wybranych przez oficera bretońskiego na wspomnienie dla padłego w boju towarzysza broni. Zestawione z powyższym opisem dopełniają go i objaśniają. Zawierają one jakoby zwięzły ekstrakt psychiki takich ludzi, jak Le Gallic lub Delanoe, tych setników z Ewangelii. Le Gallic zwłaszcza był tak szczerym, tak skończonym typem ludzi, których wola streszcza się w czynie, wiara w modlitwie, których czyn prowadzi do wiary, a wiara do czynu. Symbolem dusz takich jest miecz ujęty za rękojść, jako narzędzie wojny, w pokoju zaś

ten sam miecz, utkwiony ostrzem w ziemię, staje się dla nich krzyżem, przy którym trwają.

Czy indywidualność takich ludzi jest istotnie wpływem tylko atawizmu, jak twierdził Ortegue. Dlaczego więc w ciężkich chwilach kraj w nich właśnie znajduje pracowników, jakich mu trzeba? Dlaczego ich energie zlewają się najściślej z żywotnymi zagadnieniami społeczeństwa, którego są członkami? Dlaczego ich sposób myślenia i odczuwania jest najpotężniejszym wykładnikiem tych władz, zaczerpniętych z organizmu narodowego?

Na czele zdań, zebranych na obrazek pośmiertny dla kolegi, umieścił Le Gallic krzyż z legendową dewizą: „In hoc signo...“ Potem następujące teksty, każdy z zacytowaniem źródła.

---

*Moriamur in simplicitate nostra* (księga Machabeuszów).

---

Spraw, Panie, abym miał w cenie to, co innym ludziom zda się marne. Boże zastępów, który jesteś obecny w tej hostyi, racz wejrzeć na mnie, że zły nie jestem i że ja także go dzien jestem położyć życie za sprawę.

(„Wezwanie do broni“, książka przyjaciela mego porucznika Ernesta Psichari. Był wnukiem Renana; padł w boju z różańcem w rękę).

---

Błogosławiony niech będzie Ten, co groby ozdobił nadzieją.



(Napisane ręką córki Taine'a na książce do na-  
bożeństwa).

---

Jako się mnożą w nas bole Chrystusowe, tak  
i radości nasze mnożą się w Chrystusie. (Św.  
Paweł).

---

Chrystus dokończa w nas męki swojej. (Pascal).

— Czytałem gdzieś sprawozdanie z sekcji, doko-  
nanej na mózgu Pascala — zaczął Ortegue, prze-  
czytawszy owe *memento*. Muszę wyszukać je dla  
ciebie, Erneście. Wyznaję zresztą, że nie rozu-  
miem, jaki związek zachodzić może pomiędzy o-  
pisem strasznej rzezi, koniecznej niezawodnie  
i dowodzącej szalonego męstwa, ale niesłychanie  
dzikiej, a przytoczonymi tu sentencjami, wyraża-  
jącymi transcendentalny idealizm.

— A jednak związek ten istnieje — zauważył  
Le Gallic.

— Jaki?

— Ofiara z siebie.

— A przytem — ciągnął dalej Ortegue — nie  
mam nic przeciw temu, jeśli pani Delanoe znaj-  
duje jakąś pociechę w tego rodzaju lekturze;  
natomiast stanowczo sobie nie życzę, abyś wer-  
tował te lub owe szpargały dla wyszukiwania  
jakichś sentencyj. Zaleciłem ci bezwzględny spo-  
kój i zupełną nieruchomość głowy. Musisz zresztą  
doświadczać szalonego bólu pracując, wobec tego,  
że masz cały wachlarz nerwowy naruszony pod

kością potyliczną. Czy zastrzyknięto ci dziś morfinę?

— Nie chciał — odpowiedziała za niego pani Ortegue.

— A to dlaczego?

— Ból ostatecznie znośny, a choćby się trochę wzmógł, spróbuję go wytrzymać. Wszakże pamiętasz, kuzynie, zasadę, o którą spieraliśmy się, gdy tu był raz ostatni? Cierpieć, to znaczy płacić za siebie, a choćby i za drugich, jeśli nas stać na to. Próbuję też, czy potrafię cierpieć nie tylko za siebie, ale i za tych, którym może sił zabraknąć.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy Ortegue porwał się wzbudzony, a twarz jego skrzywiła się w nerwowym skurczu.

— Do kogo to stosujesz? — zapytał szorstko.

— Ależ do nikogo, mówiłem ogólnikowo.

— O! wiem bardzo dobrze, że to było do mnie wymierzone, — przerwał Ortegue. — I to dlatego, że ci ktoś wypaplał, że ja... ale kto ci mógł powiedzieć?

Ogarniał go prawdziwy szal wściekłości, gdy szedł prosto na mnie:

— Czy to ty Marsal! — I zanim zdołałem zaprzeczyć: — Nie, tyś prawdziwy przyjaciel... Nikt inny, tylko ona...

Zwrócił się teraz do żony.

— To ty Katarzyno! Nie chcę abyś ani chwilę dłużej bawiła w tym pokoju. Słyszysz, zabraniam ci! Wyjdz ztąd natychmiast. Wyjdz!

## XX.

Pani Ortegue usłuchała, nie protestując słowem ani gestem. Zostaliśmy wszyscy jakby w osłupieniu pod wrażeniem tego niczem nie usprawiedliwionego wybuchu, którego sam Ortegue już się wstydził. Usiadł drżąc jeszcze cały i nie patrząc na nas. Obawiałem się, aby Le Gallic nie dał się porwać także uniesieniu. Widziałem jak poczerwieniał mocno, potem pobladł, ale nie rzekł nic jak człowiek, który stara się z całej mocy opanować wybuch oburzenia.

Ortegue pierwszy przerwał okrutne to milczenie, mówiąc do rannego głosem całkiem naturalnym, jak gdyby nic nie zaszło.

— Pozwól Erneście, że zbadam twój puls.

Zdjął rękawiczki i palce jego brunatne od żółtaczki, objęły w przegubie białą rękę młodego oficera.

— Szybkość pulsu normalna, niema przestanków — mówił. — Zawrotów nie doznajesz, leżąc tak, to także dobry znak. Słyszysz dobrze, co mówię, nieprawdaż? Żadnego ucisku na głowę, co? Nudności niema, bardzo dobrze.

Wszystkie te pytania zdradzały utajony lęk, aby nagła katastrofa nie rozwiązała tragicznie sytuacji na pozór bezpiecznej, lecz brzemiennej groźnemi możliwościami. Ortegue powstał następnie, a przygryzając wąsa, wyrzekł nieco zniżonym głosem, bardzo różnym od zwykłego jego apodyktycznego, niemal rozkazującego tonu.

— Milczenie, mój Erneście, bywa niekiedy wymowniejsze od słów. Dałeś mi naukę, którą zrozumiałem. Jestem widzisz bardzo chory i tracę czasem kontrolę nad nerwami moimi. To prawda, że zażywam morfinę, bo nie chcę cierpieć. Zgodne to jest z mojami przekonaniami, podobnie jak twoja wola cierpienia z twojemi. Dla monisty, jakim jestem, cierpienie jest bezużyteczną ohydą. Nie myśl, żebym się bał; nie boję się niczego, a tylko uważam, że byłoby to głupie, gdybym cierpiał dobrowolnie. Teraz, skoro ci już wyjaśniłem mój punkt widzenia, powiedz, czy to moja żona powiedziała ci, że ja zażywam morfinę?

— Nigdy w życiu — odparł Le Gallic — daję ci na to słowo.

— Znając ją, powinienem był z góry wiedzieć, że to nie ona — rzekł Ortegue — a ja tymczasem znieważylem ją, ją! — dodał z rozpaczą. — Jestem teraz chwilami bardzo biednym człowiekiem, Erneście, bardzo biednym. Mam na sobie żywy przykład, jak dalece moralna nasza strona jest poprostu odbiciem fizycznego nastroju naszego organizmu. Miałem oto przed chwilą prawdziwy raptus psychiczny. Bądź dla mnie pobłażliwy, przyjacielu, a przede wszystkim nie sprzeciwiaj się temu, aby kuzynka twoja pielęgnowała cię i nadal.

— Jeżeli pozwolisz mi być szczerym kuzynie, zaczął Le Gallic.

— Ależ oczywiście — przerwał mu Ortegue — w którego głosie drżało znów podrażnienie.

— A zatem, odpowiedział oficer z pewnym namysłem, jakby rozważając własne skrupuły, wolałbym, abyś nie nalegał na mnie w tym względzie. Nie szukaj, proszę w tej mojej prośbie nic innego ponad to, że życzylbym sobie spędzić ostatnie dni moje w spokoju, wolny od zbytecznych dystrykcji. Bo to ostatnie dni moje, czuję to dobrze, a i ty kuzynie dowiodłeś pytaniami, któreś mi przed chwilą zadawał, że nie jesteś jeszcze pewnym swej pierwszej dyagnozy.

Ortegue próbował mu zaprzeczyć.

— W każdym razie jest to prawdopodobnem, że to są ostatnie moje dni, całkiem więc naturalne, że nie chcę tracić ani minuty w przygotowaniu na śmierć. Ty sam, kuzynie, dajesz mi w tej chwili szlachetny przykład człowieka, który uległszy chwilowo bardzo usprawiedliwionemu rozdrażnieniu, karze się za nie sam wspaniałomyślnym postępkim. Ale widzisz, kuzynie, pogniewałeś się dlatego, ponieważ przyszło ci na myśl, że żona twoja jako bliska moja krewna i przyjaciółka od dziecka zapragnęła wtajemniczyć mnie w ciężkie próby, jakie razem przechodzicie. Ta drażliwość całkiem zresztą zrozumiała może się powtórzyć, tak jest, może się powtórzyć, i dlatego wolałbym, aby kuzynka moja nie przychodziła tu jako pielęgniarka.

Ortegue słuchał z coraz to widoczniejszym rozdrażnieniem.

— Poczekajmy zresztą, pomówimy o tem później, spokojniej — dodał jeszcze porucznik.

— Dajesz mi uczuć zbyt boleśnie, Erneście, żem się zapomniał. Jak na chrześcianina nie okazałeś się zbyt miłosiernym.

Z temi słowami profesor wyszedł. Chciałem mu towarzyszyć, ale ranny zatrzymał mnie.

— Prosiłbym pana o jedną przysługę panie Marsal. Jeżeli ksiądz Courmont nie opuścił jeszcze kliniki, to chciałbym się z nim widzieć. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdybyś pan go tu przysłał.

## XXI.

Pielęgniarka, którą spotkałem na schodach, objaśniła mnie, że ksiądz Courmont wyszedł co tylko i jest już na dziedzińcu. Pospieszyłem za nim, ale wyszedł już był za bramę, tak, że doścignąłem go dopiero na rogu ulicy Ś-go Wilhelma i La Grenelle. Poczciwy kapelan zrobił gest przeżalenia, widząc mnie na ulicy bez kapelusza i w bluzie szpitalnej.

— Czy gorzej jest porucznikowi? — spytał z niepokojem, który świadczył wymownie o żywem jego współczuciu dla swego „setnika“.

— Nie — odparłem — tylko chce się widzieć z księdzem.

Tu powtórzyłem mu, z jakim naciskiem ranny wyrażał swoje pragnienie, przemilczając oczywiście przykre zajście, które poprzedziło i wywołało to życzenie.

— Idę do niego — odparł z prostotą ksiądz — a twarz jego przybrała ów bezbarwny wyraz, jaki umiemy przybierać i my lekarze, w czasie pewnych konsultacyj. Powracaliśmy razem do kliniki, a po drodze kapelan zapytał mię bez wstępu :

— Jak pan myśli, panie doktorze, czy porucznik nie mógłby bez szkody dla swego zdrowia przeniesionym być do innego szpitala albo na przykład na wieś ?

— Nie — odparłem — nigdy się profesor na to nie zgodzi, a zresztą poco ?

— Bo wobec różnicy przekonań tych dwóch ludzi, obawiam się jakiegoś konfliktu między nimi. Pan Le Gallic, to prawdziwy żołnierz, ale mimo to, a może nawet dlatego ma serce niezmiernie czułe.

Przy tych słowach rozstaliśmy się. Z rozmowy z kapelanem wywnioskowałem, że pobyt w klinice porucznika budzi pewien niepokój w jego spowiedniku, a może i w nim samym. Chodziło tu istotnie wyłącznie o różnicę przekonań i obawę konfliktu, jaki mógł nastąpić z tego powodu pomiędzy profesorem a porucznikiem ? Dlaczego właściwie Le Gallic wezwał do siebie księdza

bezpośrednio po propozycji, jaką zrobił mu Ortegue, prosząc, aby żona jego pielęgnowała i nadal? Przypomniałem sobie nadzwyczaj poważny wyraz twarzy, z jakim słuchał Le Gallic tej propozycji i prawie błagalny ton w jego głosie, gdy mówił o konieczności spokoju, w jakim spędzić chce ostatnie dni swoje.

Przypomniałem sobie i ja również pewne „kazananie na górze“, jak Ortegue mówi: Rozczytywałem się bowiem nieraz w tych rozdziałach (V, VI i VII) Ewangelii św. Mateusza, które są klasycznym ustępem owej księgi, cieszącej się, jak twierdził ironicznie Ortegue, tak „bezprzykładnym sukcesem wydawniczym“. Przyszedł mi na myśl werset pewien, którego głębię psychologiczną podziwiałem zawsze, a który rzuca tak jasne światło na wzajemny do siebie stosunek myśli i czynu: „A ja powiadam wam, że ktokolwiek patrzy z pożądaniem na niewiastę, ten popełnił już cudzołóstwo w sercu swoim“.

— Tak! to jest prawdziwy powód. On ją kocha.

Zdanie to, zaledwie sformułowane w moim umyśle, zagnieździło się w nim na dobre i stało się pewnością. Odbywałem właśnie moją wizytę popołudniową w salach szpitalnych dla sprawdzenia wyniku zabiegów lekarskich, zaleconych przed południem, ale myśl moja odbiegała daleko od posępnych obrazów klinicznych. Przeno-



siła mnie gdzieś na błonia bretońskie, nieopodal owego Trégnier z jego starą katedrą, na owe łąki, po których bładzili we dwoje w pierwszych latach młodości Ernest Le Gallic i Katarzyna Malfan Trevis.

Dawne moje domysły o przeszłości dwojga kuzynów kształtowały się i nabierały ciała. Widziałem wskrzeszoną ich sielankę z lat piętnastu, która dla niego przerodziła się w cichą i głęboką namiętność, dla niej była tylko mglistym wspomnieniem. W piętnastu leciech chłopak i dziewczyna są równi sobie, kochają się lub też ludzą niewinnymi wyznaniem. W dwudziestu latach równość wieku staje się już tylko pozorną. Dziewczyna doszła już do dojrzalszego etapu swego życia, może wyjść za mąż, zostać matką, założyć nowe ognisko, podczas kiedy chłopak kończy nauki i nie rozpoczął jeszcze swej męskiej kariery.

Sielanka młodości zda się już dziewczynie dzieciństwem, bo pociąga ją ku sobie nowy żywioł, człowiek nowy, w pełni męskich sił, który dać jej może oparcie. Zapomina też rychło o swym naiwnym romansie, w którym nie było wyznań miłosnych, a wszystko kończyło się na żywszem biciu serc, dalekich przechadzkach we dwoje, sukni, wkładanej częściej, bo w niej było do twarzy. Skoro pomyśli nawet kiedy o tych zaczątkach wrażeń, to uśmiecha się tylko na ich

wspomnienie, nie poznając już w nich siebie. Inna rzecz chłopak. On nie zapomni tak prędko, jeśli zwłaszcza jest z typu takich Le Gallic, to jest wytrwałym marzycielem, nieśmiałym i zamkniętym w sobie. Będzie więc kochał wymarzoną kochankę z lat piętnastu tem mocniej, im więcej bólu zadała mu ta miłość. Rana to krwawiąca jego serce, którą tai usilnie, a zwłaszcza przed tą, która mu ją zadała, dotrzymując jej wierności tem wytrwalej, im bardziej zapoznany.

Gdyby nie należeli do jednej rodziny, to może czas i nieobecność uleczyłyby go stopniowo, ale tu widuje ją ciągle. Gdyby, jak wielu kolegów jego, szukał pociechy na polu zmysłowych rozkoszy, to romantyczny kwiat pierwszych jego uczuć zwiędłby wreszcie i skaził się, podobnie, jak u tamtych; ale taki Le Gallic, to człowiek wierzący i nabożny, i to go podtrzymuje w czystości. Za tą cenę jedynie pozwala sobie kochać kobietę zamężną, wzbraniając sobie najdrobniejszych nawet przeciw niej wykroczeń.

Teraz było mi wszystko jasnym w postępowaniu porucznika, a także i profesora. Kochając kobietę tak namiętnie, jak on żonę swoją, posiada się zazwyczaj intuicyjne przeczucia co do uczuć, jakie kobieta ta budzi w innych; to też Ortegue odgadł był już oddawna tajemnicę sercową krewnego swej żony, której pani Ortegue nie znała. Przywykła była traktować kuzyna swego trochę

jak dziecko, a przede wszystkim jako człowieka o bardzo przeciętnej umysłowości. Nie umiała dostrzedz w nim tego, co uderzyło mnie odrazu przy pierwszym z nim spotkaniu, a co stwierdziłem teraz z większą jeszcze pewnością u wezwłowa rannego, to jest tej pełni i bogactwa życia wewnętrznego, które zawdzięczał gorącej swej wierze religijnej. Czyżby pani Ortegue zaczynała to wreszcie dostrzegać, patrząc na tyle bohaterstwa, poświęcenia i miłości? Ortegue obawiał się tego widocznie i stąd ten gwałtowny paroksyzm zazdrości, stąd także skrupuły i obawy rannego wobec możliwości tej ostatniej próby.

Co za pokusa dla niego, jeśli uczuje, że go wreszcie poznano, oceniono, rozumiano — że to może już miłość.

## XXII.

Słowem, stworzyłem sobie na prędkę całą budowę psychologiczną, co mi się już nieraz w życiu zdarzało. Skłonność moja do tego rodzaju eksperymentów wypływa zapewne z nieszczęsnego mego kalectwa, które stawiając mnie niejako poza nawiasem, pozwala mi na stanowisko widza tylko, nie zaś aktora tragicomedyi życia. Widziałem wiele, wiele też dopowiadałem sobie wyobraźnią, myśląc się często; tym razem jednak nie omyliłem się. Być może, że to właśnie obawa moja przed możliwością zbrodni, jak stale nazywałem

zamierzone samobójstwo, zaostrzyła moje zdolności spostrzegawcze. Miałem wkrótce dowód, że pani Ortegue zainteresowała się nagle moralną stroną charakteru swego kuzyna. Nie wiem, jak się do tego wziął ksiądz Courmont, ale udało mu się widocznie rozproszyć skrupuły porucznika co do stosunku jego do pani Ortegue, bo ten nie sprzeciwiał się już przyjmowaniu od niej dalszych usług w pielęgnowaniu go. Przypuszczam, że poczciwy kapelan poczytywał w znacznej części owe skrupuły za wytwór wyobraźni, a może spodziewał się, iż obcowanie pani Ortegue z kuzynem przyczyni się do nawrócenia nie tylko jej samej, ale także jej męża. Pomagała więc i nadal przy opatrunkach rannego, pilnowała jego diety, on zaś wstrzymywał się wprawdzie od długich z nią rozmów, ale niektóre zdania, które wymykały mu się niekiedy, jego zapatrywania na cel i zadania życia, jego ocena ludzi i rzeczy, książki nawet, które czytywał, były to dla niej jakby rewelacye, odsłaniające całe nieznanne jej dotąd bogactwo tej duszy. To też już po 48 godzinach takiego z nim obcowania zadała mi pytanie:

— Panie Marsal, czy znałeś pan kiedy kogo naprawdę pobożnego?

— Nikogo, oprócz matki mojej — odparłem. — Bo widzi pani, cechą takich prawdziwie pobożnych jest to, że się do pewnego stopnia z tem

kryją podług ewangelicznej zasady: Gdy chcesz rozmawiać z Bogiem, wnijdź do pokoju twego i zamknąwszy drzwi twoje módl się w cichości.

— Ale ci, o których szczerej pobożności pan nie wątpił, nie znając ich zresztą zbliżka, czy wiara ich dawała im siłę?

— Nie rozumiem pani dobrze — odrzekłem. — Wiara jest sama przez się siłą.

— Źle widocznie postawiłam kwestyę. Chodzi mi o to, czy kuzyn mój czerpie swą wielką siłę, wobec cierpienia dziś, a wczoraj wobec śmierci, na którą narażał się z tak zimną krwią, czy, powtarzam, czerpie on swoją siłę z wyobrażeń swoich czy z charakteru?

— Z jednego i z drugiego, bo to się z sobą wiąże.

— Rzecz dziwna — zauważyła — jak można czerpać siłę z wyobrażeń tak zupełnie błędnych.

Doszła więc na razie do zdziwienia, ale w kilka dni później, ja z kolei stwierdziłem ze zdziwieniem, że w pewnej dyskusji z mężem stanęła na stanowisku, które świadczyło wymownie o zmianach, jakie zachodziły zwolna w jej zapatrywaniach.

— Wiesz, co utrzymywał przed chwilą Le Gallic? — zaczął Ortegue. — Oto ni mniej ni więcej twierdzi, że bitwa nad Marną to cud. I to on oficer, który sam brał w niej udział. Pytam go,

dłaczego? Bo strategicznie nie da się uzasadnić. Ja mu na to, że widocznie nie znamy dostatecznie czynników, które się przyczyniły do jej przebiegu; ale w każdym razie czynniki te musiały istnieć. Były niezawodnie, odpowiada mi na to, ale nadprzyrodzone. Przyznaj sama, że wierzyć w takie rzeczy w 1915 roku, to przecież zdumiewająca jakaś odwieczna stereotypia.

— Przyznałeś sam jednak, że działały tu czynniki nieznanne.

— Cóż stąd? Co krok je spotykamy.

— W takim razie...

Zawahała się, ale on nalegał.

— Co w takim razie?

— Hypoteza Ernesta może być prawdziwą nie gorzej, jak każda inna.

— Ależ słuchaj, spróbuj tylko rozumować logicznie. Nie wiesz naprzykład w tej chwili, co się dzieje w przyległym pokoju. Czy masz prawo z tego powodu twierdzić, że znajduje się tam jakiś centaur, jednorożec lub inny bajeczny twór? Nie wiemy, czym jest „nieznane“, ale wiemy wybornie, czym być nie może.

— A przecież — mówiła dalej pani Ortegue — fale Hertza, radium, zanim je odkryto...

— Do czego zmierzasz?

— Do tego, że działać mogą we wszechświecie energie nam nieznanne, a Le Gallic nie utrzymuje właściwie nic innego.

— Przepraszam, on twierdzi, nie że mogą istnieć takie energie, ale że istnieją, jako zjawiska realne.

— Bo jednak, gdyby wiara jego nie miała w sobie choć w części pierwiastku realnego, to nie mógłby czerpać w niej siły, która jest przeciwieństwem realnemu.

— Działa on pod wpływem swoich wyobrażeń, a wiadomo, że wyobrażenia fałszywe oddziałują na wolę równie dobrze, jak prawdziwe, a często i mocniej jeszcze.

Tu i ja wmieszałem się do rozmowy, która zajmowała mnie żywo, tembardziej, że zarzuty, stawiane przez panią Ortegue, były jednoznaczne prawie z tymi, jakie sam stawiałem sobie w myśli, w ostatnich zwłaszcza tygodniach.

— Co do ostatnich twych słów, drogi mistrzu, zauważyć muszę, że wyobrażenia fałszywe mogą nas wprawdzie skłaniać do działania, ale działanie to potknie się natychmiast o rzeczywistość, która zmusza nas do odwołania błędnych pojęć.

— Więc twojem zdaniem, mistyczne fantasmagorie takiego Le Gallic nie rozbijają się nieustannie o rzeczywistość, która zmusza go do ich odwołania? Choćby naprzykład ta okropna wojna?

— Nie znajduję tego, drogi mistrzu. Wojnę tłumaczy sobie on na swój sposób, do którego się przystosowuje.

— Czy nie miałem słuszności — krzyknął Ortegue... *Primo purgare...* Odnawia się w tobie dziedziczny bakcylus. Odwołuję się przecie nie do uczucia waszego ani wyobraźni, lecz do waszego rozumu. Ani pragnienia nasze, ani marzenia nie wchodzą w rachubę w poszukiwaniu prawdy. Tu chodzi o to, aby stworzyć sobie światopogląd możliwie najzgodniejszy z danymi, jakie przynosi nam wiedza doświadczalna, a prawdy tak stwierdzone musimy uznać za nietykalne. Otóż jedno jest tylko w świecie pojęcie, które się tym danym nie sprzeciwia, a jest niem materya wieczna, nieskończona, zawsze jednaka w pierwiastkach swych i prawach, która stwarza, niszczy, odnawia niewyczerpanie, bez początku i bez końca, a zatem i bez celu. Wszystko, co istnieje, jednostka, gatunek, planeta, wyłania się z tej otchłani i w nią zapada. Jest to potęga, której granic nie znamy; prawa jej są stałe, a tylko nie zbadałiśmy dotąd wszystkich. Stąd niejasności, które nazywamy tajemnicą, a które są tylko interferencyą. Tu właśnie lokujemy pragnienia i sny nasze — i na tem jedynie polega ten wasz nadprzyrodzony pierwiastek. Prawda, że trudno rozmawiać z takim Le Gallic o interferencyi. Ostatecznie słyszał zapewne coś, że istnieją promienie świetlne i że ze spotkania ich wynika zmniejszenie światła. Uczył się przecie trochę fizyki w tem swoim Saint Cyr; nie na wiele to mu się, co prawda, przydało.



## XXIII.

Ostatnie słowa wymówił Ortegue tonem tak zjadliwym, że stało się to hasłem do przerwania rozmowy. Zazdrość ugryzła go znów w serce, co i żona jego musiała zauważyć, jak to mogłem wnioskować z zachowania się jej w ciągu następnych dni. Wizyty jej do rannego stały się coraz rzadsze, posyłała do niego w zastępstwie swem inną pielęgniarkę co drugi raz prawie. Natomiast podwoiła się troskliwość jej dla męża. Przebywała wciąż prawie przy nim, o ile odpoczywał w swej kancelaryi, nie spuszczać z niego wzroku, gotowa go zawsze łagodzić przy każdym podrażnieniu, przewidując najdrobniejsze jego fantazyje.

Zauważyłem także, że troskliwość ta zamiast uspokajać profesora, drażniła go mocniej jeszcze; stał się on chorym typowo niewdzięcznym, jakby miał żal do całego swego otoczenia z powodu swego stanu. „Wiesz pan — mówił mi raz pewien tabetyk, któremu wyrzucałem szorstkość jego dla pielęgnującej go krewnej — kogo najbardziej nienawidził Edyp? Oto Antygony, bo ona właśnie przypominała mu na każdym kroku jego ślepotę“. Patrząc na wzrastającą niesprawiedliwość Ortegu'a, przypominałem sobie to cyniczne oświadczenie, mieszczące w sobie niestety pewną część prawdy czysto ludzkiej.

W postępowaniu tem jednak profesora tkwiło coś więcej jeszcze, czego by nie dopatrzył zwykły

świadek, co było jednak jasnym dla mnie, który poznałem z bliska podkład psychiczny stosunku do siebie dwojga małżonków. W takich wypadkach czyny znaczą dużo mniej od motywów, które nimi kierują. Gdyby nawet pani Ortegue uciekła całkiem ze szpitala i przestała się zajmować chorym, to sprawiłaby mu tem mniej boleści. „Nie może patrzeć na moje cierpienie — powiedziała by sobie — a więc kocha mnie jeszcze“. Nie tylko dla niego, lecz i dla mnie wzmożona pieczołowitość młodej kobiety wyglądała na przymus. Systematyczne z jej strony unikanie porucznika świadczyło także o jakiejś wewnętrznej walce, którą toczyła. Ale z czem? Czy z nową miłością, czy tylko z nowym indywidualizmem, który nabierał nad nią przewagi?

Mowa ludzka jest zbyt grubą algebrą na oddanie najdelikatniejszych odcieni ludzkiego uczucia. Najściślejsze formuły stają się tu chwiejne; to też nie znajduję wyrazów na określenie moralnej sytuacji, której śledziłem poszczególne okresy. Dramat to był duszy ludzkiej, która w stosunku do drugiej doszła do stadium przesylenia uczuć i doznawała gorzkich wyrzutów sumienia z powodu takiego zakończenia dawnej miłości. Być może, że wyrażam się zbyt brutalnie, ale nie znajduję lepszego określenia dla oddania stanu, w jakim znalazła się pani Ortegue, nie zdolna już odczuć wobec męża nowych wzruszeń. Wszystko natomiast

było dla niej nowem i świeżem w wrażeniach, jakich doznawała w obcowaniu z towarzyszem lat dziecinnych, w poezyi, jaką ją nagle owiał.

Znała go dawniej jako dobrego chłopaka, pilnego studenta, wzorowego oficera; dziś odnajdywała w nim niespodzianie rycerza, krzyżowca, i to w chwili, kiedy miłość jej dla męża, wypełniająca już i dawniej raczej wyobraźnię jej, niż serce, tkwiła już tylko w jej woli. Już w czasie pierwszej swej rozmowy ze mną po szalonym postanowieniu wołała, że nie chce żyć, bo kto żyje, ten się zmienia, a więc wtedy już zdejmował ją lęk, aby nie wyschły w niej źródła tkliwości, i może nie przez samą tylko litość gotowa była oddać życie, ale dlatego także, aby dowieść samej sobie, że nie sprzeniewierzyła się swej miłości. Jakże się mogła ludzić teraz jeszcze, gdy oto wzrastało w niej nowe uczucie tem silniejsze, że podsycaly je odżywające wspomnienia. Odradzała się w nich taką, jaką była dawniej, zanim zahypnotyzowała ją myśl ojcowska, pozabawiając prostej dziecięcej wiary. Razem z tem odzywały się w niej echa dawnych wrażeń więcej może wyśnionych, niż odczuty, wspomnienia, zatarte już, nieuświadomionej pierwszej miłości z lat piętnastu.

W rozmowach rannego i pielęgniarki prowadzonych w obecności mojej i Ortegua powracały wciąż słowa: „Pamiętasz? Czy pamiętasz?“ Obo-

je powracali wciąż wspomnieniem do rozmaitych zajęć drobnych, nie mających znaczenia dla nikogo, prócz dla nich dwojga. We wspomnieniach tych nie grał żadnej roli Ortegue i może dlatego właśnie miały one tyle uroku dla jego żony. Odrywały ją od zmory dni obecnych. A może — stawiam to oczywiście tylko jako hipotezę — okrażył ją ów tajemny wpływ atmosfery psychicznej, do którego powracam chętnie w mych obserwacjach. Po czem albowiem poznajemy obecność danej energii? Elektryczności naprzykład? Po tem, że oddziaływa ona na nas, albo bezpośrednio, albo też za pośrednictwem nowej energii, w którą się przeradza i która z kolei na nas oddziaływa. Światło i ciepło należą do pierwszej kategorii, elektryczność do drugiej. Nie przejmujemy jej bezpośrednio i dlatego nie wiedzieliśmy o niej przez czas tak długi. A więc istnienie środowiska psychicznego, niezależnego od ośrodków nerwowych, które jednak mogą czerpać z niego swą siłę, jest rzeczą możliwą. Formuła Blainvillla, że mózg nie jest organem lecz substratem myśli, zawiera hipotezę, zbliżoną do mojej.

Ale odstępuję od założenia, a chodzi mi tylko o nawiązanie do powszechnego prawa, pewnego fenomenu, którego byłem świadkiem, telepatyi czy raczej telestezyi. Zjawisko to określa Myers, jako transmisyę wrażeń jakiejbądź kategorii z jednego mózgu na drugi, niezależnie od wszelkiej

znanej drogi wrażeniowej. Goethe, który był wielkim umysłem naukowym, mówił także, że dusza może oddziaływać bardzo silnie na drugą duszę, przez samą tylko swoją obecność.

Ten wpływ, jaki wywierał obecnie Le Gallic na panią Ortegue, nie byłże czynnikiem tej właśnie kategorii? Kochał ją oddawna, wzbraniając sobie wszelkich objawów tej miłości, niezawodnie jednak myśl o niej towarzyszyła mu nawet w modlitwach jego i rozmyślaniach, a uczucie to kojarzyło się u niego z wysokim nastrojem religijnym. Stąd wynikało jakoby nieustanne działanie utajonego ogniska miłości, działającego na ukochaną istotę, jakby prąd magnetyczny, łączący dwa bieguny. Wprawdzie prąd magnetyczny potrzebuje przewodnika. Ale może wreszcie, przyjąwszy punkt widzenia samego Le Gallic, byliśmy świadkami cudu, wypływającego z mocy nadprzyrodzonej, to jest zjawiska niedostrzeganego dla niedowiarka, a będącego codziennem i niemal powszedniem dla wierzących. Może to modlitwy rannego wyzwalały stopniowo nieszczęsną kobietę z pod egzorcyzmu złośliwego zaklęcia, które ciążyło nad nią od tyłu tygodni. Kto wie?

Takie to hipotezy zajmowały umysł mój w owym czasie, a zajmują mnie i dziś jeszcze. Z innym natomiast uczuciem śledził te same objawy Ortegue, szukając przyczyn ewolucji du-

chowej, jakiej ulegała jego żona. Ten człowiek despotyczny i namiętny, którego drażliwość spotęgowana była cierpieniem, a zazdrość dochodziła do okrucieństwa, dostrzegał także, że współzawodnictwo uczuciowe pomiędzy nim a porucznikiem kojarzyło się ze współzawodnictwem zasad. Było to dla niego podwójnie bolesne, gdyż w kwestyi przekonań był on równie namiętym, jak w miłości. Tem większą też dla niego męczarnią było to stopniowe zwycięstwo człowieka wierzącego.

Do dziś nie mogę myśleć bez drżenia o torturach duchowych, jakie przechodził w ostatnich dniach swego życia, które spędził w upartem milczeniu. Dowiedziałem się później od żony jego, że godzinami całymi nie udawało się jej wydobyć z niego ani jednego słowa. Jak w rozwalonym zamczysku stercząca jeszcze wyniosła wieżyca świadczy o minionej świetności wspaniałego gmachu, tak z dawnego Ortegua, człowieka, którego podziwiałem niegdyś, pozostała już tylko дума.

Z późniejszych zwierzeń pani Ortegue dowiedziałem się, że sceny zazdrości, podobne do tej, jakiej padła ofiarą przy łóżku porucznika, nie powtórzyły się już później. Nigdy też w tym ostatnim okresie życia, który trwał jeszcze dwa tygodnie, Ortegue nie przypomniał żonie ani słowem zamierzonego samobójstwa, mimo że wzra-

stające wyniszczenie i wzmagające się piętna żółciowe świadczyły o nieubłaganym postępie choroby. Nie podnosił się już prawie ze swej sofy, nie chciał jednak opuścić kliniki, mimo zakłęk i próśb swych kolegów, którzy go odwiedzali i poważali się coś mu doradzać. Cierpiał coraz mocniej, aplikując sobie coraz częstsze dawki morfiny. Stan taki nie mógł przewlekać się zbyt długo moralnie ani fizycznie; wszystko też ostrzegało mnie o bliskości nadchodzącej katastrofy.

Choroba strawiła tego człowieka do ostateczności, zostawiając w nim jedną tylko żywotną siłę, a tą była zazdrość, której miał wkrótce złożyć nowe dowody.

#### XXIV.

Pewnego ranka, gdym szedł do sypialni Ortęgua, aby mu zdać sprawę z nocnych dyżurów, powiedziano mi, że wstał już i znajduje się w swej kancelaryi. Zastałem go tam przy biurku, zajętego klasyfikacją listów, których cały stos leżał przed nim. Przedzierał niektóre, odkładał na bok inne, wreszcie rzucał niektóre do kominika, na którym płonął jasny ogień. Zrozumiałem natychmiast, co znaczyły te przygotowania, tembardziej, że dostrzegłem na biurku podłużną szkatułkę mahoniową, przeniesioną tu z mieszkania jego przy placu Stanów Zjednoczonych. Wiedzia-

łem, że w niej to chowa prywatną swą korespondencyę. Nie spojrział prawie na podane mu sprawozdania kliniczne, które zwykle rozbiierał bardzo szczegółowo.

— Ale, ale! — rzekł nagle. — Jak daleko posunąłeś swoje notatki?

Chodziło tu o szczegółowy dziennik, prowadzony przezemnie z jego polecenia i zawierający opis poważniejszych wypadków, leczonych w naszej klinice.

— Przywiązuję wielką wagę do tej pracy — mówił Ortegue — bo chociaż działalność moja tu nie była tem, czem być mogła, materyalnie rozumie się, to w każdym razie dokazałem sporo... dokazaliśmy obaj — poprawił się — a materyał zebrany posłużyć musi wiedzy. Ile też spisałeś dotąd spostrzeżeń?

— Około pięćdziesięciu.

— A ile ci jeszcze pozostaje?

— Jedenaście do dwunastu.

— Doskonale! Byłeś mi prawdziwie pomocny i to w najcięższych chwilach życia, mój drogi Marsal. Bądź też jeszcze raz dobrym dla twego biednego mistrza i postaraj się spisać mi do jutra na czysto tych jedenaście wypadków.

— Kiedy... służba w szpitalu...

— Quenant i Renard wystarczą jutro. Dam im zresztą instrukcyę.

Quenant, był to biegły chirurg, którego przydzielił sobie Ortegue po swem ostatniem omdle-

BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.



niu. Dręczył on mnie nieustannie naleganiami, aby zniewolić profesora do poddania się operacji. Sam jednak nie śmiał z nim o tem mówić, mieszał się jak żak w jego obecności, podobnie jak ja. Renard był miernych zdolności studentem; pełnił przy nas obowiązki asystenta, które wykonywa i dziś jeszcze.

— Więc skończysz do jutra?

— Tak jest, odpowiedziałem.

— Dziękuję, a pamiętaj, że chciałbym, aby notatki twoje zostały odczytane na najbliższem posiedzeniu Akademii medycznej. Dlatego też chciałbym je dziś przejrzeć, nie wiemy bowiem co z nami jutro będzie, a w moim stanie...

Wyrzekł te słowa z uśmiechem, który utwierdził mię do reszty w powziętych podejrzeniach, tyle było w nim goryczy i niecierpliwości. Stało się dla mnie oczywistem, że rzecz jest postanowiona na dziś. Utwierdził mnie także w tem przekonaniu widok pani Ortegue, którą spotkałem na korytarzu. Błada była, z twarzą jakby zastygłą, a tylko powieki jej trzepotały niekiedy, opuszczając się na oczy, które zdawały się być wpatrzone w jakiś obraz, przeszycony grozą, zasłaniający im zwykle pole widzenia. Nie ulegało już wątpliwości, że nadszedł oczekiwany kres, że zatem nie miałem prawa wahać się dłużej i musiałem coś przedsiębrać.

Jeszcze jeden powszedni zresztą fakt stał się nowym dowodem trafności moich domysłów. Oto

skoro wezwano mnie po raz drugi do kancelaryi profesora, zastałem tam figurę bardzo uroczyście nastroszoną, którą był znany mi już zresztą jego notaryusz.

— Zapomniałem ci powiedzieć, kochany Marsal, że dziś właśnie mamy podpisać z panem Metivier kontrakt, który ureguluje twoje stanowisko w klinice, gdy mnie już tu nie będzie.

— Znowu więc pan daje do siebie przystęp tak smutnym myślom — protestował gruby notaryusz, którego krępa, przysadzista figura doskonale odżywionego sześćdziesięcioletniego jegomości, stanowiła rażący kontrast z wyniszczoną twarzą i wychudłą postacią umierającego, którego silił się pocieszać.

— Wyglądasz pan dziś daleko lepiej — obstawał przy swoim p. Metivier — a przytem sprawdziliśmy to już oddawna w naszym notaryacie, że nic nie służy tak dobrze naszym klientom, jak spisanie testamentu. Zmartwychwstają, powiadam panom, potem najczęściej zmartwychwstają, choć pan, co prawda, tego nie potrzebuje.

— Zechciej pan, kochany rejencie, zaznajomić kolegę mego, doktora Marsal, z treścią sporządzonego przez pana aktu — rzekł Ortegue, nie zwracając najmniejszej uwagi na pocieszające frazeasy, rzucone przez notaryusza, które wbrew zapewne woli mówiącego, zakrawały na krwawą ironię.

Pan Metivier wręczył mi wówczas arkusz ostemplowanego papieru, na który rzuciłem okiem dla formy. „Sprowadził notaryusza i pisze testament, na cóż więc czekam jeszcze“, powtarzałem sobie w duchu. To też położyłem pospiesznie swój podpis na akcie i pożegnałem na prędce notaryusza, poczem zacząłem szukać po całym szpitalu pani Ortegue.

Nie było jej jednak nigdzie, aż wreszcie sekretarz czuwający nad rejestrem wchodzących i wychodzących na miasto, oznajmił mi, że pani Ortegue wydalila się przed chwilą. Wyrozumowałem sobie natychmiast, że nie mogła się udać gdzieindziej, jak do mieszkania swego na placu Stanów Zjednoczonych dla uporządkowania osobistych swych papierów i listów. Jak sprawdzić, czy tak jest w istocie? Telefonować? Nie, bo mogłaby mnie potem nie przyjąć. A więc pojechać tam i wejść bez zapowiadania się. Spróbujmy.

Zdjąłem z siebie pospiesznie fartuch i bluzę szpitalną, a zmieniwszy ubranie, wsiadłem do auta i kazałem się wieść przez bulwar Saint Germain, ulicą nadbrzeżną, aleją Marceau i ulicą Bizeta do owego mieszkania, urządzonego z przepychem, gdzie odwiedzałem tak często słynnego chirurga w dniach jego świetności. Co za nawał wspomnień i obaw nawiedził mię w czasie tej drogi, a gdym przybył na miejsce, z jakimże

wzruszeniem usłyszałem z ust odźwiernego, że pani Ortegue znajduje się tu już od godziny.

— Zaanonsuję pana — rzekł.

— Nie trzeba — odparłem, usuwając tego człowieka i wbiegłem szybko na schody, pewien, że pani Ortegue znajdować się musi na drugim piętrze, w swoim buduarze.

Wszystko, com spotykał po drodze, przypominało mi dawnego Ortegu'a. Przedsiönku strzegła wspaniała statua włoskiego renesansu, zdobyta niejako szturmem przez profesora na głośniejszy licytacji. Na ścianach po obu stronach klatki wchodowej rozwieszono były makaty hiszpańskie, które wlaowały imię jego jako kolekcjonera i wypożyczone były w swoim czasie dla wielkiej wystawy retrospektywnej. Na jednym z przystanków schodowych stała w rogu na olbrzymim drewnianym cokole kolosalnych rozmiarów waza fajansowa, dar milionera amerykańskiego, któremu Ortegue uratował był życie. Stare witraże kolorowe oblewały ciepłem i łagodnym światłem mieszkanie to, opuszczone dziś na zawsze przez tego, którego świetności i dumy było odbłaskiem.

Wstępując po stopniach w pustej obecnie klatce schodowej, doznawałem niemal fizycznie uczucia, jak gdybym wchodził do grobu, i że Ortegue już jest umarłym. A jednak znajdowała się tu istota żywa, która żyć powinna, nieszczęśliwa ko-

bieta. Ona także przed chwilą jeszcze, podobnie jak ja teraz, wstępowała po tychże schodach, przypominających jej godziny tryumfu.

Dotarłem do buduaru i zapukałem do drzwi, czekając z nieopisanem wzruszeniem na odpowiedź, którą też usłyszałem niebawem.

— Proszę wejść!

Podobnie jak jej mąż tam w klinice, siedziała przy swoim biurku, zajęta porządkowaniem papierów. Przerwała była na czas jakiś to zajęcie, bo zastałem ją piszącą. Tak była pewną, że to odzwierny wszedł, że nie odwróciła nawet głowy, mówiąc:

— To ty Józefie?

Pióro jej biegło dalej po papierze, ale naraz odwróciła się i poznawszy mnie, krzyknęła:

— Panie Marsal! Co się stało! Czy mój mąż mnie wzywa? Czy mu jest gorzej?

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczyłem ją ubraną w zwykłą suknię domową, nie w stroju pielęgniarki. Była wciąż jeszcze piękną panią Ortegue, ale jakże zmienioną. Niepokoje i troski zaostrzyły szlachetne jej rysy, złobiąc je w jakieś przerafinowane kontury.

— Mąż pani nie wie, że tu jestem — odpowiedziałem jej. — Zostawiłem go z notaryuszem panem Metivier.

— A! więc to dlatego! — Pan zrozumiałeś, że to już...

Wyrzekła te słowa, odwrócona do mnie twarzą, z rękoma założonemi w tyle, opartemi o biurko. Obecność moja nie dziwiła jej, nie zapytała mnie nawet, jakim sposobem odgadłem, że odnajdę ją tu w jej mieszkaniu. Byłem dla niej tylko składową częścią straszliwej wizyi, którą przeżywała na jawie, broniąc się napróżno — i usiłując z niej wyzwolić. Siedziała tak czas jakiś z oczyma osłupiałemi i nawpół rozwartemi usty, a wreszcie rzekła :

— Tak, to ma być jutro. Przyrzekłam, a teraz zabrakło mi odwagi.

Wyrzekła te słowa półgłosem, raczej sama do siebie, a potem zwróciła się już wyraźnie do mnie.

— Panie Marsal, ja sama nie mogę mówić z mężem, nie zniosłabym jego pogardy. Ale weź pan to. Tu drżącą ręką podała mi list, którego pisanie przerwała z chwilą mego wejścia.

— Spisałam tu to, czego mu nie śmiem powiedzieć.

Podała mi list i odwróciła się znów w stronę biurka, o które oparła się łokciami, poczem opuściwszy zwolna głowę na skrzyżowane ręce, płakała cicho bez słowa. Wziąłem list z jej rąk i przeczytałem, co następuje :

„Wierzyłam szczerze, że kocham go wyłącznie, że w miłość tą włożyłam całe życie moje, całą moją istotę i powiedziałam mu to, a przecież nie

było to prawdą. Wierzyłam, że jeśli on umrze, najnaturalniejszą w świecie rzeczą będzie, że i ja umrę wraz z nim, bo śmierć jego równałaby się dla mnie rozstaniu z ciałem własnej mojej duszy. Nie umiałam nawet wyobrazić sobie bólu, jakiego-bym doznała po jego stracie, byłoby to nad siły moje; ale wystawiałam sobie straszłą pustkę i martwość, jakaby mnie objęła, gdyby go już przy mnie nie było. Oczy wydarte światłu, serce, z którego krew odbiegła. Panował nademną bez podziału, przenikał mnie nawskróś. Jego głos, spojrzenie, umysł jego wsiąkły we mnie i stworzyły ze mnie nową istotę, te oczy, takie płomienne, pełne światła, ten głos, taki namiętny, nieco gorzki, ale streszczający dla mnie siłę uczucia i rozumu. Ten umysł potężny, zuchwały, co unosił mnie z sobą w przestwory, przepajał ufnością. Ciebie tylko widziałam dokoła siebie, byłam odbiciem twojem, twojem echem, twoim odblaskiem. Nigdy nie myślałam, jak inne kobiety, o mojej twarzy, którą tak kochałeś.

Gdy oczy przymykałam, to i wtedy jeszcze czułam pod powiekami twój wzrok, twoje oczy płomienne, które obejmowały mnie w posiadanie. Michale! Michale! Dlaczego miłość nasza rozpada się? Boję się ciebie teraz i cierpię z tego powodu i wstydę się, ale czuję, że dzień po dniu, godzina po godzinie, odchodzisz odemnie, wydzielasz się z życia mego, które przetwarza się od-

dzielnie. Pragnę teraz tylu rzeczy, które nie są tobą. Pragnę słońca, powietrza, szerokich przestrzeni, po których tak miło jest bujać. Pragnę współdziału w uniesieniach tego ludu, który walczy za nas, pragnę ratunku rannych, którym starania moje ulgę przynoszą. Pragnę tego wszystkiego, poza tobą nawet Michale i bez ciebie. Ach! Nie odważę się nigdy powiedzieć ci tego. Wiem, że wzgardzisz mną, bo ty nie opuściłbyś mnie nigdy, w nieszczęściu, w bólu, w niebezpieczeństwie. A ja cię opuszczę, jeśli żyć będę bez ciebie.

Okropna droga, po której on iść musi, wyczerpała mnie. Nie mogę za nim zdażyć, a on zatrzymać się nie może. Nieszczęsny! Ja jedna w świecie całym przynieść mu mogę ulgę, kładąc się wraz z nim do grobu. Och! Michale, nie mogę! Wyrzekłam za wiele. Wyzwól mnie, bo jeśli będziesz koniecznie żądał, ciała nasze spoczną obok siebie w trumnie, ale dusze rozwiążą się jeszcze przed zgonem. Próba była za ciężka, złamała mnie, złamała miłość moją. Rozdarta jestem, zboląła, ale chcę żyć. Wiem, że nędzne to będzie życie po tych wspaniałych latach, jakie z tobą przeżyłam. O! Gdybym mogła spodziewać się, że przekroczę tylko wraz z tobą próg nowego świata, gdzie miłość nasza trwać będzie dalej w niebie, a chociażby i w piekle. Ale śmierć, to koniec wszystkiego. Michale błagam! Zostaw tu jeszcze kwiat, który ci był miły...“



Tu list urywał się w spazmatycznym zygzaku, błyszczącym jeszcze od niewyschłego atramentu. Nie doznam z pewnością drugi raz w życiu wrażenia tak bezpośredniego dotknięcia drugiej duszy, krwawiącej cichym bolem.

## XXV.

Na żadne roztkliwianie się nie miałem czasu. Należało spieszyć się, skoro los dał mi w rękę ów środek oddziaływania na Ortegue'a, którego szukałem dotąd napróżno. Trzeba, by usłyszał, i to jak najprędzej, ten krzyk śmiertelnej trwogi. Jakkolwiek strawiony chorobą, trucizną i rozpaczą, umniejszony i spaczony moralnie, to przecież charakter jego był zbyt szlachetnym w ogólnych liniach, aby mógł pominąć lub zapoznać to bolesne wołanie o ratunek zrozpaczonej istoty.

Spojrzałem raz jeszcze na panią Ortegue. Płakała wciąż, z głową opartą na skrzyżowanych ramionach, jakby wtłoczona w to biurko, na którym spisała przed chwilą swą żalną spowiedź. Nie widziała mnie, nie wiedziała zapewne, że tu jestem, ani gdzie się sama znajduje. Płonnym byłoby trudem pocieszenie jej; trzeba ją było ratować. Wyszedłem cicho z buduaru, a potem spieszyłem, o ile mi pozwalało na to kalectwo, po schodach na ulicę, gdzie wsiadłem do pierwszego napotkanego samochodu, dając szoferowi adres naszej kliniki.

Przez całą drogę lękałem się, by pani Ortegue nie zapragnęła jechać za mną, aby odebrać mi ten list, jedyny jej ratunek. Odczytałem go raz jeszcze, nie przestając spoglądać przez tylne okienko samochodu dla przekonania się, czy nie jedzie za mną jaki powóz. Przybyłem jednak szczęśliwie na ulicę św. Wilhelma. Była zupełnie pustą w chwili, gdym płacił szoferowi, miałem więc wolne pole działania.

Na dziedzińcu spotkałem notaryusza. Ceremonialny ten jegomość, który poprzednio w kancelaryi traktował mnie z pobłażliwą wyniosłością, zbliżył się teraz do mnie bardzo uprzejmie. Rozmowa, którą miał ze swym słynnym klientem, wprowadziła go w tak żywe zdumienie, że zapomniał przez chwilę nawet o zawodowej dyskrecyi.

— Szczęśliwy jestem, że spotkał pana, panie doktorze. Pan Ortegue ogromnie jest do pana przywiązany, czego dał dziś dowód.

Domyśliłem się, że notaryusz mówi o testamentie, w którym biedny mój mistrz zapisywał mi swoją klinikę na wypadek śmierci pani Ortegue.

— A i pan masz, jak się zdaje, dla niego wiele przyjaźni, kończył Metivier. Nieprawdaż?

— Ależ oczywiście?

— W takim razie czuwaj pan nad nim, bo nie dziwiłbym się, gdyby popełnił jakiś krok roz-

paczliwy. Czułem się nawet w obowiązku podzielić się obawami z księdzem kapelanem. Bo ja, widzi pan, nie bawię się w mędrkowania i zachowałem Bogu dzięki wiarę prostaczków. To też chętnie spotkałbym na tamtym świecie moich wiernych klientów, a zwłaszcza tak słynnych, jak pan Ortegue.

Mimo, że pochłonięty byłem swoją przyszlą misją, nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu na myśl, jak różne formy przybierają te same idee, przetrawione przez różne umysły. Dla czci-godnego notaryusza paryskiego tamten świat był przywilejem ludzi dobrego tonu, których mieszał z ludźmi dobrego życia. Jakże mało przypominał ten rajski sen o przedłużeniu w pozaświatach wygodnej egzystencji, religię bólu bretońskiego żołnierza. Prawda, że nie było też najmniejszego podobieństwa pomiędzy psychiką porucznika Le Gallic a pana Metivier. A jednak, zarówno pła-ski optymizm notaryusza, jak i rozpaczliwy pesymizm Ortegua zawierały w sobie uznanie potrzeby przyszłego życia. Bo i czemu była szalona rozpacz uczonego, frenetyczne jego gniewy i namiętna gorączka, jeśli nie buntem przeciw śmierci, wprowadzającej go w przepaść nicości. Była to krew żywa, ociekająca z członków rozpiętych na łożu Prokrusta. Kaleczył sobie duszę tą doktryną.

Wszystkie te spostrzeżenia przyszły mi na myśl dopiero teraz z odległości; wówczas myślałem

tylko o jednym: czy ksiądz Courmont rozmawiał już z profesorem i czy nie rozdrażnił go zbyt, tak, że ja nie będę już śmiał z nim mówić? Spróbujmy go uprzedzić, powtarzałem sobie, spiesząc jak mogłem najszybciej do kancelaryi, gdzie też u progu spotkałem istotnie kapelana.

— Pan szuka profesora? — rzekł do mnie. — Jest on u pana Le Gallic, ja zaś szukam pani Ortegue.

— Przed chwilą właśnie rozstałem się z nią. Czy profesor niepokoi się o nią?

— Ale jak! zupełnie już nad sobą nie panuje. Poszedł jej szukać do pana Le Gallic i zrobił nam obu okropną scenę, obwiniając nas prawie z powodu nieobecności swej żony. Powiedziałem, że pójdę jej szukać, a on został tam na fotelu. On jest bardzo chory; to nic, panie, ciało, ale dusza panie... Bóg bywa długo pobłażliwy, ale miewa też niekiedy twardą rękę.

— Jedno pytanie, księżo kapelanie. Wszak notaryusz mówił z księdzem o swych obawach, aby mój biedny mistrz nie targnął się na własne życie. Czy poruszał pan już z profesorem tę kwestyę?

— Z nim nie, ale przyznam się panu, że tak byłem wzburzony, że poszedłem z tem do pana Le Gallic, który jako bliski krewny...

— Jakto, mówił już ksiądz o tem z porucznikiem?

— On już sam wpadł na ten domysł.

— Więc zostali z sobą i rozmawiają, ale o czem mówią? Pozwól, księże kapelanie, że sam do nich pójde, ja sam tylko, to będzie najroztropniej. Uspokoję profesora co do jego żony, którą widziałem przed chwilą. A jeśliby zaszła jaka sprzeczka pomiędzy nim a porucznikiem, to ja go prędzej ułagodzę, bo wiesz przecież księże kapelanie, że sam widok sukni duchownej doprowadza go do ostateczności.

— Ależ naturalnie, panie Marszał, zostawię was samych. Tam, gdzie jest pan Le Gallic, ja jestem zbyteczny. Ja panie tylko głoszę ewangelię, on ją przeżywa, on dla niej cierpi. Jeżeli pan Ortegue nie widzi prawdy religii naszej po przez pryzmat tej pięknej duszy, to tylko dlatego, że widzieć jej nie może: że cierpi na to, co my teologowie nazywamy niepokonaną ciemnotą. Objaśnia nam to zresztą parabola o talentach. Bóg domaga się od tych tylko, którym dał. Są zresztą biedni chorzy, których profesor pielęgnował przez miłosierdzie. Ci będą się za niego modlić. Mówiłem o tem panu Metivier, a wie pan co mi odpowiedział: „Tak, księże kapelanie, to najpewniejsze honorarya“. Nie jest to zapewne etyka św. Franciszka, ale jak na przedstawiciela burżuazyi, to jeszcze niezłe pomyslane. No, ale nie zatrzymuję pana, idź pan już do nich, idź.

## XXVI.

Zastałem Ortegue'a, siedzącego przy łożku porucznika. Le Gallic miał przymknięte powieki, jak gdyby spał. Namiętne źrenice profesora ciskały gniewne spojrzenia; Le Gallic hamował widocznie bunt wewnętrzny, jaki podnosił się w nim przeciw nieusprawiedliwionym atakom zazdrości, jakich mu nie szczędził mąż jego kuzynki.

Milczeli obaj, ale Ortegue dusił się tem milczeniem. Nie chciał wszakże odsłaniać swej męki wewnętrznej przed tym, którego uważał za rywala w sercu swej żony. Duma zmuszała go do ukrywania przełomowego przesilenia, które zniewoliło go do przyspieszenia terminu fatalnego zamiaru. Udręczony do ostateczności podejrzeniem, że ukochana kobieta wyzwała się z pod moralnego jego wpływu, postanowił zaryzykować rozpaczłą próbę. Albo żona kocha go i dotrzyma przyrzeczenia, albo cofnie się w ostatniej chwili, a wtedy będzie przynajmniej wiedział na pewno, że go już nie kocha. Nie cofnęła się, a przecież i tak nie wiedział, bo powstały w duszy jego nowe wątpliwości. A jeśli żona pójdzie wraz z nim na śmierć nie przez miłość, a jedynie przez punkt honoru? To pytanie zadawał sobie Ortegue i nie mógł go rozstrzygnąć — i to było dla niego nie do zniesienia. Przedłużona nieobecność żony podwajała jego drażliwość i doprowadzała prawie do

szafu, a może budziła w nim tylko wyrzuty sumienia. Może zdawał sobie niejasno sprawę, jak straszne wymagania stawiał kobiecie, od której doznał tyle miłości i poświęcenia?

Dawny Ortegue, szlachetny, wspaniałomyślny walczył w jego duszy z tym nowym człowiekiem, jakim stał się obecnie, obłąkany chorobą i rozpaczą. Prócz tego jaskrawy kontrast zwierzęcego niemal rozpętania namiętności, z doskonałym panowaniem nad sobą, jakie okazywał Le Gallie, stawał się dla niego nawet wśród obłędu, jakim ulegał, surowym i upokorującym przykładem. Ta wyższość charakteru, którą musiał sam uznać, była mu tembardziej nieznośną, że znał uczucia młodego oficera i nienawidził go za nie. Nie był pewnym, czy żona jego kocha porucznika, lecz się już tego obawiał; natomiast wiedział z całą pewnością, że Le Gallie kocha swoją kuzynkę. Wiedział już zresztą o tem od dawna, jak to poprzednio zaznaczyłem, a tylko dawniej nie budziło to w nim urazy, przeciwnie lechtało do pewnego stopnia jego miłość własną. Okazywał też wtedy kuzynowi żony pobłażliwą sympatyę, jaką miewa zwykle człowiek dojrzały dla młokosa, którego ubiegł w staraniach o względy ukochanej kobiety.

Z chwilą jednak, gdy Ortegue przestał wierzyć w to swoje pierwszeństwo, nastąpił nagły przewrót w jego uczuciach. Hamowana, ale tak głoś-

boka miłość młodego oficera dla jego żony nie pochlebiała już miłości własnej konającego, lecz drażniła go do najwyższego stopnia. Nienawidził też obecnie Ernesta Le Gallic.

Spotrzenia te, które sobie teraz szczegółowo sformułowałem, objawiły mi się wówczas w nagłym błysku jasnowidzenia, przypominającym ów stan, w jakim znajdują się chorzy w pierwszym momencie upojenia narkotykiem, który ich ma znieczulić. Opowiadanie to słyszałem już tylokrotnie, jak całe życie staje naraz przed oczyma, objęte jednorazową świadomością: lata i miesiące przeżyte w paru sekundach przy pierwszej inhalacji eteru lub chloroformu.

— Przepraszam pana, panie poruczniku, że tu wtargnąłem — rzekłem od progu — ale muszę pomówić z profesorem.

Zdawałem sobie sprawę, że głos mój drży a i twarz musiałem mieć zmienioną, co nie uszło uwagi Ortegua, który też spytał mnie natychmiast:

— Czy tu chodzi o moją żonę?

Głos jego był również stłumiony wzruszeniem. Odgadłem, jak straszna wizja przemknęła mu przez wyobraźnię, wizja zrozpaczonej kobiety, która nie czekając chwili oznaczonej jego wolą, zabiła się już sama.

— Uspokój się drogi mistrzu, — rzekłem w odpowiedzi na te nieme obawy — widziałem przed chwilą panią Ortegue.



— Widziałeś ją? Więc już wróciła? Dlaczego więc nie przyszła tu z tobą, skoro wie, że jej szukam?

— Bo jeszcze nie wróciła.

— Gdzie ją widziałeś w takim razie?

— W mieszkaniu państwa na placu Stanów Zjednoczonych.

— Ona tam jest i siebie tam wzywała?

— Nie wzywała mnie; sam do niej poszedłem.

— Skądże wiedziałeś, że ona tam jest?

— Domyśliłem się.

— Na podstawie jakich danych? Dlaczego jej szukałeś?

— Bo doktor Marsal niepokoił się o Katarzynę, — rzekł nagle Le Gallic. — Nie śmie ci tego powiedzieć kuzynie, ale taki być musiał powód jego kroku.

W głosie młodego oficera, zwykle zrezygnowanym i jakby obojętnym, zabrzmiał po raz pierwszy ton prawie rozkazujący.

— Tak jest, — powtórzył — a i ja także niespokojny byłem o nią po jej ostatniej wizycie.

— Po jakiej wizycie? Rozmawiała z tobą?

Tu Ortegue pochylił się wprzód i spojrzał na mnie a potem na porucznika.

— Cóż to za znowy? Co za spiski dokoła mnie? — A potem zwracając się już tylko do rannego, dodał: — Cóż ci powiedziała?

— Nic, ale była tak wzburzona, tak przygnębiona, jak osoba, która upada pod brzemieniem strasznego niepokoju. Zdaje mi się, że odgaduję powód jej zmartwienia.

— Tak? Więc mów, mów-że! — nalegał gwałtownie Ortegue.

— To rzecz bardzo poważna — zaczął Le Gallie z widocznym wysiłkiem. — Gdyby matka Katarzyny tu była, albo jej ciotka, która po matce jest najbliższą jej krewną, to ja nie poruszałbym tej kwestyi, ale w ich nieobecności, jako jedyny przedstawiciel jej rodziny, mogę, spodziewam się, bez obrażenia cię, zadać ci kuzynie jedno pytanie. Obawiam się, i to nie ja sam tylko, że Katarzyna doznaje w tej chwili wielkiego zmartwienia z twego powodu kuzynie. Powiedz! czy mógłbyś mi dać słowo, słowo honoru, że nie zamierzasz targnąć się na własne życie?

Struchlałem, słysząc to pytanie, zadane takiemu człowiekowi i w takiej chwili.

Ortegue słuchał z oczyma błyszczącymi, ścisnąc konwulsyjnie obu rękami poręcz fotelu. Zdaje mi się, że musiał mieć wtedy chyba atak delirium, bo czyż inaczej odpowiedziałby na pytanie istotnie drażliwe stokroć jeszcze drażliwszem? Czy zachowałby się w ten sposób wobec rannego, powierzonego swym staraniom, o którym wiedział, że lada wzruszenie może go zabić?

— A jeśli tak, skorośmy już weszli na drogę szafowania słowami honoru, to odpowiem na pytanie twoje kochany Erneście, wtedy dopiero, gdy ty odpowiesz na moje. A więc uważasz się za przedstawiciela rodziny mojej żony i z tego tytułu pozwalasz sobie kontrolować nasze życie. Ale czy możesz teraz dać mi słowo honoru, że nie jesteś zakochany w mojej żonie?

— Kuzynie! — zawołał Le Gallic, siadając na łóżku pod wpływem zdumienia i oburzenia. — Kuzynie!

— Cha! cha! — zaśmiał się Ortegue — więc nie możesz dać mi tego słowa. Zatem kochasz ją.

— Kuzynie! — powtórzył po raz trzeci Le Gallic i jakim tonem.

— Tak, tak, kochasz się w niej! — wołał profesor, wcale się już nie krępując. — I to od dawna. — Myślisz, że nie wiem o tem. Tylko, że dawniej to była rzecz inna, nie rachowałeś na nic, bo się czułeś nieletnim żakiem wobec człowieka, jakim byłem dawniej. Jakim byłem — powtórzył raz jeszcze. — Ale już przed dwoma miesiącami, gdyś tu przyjeżdżał, powstała w tobie haniebna myśl, którą od razu odgadłem. Będzie wolną — powiedziałaś sobie. Ranny, kazałeś się tu przysłać, aby się z nią widywać. Masz nadzieję żyć, bo ja ci sam powiedziałem, że żyć możesz. A wiesz dobrze, że ja umrę. Nie trzeba być na to lekarzem, aby to wiedzieć. Ale nie

ładź się... To ci się na nic nie przyda. Żona moja nie kocha ciebie. Ona mnie kocha i odejdzie razem ze mną. Sama mi się z tem ofiarowała, a ja przyjąłem. Nie odbierzesz mi jej, nie! Zatrzymam ją... Chcesz ją bronić przedemną, roz-taczać nad nią opiekę... I owszem, nie mam nic przeciw temu. Skoro tylko tu wróci, przyszlę ci ją, a ty jej powiedz, że mam zamiar się zabić wraz z nią i spróbuj nakłonić ją do zmiany po- stanowienia. Pozwalam ci na to. Bo też gdzie miałem głowę, troszcząc się o jej nieobecność. Poszła do mieszkania uporządkować papiery, jak przed podróżą, bo to jest podróż, tylko że bez- powrotna. Co się ciebie tyczy, Erneście, to skoro ją kochasz, a wiesz, że i ja byłem ci zawsze ży- czliwy, to mogłeś tyle przynajmniej dla nas zro- bić, aby tu nie przyjeżdżać i nie zatruwać nam ostatnich chwil życia.

Umilkł wreszcie, a Le Gallic rzekł:

— Nie przyjechałem tu z własnej woli. Wy- prawiono mnie, nie pytając mnie wcale o zdanie i żałowałem tego nieraz. Mogę ci teraz to po- wiedzieć.

— Panie Marsal! — rzekł potem do mnie — zechciej pan podać mi ten krzyż.

Wskazał mi na krucyfiks z wyrzeźbionym Chry- stusem z kości słoniowej, który kazał powiesić na przeciwległej ścianie, aby go mieć wciąż przed oczyma. Spełniłem jego życzenie, a wówczas on

ujął złożonemi rękami krucyfiks, podniósłszy go do ust, ucałował gwóźdź, przebijający stopy.

— Rad jestem, panie Marsal, że pan tu jesteś, będziesz świadkiem przysięgi, jaką tu złożę.

— Michale — mówił dalej — zwracając się do Ortegua, a to braterskie nazwanie go po imieniu i słodycz tonu zdumiały tak szaleńca, że podniósł głowę.

— Na ten krzyż Zbawiciela przysięgam ci, że nigdy nie powiedziałem do żony twojej ani jednego słowa, ani jednego, któregoś i ty nie mógł słyszeć. Jeżeli kiedy przeszła mi przez głowę myśl, że ona może kiedyś zostać wolną i być moją, to myśl taką, mimowolną zresztą, odrzucałem zawsze od siebie, jako zbrodniczą pokusę, przed którą się należy bronić. Ten Chrystus z mojej pierwszej Komunii może ci zaświadczyć, ile razy modliłem się do niego, prosząc, aby mi dał siłę oporu. I dał mi ją. Modliłem się zawsze o szczęście dla niej, aby je miała przez ciebie, mimo że kochałem ją wtedy głęboko i wyłącznie. Modliłem się o szczęście dla niej na tym świecie. A teraz ofiaruję życie moje, aby była szczęśliwą na tamtym świecie, w który ja wierzę. Oto jak kochałem ją i jak kocham dziś jeszcze. A teraz Michale zastanów się, jak ty ją kochasz i do czego ją chcesz przymusić? Mówisz, że ona sama ofiarowała się pójść z tobą. Ale ty nie miałeś prawa przyjąć takiej ofiary.

Nie pora dziś na grzeczne słówka. Postępek twój byłby okropnem samolubstwem, tembardziej, że nie wierząc sam w przyszłe życie, chcesz ją pozbawić radości, jakichby mogła tu jeszcze zaznać, dlatego tylko, że nie będzie ich używać wspólnie z tobą.

A potem co się tyczy przyszłego życia, to chociaż by była jedna tylko szansa na milion, że ono istnieje, to już nie miałbyś prawa pociągać jej za sobą. Możesz ostatecznie ryzykować własną osobę, możesz sobie powiedzieć: — Zabijam się, bo wierzę, że śmierć jest nicością, a jeśli jest Bóg, co mnie za to ukarze, to już moja rzecz<sup>a</sup>. Nie jesteś jednak pewny, czy śmierć nie jest nicością. To jest tylko pojęcie, zrodzone w twoim umyśle, ale nie stwierdzone doświadczeniem, a ty przecież uznajesz tylko fakta stwierdzone doświadczeniem. A ja ci mówię, że idziesz naprzeciw strasznej kary. Idź, skoro chcesz, ale nie narażaj na to drugiego, nie bierz na siebie, odchodząc w świat nieznany, ciężaru samobójstwa tej, którą, jak twierdzisz, kochasz. Nie gub tej pięknej duszy.

Wyczerpany tak długim przemówieniem, ranny opadł znów na poduszki, mówiąc półgłosem!

— Wszystko się kręci dokoła... jakież to przykre.

Ta skarga czysto fizyczna, wypowiedziana bezpośrednio po tak wysoce mistycznym oświadczeniu

niu i uroczystej przysiędze przywróciła i mnie poczucie rzeczywistości, mimo, że chory dodał:

— To nic. Już przeszło.

— Drogi mistrzu — rzekłem do profesora — chodźmy stąd i pozwólmy panu Le Gallic spocząć.

Ortegue usłuchał mnie, ale od progu jeszcze odwrócił się, mówiąc:

— Odchodzę, ale wpierw zaręczam wam obu słowem honoru, tobie Marsal i jemu, że zostawiłem, zostawiam i zostawię żonie mojej swobodę wyboru, w dniu, w którym odejdę. Będzie mogła odejść wraz ze mną lub zostać. Jesteś uczciwym człowiekiem Erneście, ale i ja także mam się za uczciwego.

## XXVII.

— Sprowadź tu Renarda — rzekł do mnie Ortegue, skorośmy tylko wyszli za próg pokoju, w którym leżał ranny — niech zostanie przy chorym. Spodziewam się, że ten zawrót głowy jest przemijający, chociaż z tego rodzaju ranami w głowę miewa się czasem bardzo przykre niespodzianki. Może nastąpić utajone zakażenie, które dosięgnie samejże podstawy przedłużonego rdzenia, a gdyby się to stało... Słowem, trzeba go mieć pod ścisłą obserwacją. Idź więc, a potem powrócisz do mojej kancelaryi.

Wyszukałem Renarda, to jest naszego asystenta, a udzieliwszy mu odpowiednich instrukcyj,

zapukałem do drzwi profesora. Paroksyzm zazdrości nie minął jeszcze całkowicie i Ortegue zaczął mię znów badać szczegółowo. Czekaając na mnie, zajął się znów porządkowaniem swych papierów, co robił prawie automatycznie. Zauważyłem już nieraz, że taki automatyzm towarzyszy często gwałtownym przesileniom duchowym, jak gdyby przyroda sama równoważyła w ten sposób rozstrój, panujący w wyższych warstwach naszej psychiki przez normalne funkcjonowanie niższych jej władz. Inaczej bowiem zbyt gwałtowne wzruszenie spowodzićby musiało śmierć lub obłąkanie.

W ten sposób właśnie prowadził Ortegue swoje śledztwo, układając równocześnie swoje listy rękami, obciążniętymi w rękawiczki.

— Marszał — pytał mnie — po co chodziłeś do naszego mieszkania na placu Stanów Zjednoczonych?

— Bo wiedziałem o wszystkim, drogi mistrzu.

Wyznałem mu wówczas całą prawdę. Opowiedziałem, w jaki sposób podsłuchałem rozmowy jego z żoną, jak pani Ortegue wymogła na mnie milczenie i jakich uczuć następnie doznawałem. Powiedziałem, że się jakiś czas spodziewałem, iż on sam odstąpi od swego okropnego zamiaru, że jednak podejrzenia moje rozbudziły się na nowo w ostatnich dniach, skoro otrzymałem od niego polecenie zredagowania naprędce zapisek z na-



szych obserwacji klinicznych. Wizyta notaryusza i nieobecność pani Ortegue dokonały reszty. Na zakończenie rzekłem:

— Powiedziałem sobie wtedy: jeśli moje domysły są prawdziwe, pani Ortegue jest u siebie i dlatego poszedłem do niej. Wpadłem na to sam bez niczyjej rady, niema więc w tem żadnej zmo- wy ani spisku i nigdy ich nie było.

— Jakto nie było? — odpowiedział mi na to Ortegue. — Cóż w takim razie znaczyło to milczenie, które na tobie wymogła? — A potem dodał z goryczą: — Jaki człowiek jest sam.

Nie dał mi przeczytać sobie i zaczął mnie dalej badać.

— A zatem — pytał — skoroś wzedł do naszego mieszkania, zastałaś ją tam?

— Tak, siedziała w swoim buduarze na drugim piętrze i pisała coś.

— Dała ci list do mnie! prawda! Dlaczego mi go nie dajesz?

— To, co pisała, drogi mistrzu, nie było właściwie listem. Nie dała mi też nic dla pana...

— Ale w każdym razie rozmawiała z tobą. Pytałaś ją o coś, ona ci odpowiadała — a jeśli powróciwszy stamtąd szukałaś mnie, to miałeś widocznie do mnie jakieś zlecenie. Tak, czy nie? Dała ci do mnie zlecenie? Mów-że!

— Nie dała mi żadnego zlecenia; zamieniliśmy z sobą zaledwie parę słów. Była bardzo przygnę-

biona. Rzuciła wprawdzie parę zdań na papier, jak się to czasem robi w chwilach bardzo ciężkich i zamiast rozmawiać ze mną, wskazała na to swoje pisanie. Przeczytawszy je, zabrałem z sobą ten papier i pospieszyłem tutaj, bo chcę, abyś go pan przeczytał. Ale raz jeszcze zwracam uwagę, że to nie ona mnie przysyła. Prawdopodobnie odebrałaby mi z powrotem ten świstek, gdyby nie to, że nie miała już na to siły. Czytaj pan, jest to krzyk duszy, o którym powinienes pan wiedzieć.

Wydobyłem z kieszeni we dwoje złożony arkusz papieru, który Ortegue wyrwał mi z rąk, prawie dziko, mówiąc.

— Nareszcie będę wiedzieć.

Raz w życiu zdarzyło mi się uledz straszliwej ciekawości. Chciałem być obecny przy wykonywaniu kary śmierci; nie widziałem jednak egzekucyi, ani głowy odciętej od tułowia, bo przymknąłem oczy w ostatniej chwili. Podobnego uczucia grozy doznałem teraz, wobec tego człowieka czytającego słowa rozpacz, skreślone ręką jego żony. I teraz także nie miałem odwagi patrzeć i odwróciłem głowę. Sam zadałem mu ten cios i zadać go musiałem, ale nie miałem siły patrzeć na niego w chwili, gdy go odbierał.

Okazało się jednak, że nie należało mi tracić ani odrobiny z tego przykładu i z tej nauki, jaką mi dał wówczas niepospolity ten człowiek.

Dowiódł on wówczas wielkiego szlachetnego serca osądzając się sam i potępiając a stwierdzając tem swoim postępowaniem istnienie pewnego porządku wskazań moralnych, które rozum jego odrzucał. Był to zaprawdę żywy komentarz do znanego aforyzmu iż „serca ma swoje racye, którym rozum racyi nie przyznaje“. Ten zdecydowany determinista, potępiając niektóre własne czyny, uznawał, nie zdając sobie z tego sprawy, prawo wyboru i wolność woli. Fenomenalista, dla którego myśl i uczucie były tylko przypadkowymi objawami, stwierdzał bezwiednie poszanowanie, jakie jednostka winna indywidualizmowi drugiej jednostki. Filozof żyjący dotąd w absolutnej negacyi świata duchownego, zdawał się nie rozumieć, że w owej chwili działał i poruszał się w sferze pojęć natury wyłącznie duchowej, mimo brzemienia, jakim ciążyło na nim zboliałe jego ciało, zatrute narkotykiem.

Oczekiwałem z jego strony gwałtownego wybuchu gniewu, buntu, protestu, scen wreszcie podobnych do tej, jaka rozegrała się świeżo, przy łóżku rannego porucznika; zamiast tego usłyszałem z najwyższem zdumieniem słowa, nacechowane spokojem, wymówione tonem, którym przy wzmiankach o żonie brzmiała nuta jakiejś bezinteresownej, rzekłbyś już bezcielesnej tkliwości. Był to już zaprawdę głos z po za grobu. Dziś jeszcze w chwili, gdy przystępuję do spisania

tych jego „novissima verba“, przekazanych mi niejako, jako testament ustny, pióro wypada mi z ręki pod wpływem wzruszenia.

— Marszał — zaczął najpierw tym samym tonem intelektualisty-stoika, jakim zwiastował mi kiedyś tu w tym samym gabinecie, iż dotknięty jest śmiertelną chorobą — nie miałem słuszności, trzymając się przez całe moje życie zasady, że wierzyć można tylko faktom? Jak to stawia na nogi człowieka taki fakt. Ja naprzykład od tygodni całych błąkałem się w niepewności, ulegając podszeptom wyobraźni. Słyszałeś rozmowę moją z biedną moją żoną, wiem zatem, że mnie zrozumiesz. Wątpiłem o jej miłości, ona chciała mi dowieść, że mnie kocha, co ja wziąłem za fakt. Był to w samej rzeczy fakt, ale całkiem innej natury, niż przypuszczałem. Nie miłość to już była, lecz tylko poryw litości szlachetnego serca.

— Mimo to — mówił dalej Ortegue — wątpiłem dalej i wtedy to popełniłem zbrodnię, nie przez to, że przyjął ofiarę samobójstwa we dwoje, tego sobie nie wyrzucam. Miałem prawo przyjąć ofiarę miłości, bo dla nas znikomych stworzeń, których istnienie jest tak efemeryczne, rzecz można złudne, jedynem złem jest cierpienie, jedynem dobrem szczęście, a zwłaszcza miłość. Przez miłość jedynie każdy przekroczyć może granice własnego bytu, by zespolić się, zlać z drugą

istotą, a przez nią z bytem powszechnym. Bo widzisz, Marszał, rozum to władza, która rozwija się stopniowo, z wieku na wiek i do dziś jest zaledwie z grubsza naszkicowana. Miłość, rzecz inna — działa ona wprawdzie tylko chwilowo, ale za to daje nam pełne bezwzględne posiadanie, i to z nadwyżką, pozwala nam przekroczyć ciasne szranki własnego bytu, jest słowem naszą godziną wieczności. Niepodobna też rozstać się dobrowolnie z istotą, która nam to daje, a gdyby zapragnęła umrzeć wraz z nami, to mamy prawo przyjąć to żądanie, jako całkiem słuszne i naturalne. To też nie wyrzucam sobie i teraz, żem przyjął chętnie ofiarę mej żony. Zbrodnia moja polega na tem, że przeczuwając, iż nie kocha mnie już miłością, upomniałem się jednak o spełnienie przyrzeczenia. I to dlaczego? Żeby ją wypróbować. To było z mej strony występne, ohydne, przyznaję to sam. Zgodzić się na jej śmierć, dopomódz nawet do niej, gdyby mnie kochała, byłaby to tylko najwyższa ekstaza rozkoszy dla nas obojga. Ale zaryzykować to, co ja zarykowałem, to jest pozwolić, aby umarła w kłamstwie, zabijając się z litości dla mnie, to by już było morderstwo.

— A więc drogi mistrzu — podchwyciłem natchmiaszt — wnioskując logicznie nie godzisz się już na to, by odbierała sobie życie

— Jakto? Czyś mnie jeszcze nie zrozumiał? — odpowiedział mi na to.

— Owszem, drogi mistrzu, to też myślę, że możesz nie tylko zwolnić ją z danego słowa, ale także wpłynąć na powrót jej do zdrowia moralnego, uzdrawiając się sam.

— Masz zapewne na myśli wybuch zazdrości, na jaki sobie pozwoliłem wobec Le Gallica, ja, lekarz, wobec powierzonego mej pieczy rannego!

— Tu nie chodzi o porucznika, lecz o pana samego, drogi mistrzu. Przyznaj pan sam, że będąc równie chory na ciele, jak pan jesteś, ale zdrowy duszą, poszukałbyś pan już dawno lekarstwa na swoją chorobę.

— Wiesz dobrze, że go niema..

— Jest w każdym razie paliatyw, który doradziłbyś, a nawet nakazał sam każdemu swemu pacjentowi.

— Operacja? — odparł, wzruszając ramionami.

— No, tak operacja. Skorom panu pierwszy raz o niej wspomniał, odrzuciłeś ją plan, i to tak stanowczo, że nie śmiał powracać do tego tematu. Ale dziś śmiem wszystko. Operacja taka bywa jednak często bardzo skuteczna. Przypomnij pan sobie dwa piękne rozdziały u Dielafoya o leczeniu gruczoła żołądkowego i przytoczoną w nich historię owego Portugalczyka, który poddawszy się operacyi, cieszył się długi

jeszcze czas zdrowiem. Przyrzeknij mi pan, że zwrócisz się do specjalistów, których sam wybierzesz wśród swoich kolegów, a jeśli który z nich doradzi panu poddanie się operacyi, zastosujesz się pan do jego rady.

— Nie odmawiam, odrzekł Ortegue. Dlaczegożby w istocie nie spróbować. Ale mamy tu do załatwienia coś pilniejszego od mojej operacyi, Marszał! Uspokoić musisz przedewszystkiem biedną moją żonę. Pomyśl tylko, co się z nią musi dziać, skoro dotąd nie powróciła. Idź po nią natychmiast. Lepiej, abyś ty pierwszy się z nią widział. Ja na razie nie czuję się na siłach. Ale wpierv przekonajmy się, czy jest jeszcze na miejscu.

Wziął do ręki mały, przenośny telefon, który stał na jego biurku i spytał swego odźwiernego, czy pani Ortegue jest jeszcze u siebie.

— Pani nie wyszła jeszcze — brzmiała odpowiedź.

Wtedy Ortegue podał mi jeden z receptorów, mówiąc:

— Ona ma telefon w swoim buduarze. Przemów do niej i uspokój ją natychmiast. Powiedz jej, żeś mi dał ten list, bo był to bądź co bądź list do mnie, którego nie miała odwagi mi przesłać. Powiedz jej, że jestem bardzo spokojny, że czekam na nią i że ty właśnie na moją prośbę podjąłeś się przyprowadzić ją tutaj.

— A czy mogę jej powiedzieć, że się pan decydujesz na operację?

— Możesz, jeśli chcesz, ale przede wszystkim uspokój ją.

Podczas gdyśmy wymieniali tych kilka zdań, odzwierny na polecenie moje połączył telefon swój z aparatem, stojącym na biurku w buduarze pani Ortegue. Poznałem głos jej i powiedziałem profesorowi, że to ona mówi. Ze strachem patrzyłem, jak pochwycił drugą słuchawkę. Byłoby nie powiedziała coś, co go dotknie boleśnie, pomyślałem, mówiąc głośno przez telefon.

— To pani! Rozmawiałem z profesorem i pokazałem mu list pani. Przeczytał go, jest całkiem spokojny i prosi mnie, abym to pani powtórzył. Życzy sobie, abym po panią poszedł. Zaraz się też zgłoszę i powtórzę pani naszą rozmowę, która panią ucieszy. Niech pani czeka na mnie całkiem spokojnie.

— Ale on? Jakże on się czuje? — spytał tłumiony wzruszeniem głos.

— Lepiej, ten list wyzwolił go. To własne jego słowa. Chciałby widzieć panią.

— Przemów do niej coś jeszcze — rzekł wtedy profesor — chciałbym raz jeszcze usłyszeć jej głos. Wytlómacz jej, dlaczego sam z nią nie rozmawiam. Wymyśl jakibądź powód.

— Czy pani tam jest? Profesor zapytuje, czy pani jest spokojna.



— Tak, tak, ale on?

— On chciałby sam rozmawiać z panią przez telefon, ale jest zanadto wyczerpany wzruszeniem. Mówi, że sił mu zabrakło. Prosi, żeby się pani nie dręczyła ani tem, ani niczem innem.

— Podziękuj mu pan i przychodź tu jak najprędzej.

— Ileż to razy — rzekł Ortegue po zamknięciu aparatu — przychodziłem tu pomiędzy jedną a drugą operacją, aby przyzwać ją na chwilę, usłyszeć jej głos, przekonać się, że jest tam, u nas w moim domu, szczęśliwa, zadowolona, że czeka na mnie. Dwa słowa z jej ust było mi już orzeźwieniem. Ale idź do niej, Marsal. Minuty są latami w takich razach, a później gdy się już tylko wspomina lata, stają się minutami. Idź do niej, bo czeka na ciebie.

## XXVIII.

W dwadzieścia minut potem byłem już na placu Stanów Zjednoczonych. Pani Ortegue czekała na mnie w hali wchodowej. Dojrzała mnie przez szybę i wyszła na moje spotkanie.

Była to w tej chwili zupełnie inna kobieta. W ciągu kilku ostatnich godzin cała jej energia życiowa skoncentrowaną była w pokornym, choć przejmującym uczuciu, jakim jest lęk przed śmiercią. Uderzyła mnie zmiana, jaka w niej zaszła w pierwszym ócz jej spojrzeniu. Z tych oczu,

niedawno jeszcze obłądnych prawie pod wpływem lęku, promieniował teraz ciepły, łagodny blask. Wolno jej żyć. Rozchylonemi usty chłonęła zda się chciwie tchnienie swobody i wyzwolenia. Za ledwie samochód mój zatrzymał się przed bramą, wskoczyła do środka i sama dała szoferowi adres ulicy św. Wilhelma. Siedziała jakiś czas w milczeniu, a wreszcie spytała trwożliwie drżącym, niepewnym jeszcze głosem :

— Więc on na prawdę chce mnie widzieć ?

— Ależ tak, chce sam panią uspokoić, pokrzepić, powiedzieć, że panią rozumie. Ach, gdybyś go pani widziała w chwili, gdy czytał jej list.

— Nie mogłabym na to patrzeć. Byłoby mi za bardzo wstyd.

— To niesłusznie. Pisząc, żyłaś pani w prawdzie, podobnie oddając mi ten list.

— Pan nazywasz tchórzostwo moje prawdą, ale on, choć pozwala mi złamać słowo, musi mną w gruncie pogardzać.

— Nigdy może tak pani nie kochał, jak właśnie dziś. Najlepszy dowód, że pragnie żyć dla pani. Pani wie, jak przyjmował dawniej propozycję operacyi.

— A teraz chce ?

— Tak. Widzi pani, jak go pani umiała zmienić.

— Prawda, operacya ! Że też nie pomyślałam o tem wcześniej ! — zawołała, składając ręce. — Dlaczego nie mówiłam z nim o tem. Ileż to czasu

straconego! Żyliśmy, jak w obłądnie, jak w okropnym śnie. Kto wie, czy już dziś nie za późno. Ale może nie; a można to było już dawno zrobić. Miał jeszcze tyle sił w sobie w dniu operacji kapitana Dufour, kiedy mi pierwszy raz powiedział o swej chorobie. Miałby i teraz dość sił, gdyby nie ta morfina, ta trucizna, która go niszczy. Uleczy my go i z tego nałogu. Będzie mi wrócony na jakiś czas, na długo może, a ja będę mu mogła dowieść, że nie przestałam go kochać. Jestem tylko słabą kobietą, nie taką, jak on. Za wiele się po mnie spodziewał, a co gorsza, ja sama przerachowałam się co do swoich sił. To już moja wina. Podobnie i z pojęciami memi. Wie pan, dlaczego się wtedy rozplakałam? Bo już sama nie wiem, co myśleć, ani w co wierzyć. Są chwile, w których coś potężniejszego od nas pomiata nami. Jest się jakby pod wielką falą, tak, że chciałoby się tylko oczy zamknąć i dać się unosić fali.

Gdy tak mówiła, miałem wrażenie, że mam przy sobie dziecko i podobało mi się w niej to, że jest tak słabą, niepewną, że ta wola, tak niedawno jeszcze nieugięta, ulega teraz posłusznie sile instynktu. Byłem pewny, że skoro tylko profesor zobaczy ją taką biedną, rozstrojoną, chwiejną, to już sama jej obecność poruszy w nim współczucie, które rozproszy do reszty poszepty złej dumy i rozpaczy.

Niestety, sprawdzić się miały przeczucia jego ofiary. Było już za późno. Skoro po przybyciu naszym do kliniki wysiadłem z samochodu, aby otworzyć bramę przed panią Ortegue, uderzył mnie niemiłe widok trzech pielęgniarek, które omawiały coś żywo, stojąc na środku dziedzińca. Umilkły na nasz widok, ustępując z drogi mej towarzyszcze, którą jednak odprowadziły wzrokiem, z wyrazem, nie wróżącym nic dobrego. Biedna kobieta nie zwróciła uwagi na ten drobny epizod i biegła prawie w stronę kliniki, ja zaś nie mogłem się zatrzymać, bo nie chciałem zostawić jej samej, póki nie będziemy u celu. W korytarzu jednak uderzył nas niezwykle zamęt, który nie uszedł też uwagi pani Ortegue. Spytała też natychmiast:

— Co się stało ?

Ranni, pielęgniarki, goście przygodni, stali grupami, rozmawiając z sobą z podnieceniem, jakie wytwarza się zwykle w zetknięciu z niespodziewaną katastrofą. Rozstąpili się przed nami, nie dając żadnej odpowiedzi. Pani Ortegue biegła w stronę poczekalni, przylegającej do gabinetu profesora, gdzie u progu natknęła się na wychodzącego stamtąd chirurga Quenant.

— Niech pani nie wchodzi — rzekł do niej.

— Niech pani nie wchodzi — powtórzył. — Profesor miał atak, rodzaj omdlenia i nie odzyskał jeszcze przytomności. Wkrótce zapewne

przyjdzie do siebie. Renard jest przy nim. Panie Marsal, niech pan zatrzyma panią Ortegue.

Krzyknęła przeraźliwie.

— On umarł!

Wyrwała się z niepojętą siłą, usuwając na bok mnie i chirurga i wpadła do gabinetu, a my za nią.

Ortegue leżał wyciągnięty na tej samej sofie, na której poddałem go pierwszemu badaniu, przed dwoma miesiącami. Usta miał w pół otwarte, ale nie wydające już z siebie najlżejszego tchnienia, podobnie jak w szklistych źrenicach jego na wpół przysłoniętych powiekami, nie było już i śladu świadomego spojrzenia.

Pani Ortegue krzyknęła po raz drugi, rzucając się na ciało męża, ścisnęła go i obsypywała pocałunkami twarz tę, wyniszczoną i zastygłą w śmiertelnym smutku, którego już nie mogły rozproszyć jej pieśczoty.

— Zostawmy ją samą — szepnąłem do chirurga i Renarda, wypychając ich prawie do poczekalni, poczem zapytałem zniżonym głosem.

— Jak się to stało?

— Wiemy nie wiele więcej od pana — odparł Quenant. Byliśmy na górze, Renard i ja u porucznika Le Gallic, którego stan, mówiąc nawiasem, także nie wróży nic dobrego. Trzeba nawet, abyś pan tam zaraz powrócił, panie Renard, a i ja tam za panem podążę. Otóż gdyśmy sie-

dzieli przy chorym, wpadł nagle jeden z posługaczy donosząc, że gdy przechodził, pod oknami profesora usłyszał jęki, a wszedłszy do gabinetu znalazł go nieprzytomnego. Zbiegliśmy obaj na dół, ale gdyśmy weszli, był już w ostatnim paroksyzmie konania. Umarł prawie zaraz potem. Musiałeś pan zauważyć, że w ostatnich czasach nadużywał morfiny. Widocznie przesadził dawkę. To się zdarza. Ale ona! Biedna kobieta.

W tej chwili doszło nas z przyległego gabinetu łkanie tak rozpaczliwe, że usłyszawszy je, zadrzałem.

— Wracajcie do porucznika — rzekłem do mych kolegów, a ja zostanę przy niej. Spróbuję ją uspokoić.

Miałem swoje powody oddalając obu świadków, bo lękałem się, aby jakie słówko niebaczne nie wymknęło się pani Ortegue w przystępie rozpaczy. Śmierć ta rozcinała nagle bolesny dramat małżeński, którego tajemnicę należało uszanować, przez wzgląd na pamięć profesora. Na szczęście Quenant był sumiennym lekarzem i poczucie obowiązku zawodowego wzięło w nim górę nad rozbudzoną może ciekawością.

— Idę więc — rzekł do mnie — tem bardziej że tam na górze sytuacja jest groźna, straszny upadek pulsu, zawroty, nudności, bladość, oddech Cheyne-Stokesa, słowem typowe zajęcie przedłużonego rdzenia, którego zresztą profesor zawsze

się obawiał. Wie pan co, ja bym go był operował zaraz po przyjeździe. Takie obce ciała, tolerowane w tkance mózgowej, to pięknie wygląda w teorii, ale nie w praktyce. Profesora bym także operował. Mówiłem to panu zawsze. Odprowadziłbym wydzieliny żółciowe, przez zetknięcie pęcherza z krętem jelitem. Organizm by się oczyścił, bóle ustałyby i żyłby zdrów długie jeszcze miesiące. Ale ona biedna, musiała go bardzo kochać. Słyszycie, jak jęczy.

Skoro tylko Quenant wyszedł, powróciłem do gabinetu, gdzie pani Ortegue obejmowała wciąż jeszcze konwulsyjnie martwe zwłoki męża. Wziąłem ją za rękę, chcąc ją oderwać. Uległa mi z biernością, która miała w sobie coś bardziej jeszcze przerażającego od gwałtowności pierwszego wybuchu. Odprowadziłem ją jak najdalej od sofy, na której leżał Ortegue, ale ona zwracała wciąż ku niemu twarz prawie obłąkaną, powtarzając bez przerwy.

— Zabił się! Zabił się przeze mnie, to moja wina. Umarł w rozpacz przeze mnie, przez moje tchórzostwo. Ach, panie Marsal, dlaczegoś mu pokazał ten list? Ja pana o to nie prosiłam.

— Pani się myli, nie zabił się — odpowiadałem, okłamując ją świadomie.

Teraz bowiem dopiero zrozumiałem, dlaczego Ortegue pozbył się mnie, aby nie mieć świadka. Wtedy już musiał być zdecydowany na samobój-

stwo samotne, któreby miało pozory śmierci naturalnej w moich oczach. Skoro doszedł do przekonania, że nie kochała go tak, jakby pragnął być kochany, postanowił skończyć z tem od razu, nie czekając na jej powrót. Przypomniałem sobie gest, z jakim uchwycił drugi receptor, aby raz ostatni przed śmiercią usłyszeć jeszcze głos ukochany i serce krajało mi się na to wspomnienie. Mimo to próbowałem dalej łudzić ją, jakkolwiek było to prawie bezcelowe.

— Niech pani spróbuje rozumować logicznie — mówiłem. — Gdyby się był zabił, zostawiłby dla pani choć słówko na piśmie, a widzi pani sama, że tu nic niema. Pokazywałem jej biurko, na którym odsuwałem papiery.

— Po cóż miał do mnie pisać? Nie miał mi już nic do powiedzenia.

— W każdym razie, postarałby się widzieć panią przed śmiercią,

— O, nie! Właśnie, że już nie mógł znieść mego widoku. Zbyt boleśnie go dotknęłam. Poco, poco pan mu pokazywał ten list!

— Pani sądzi, że czuł do pani urazę? O, gdyby pani słyszała, z jaką miłością mówił o pani już po przeczytaniu jej listu, z jaką czułością, jak przynaglał mnie do pośpiechu, aby panią uspokoić.

Czułem teraz, że nie kłamię, przypominając tkliwość i pobłażanie, jakie Ortegue okazał istotnie w swej ostatniej ze mną rozmowie. Rozu-



miałem jednak teraz dopiero, ile w tem było heroizmu i cichego cierpienia.

— Upewniam panią, że to nie samobójstwo — twierdziłem dalej. — Ani Quenant, ani ja nie wiemy jeszcze, co spowodowało katastrofę, ale rzecz oczywista, że musiał to być wynik ogólnego jego stanu. Tu mogło zajść tysiąc komplikacyj, zwłaszcza z sercem. To się pokaże.

— Będę wiedzieć prawdę — rzekła, wrywając mi rękę.

Poszła prosto do biurka, gdzie w jednej szufladzie tkwił klucz w zamku.

— Widzi pan! — zawołała. — To ta sama trucizna!

Wydobyła z jednej z przegródek mały słoiczek, wypełniony białym proszkiem i podniosła go do światła. Wyczytałem złowrogi napis na kartce nalepionej: C. az. k. Był to cyanek potasu. Słoik wypełniony był po brzegi i zapieczętowany. Pani Ortegue wyszeptwała:

— Nasza trucizna! Nie użył jej.

Na szczęście, pochłonięta gorączką poszukiwania, nie zauważyła tego, co ja dostrzegłem w tej chwili ze zgrozą. W jednej z przegródek leżała dużych rozmiarów strzykawka, w której było jeszcze trochę płynu. Płyn ten, jak to stwierdziłem później, była to morfina. Zrozumiałem teraz wszystko. Quenant wpadł na trafny pomysł, nie zdając sobie tylko sprawy z jego znaczenia.

Ortegue wybrał najprostszy rodzaj samobójstwa, który przytem najłatwiej mógł uchodzić za zwykły wypadek. Zastrzyknął sobie ogromną dawkę morfiny, poczem zdołał jeszcze odłożyć do szufladki narzędzie swej śmierci, ubrał się i położył na sofie. Odtworzyłem sobie w myśli wszystkie te szczegóły, nabierając pewności, pod której wpływem wydałbym głośny okrzyk, jak wprzód pani Ortegue, gdyby nie to, że musiał panować nad sobą. Zasuнаłem więc szufladkę niby machinalnie, mówiąc:

— Widzi pani, że słoik jest nie napoczęty, a to najlepszy dowód, że się profesor nie otruł.

— Wybrał jakiś inny sposób, aby mnie w błąd wprowadzić. Zrobił to przez szlachetność, ale nie chciał mnie widzieć przed śmiercią.

Opadła na fotel, trzymając obu rękami słoiczek z trucizną, przyczem jęknęła.

— Nie chciał widocznie zażyć sam trucizny, która była przygotowana dla nas obojga.

Zbliżyłem się do niej, mówiąc naturalnym tonem:

— Proszę mi oddać ten słoiczek.

Nic na to nie odrzekła, przyciskając do piersi truciznę, którą trzymała wciąż w zaciśniętych palcach.

— Proszę, niech pani będzie tak dobra i odda mi to. Proszę panią w imieniu jej męża, który

tu w tem samym miejscu przed godziną, wyraził życzenie, abyś pani żyła.

Zerwała się jednym skokiem, chroniąc się za fotel.

— Co? Może pan myśli odebrać mi to gwałtem?

## XXIX.

Ta krótkka, ale straszna dla mnie scena, przzerwana została wejściem jedyne go człowieka, w obecności którego rozgrywać się mogła bez niedyskrecyi ze względu na jego duchowny charakter. Wchodzącym był ksiądz Courmont, a już z pierwszych jego słów dowiedziałem się, że przychodzi tu przysłany przez umierającego porucznika, którego przysposabiał na śmierć.

Jednym rzutem oka objął scenę zrozumiałą dla niego aż nazbyt po ostatnich rewelacyach konającego. Widział martwe zwłoki profesora leżące na sofie, żonę jego za fotelem w postawie bezprzytomnego oporu i mój błagalny gest.

— Pomóż mi, księżu kapelanie, skoroś tu przyszedł — zawołałem.

Zrozumiał od razu, że chodzi mi o wydarcie z rąk nieszczęsnej kobiety trucizny, której najdrobniejsza szczypta spowodować mogła natychmiastową śmierć. Mogła zedrzyć pieczęć i zabić się przy nas. Dziś jeszcze drzę na myśl, że w przerażeniu mojem użyłem najgorszej metody:

gwałtu. Był to najpewniejszy sposób przyspieszenia katastrofy, której chciałem przeszkodzić za wszelką cenę, dusza bowiem rozszalała rozpaczą, na gwałt odpowiada gwałtem.

Ksiądz Courmont zrozumiał od razu niebezpieczeństwo, ale nie stracił zimnej krwi, a gdy ja powtarzałem wciąż: „Pomóż mi księżę kapelanie“, on nie odpowiedział mi nic, tylko zwrócił się bezpośrednio do pani Ortegue.

— Pani — rzekł — dowiedziałem się o strasznym nieszczęściu, które na panią spadło i przyszedłem tu pomodlić się przy naszym drogim zmarłym. Pozwoli pani nieprawdaż?

Skinęła głową twierdząco, a wtedy on dodał:

— A pani nie zechce pomodlić się wraz ze mną.

Zaprzeczyła posępnie ruchem głowy. Ksiądz nie nalegał dłużej, lecz ukląkł sam przy zwłokach, a zrobiwszy znak krzyża świętego modlić się zaczął pół głosem.

Patrzyłem na panią Ortegue. Słowa modlitwy dochodziły do jej słuchu urywkowo tylko, podobnie jak i do mnie. „Bądź wola Twoja“. „I odpuść nam nasze winy“. „Nie wódź nas na pokuszenie“. Spostrzegłem, że ręce, któremi trzymała słoiczek z trucizną, zwolniły uścisk, a po twarzy jej stoczyły się dwie wielkie łzy. Jaka siła podziałała na nią? — nie wiem do dziś. Może energia duchowa, wydzielająca się z ogniska, leżącego poza obrębem jej osobowości. Uwa-

żam to za możliwe. A może była to osobista suggestya księdza, lub też nagle przebudzenie dawnych wrażeń dzieciństwa, wywołane widokiem tego księdza, klęczącego przy zmarłym i odmawiającego półgłosem modlitwy żałobne...

Nie wiem, która z tych hipotez jest słuszną, stwierdzam tylko fakt, ale go nie próbuję wyjaśnić. Fakt ten dowodzi w każdym razie, że umysł, wyszkolony religijną karnością, umie się w szczególny sposób przystosować do współdziałania z realnemi zjawiskami życia. Ksiądz Courmont wpadł na jedyny sposób powstrzymania nieszczęsnej kobiety na drodze do samobójstwa. Czy na długo wszakże?

Kapelan podniósł się z klęczek i rzekł łagodnie, ale z powagą:

— Modliłem się o spokój dla niego, droga pani. Tyle pracował w życiu, tyle kochał, cierpiał tyle! Bóg dobry jest i widzi to, czego my nie dostrzegamy. On mu da spokój, byleby tylko... — Tu zatrzymał się, a potem rzekł łagodniejszym jeszcze, prawie błagalnym tonem:

— Przeszedłem jeszcze z czemś innem. Niech się pani uzbroi w męstwo, bo oto znów... Kuzyn pani Ernest Le Gallic jest już bardzo, bardzo chory. Godziny jego są policzone, może minuty. Chciałby się z panią widzieć.

Odmówiła ruchem głowy z tym samym posępnym gestem.

— Niech pan! nie odmawia — rzekł ksiądz — chociażby ze względu na niego — tu ukazał ręką na zmarłego — bo o ile wiem, o nim to właśnie chce mówić z panią pan Le Gallic.

— O nim? — spytała.—A potem zwracając się do mnie, dodała jeszcze:— Czy widzieli się z sobą, gdy mnie tu nie było?

Ksiądz odpowiedział za mnie:

— Tak pani.

— Długo?

— Długo. Niech pani idzie na górę... a ja zostanę przy zmarłym.

— Pójdę — odrzekła po chwili namysłu.

Ocieriała łyzy chusteczką, ale nie spuszczać z niej wzroku, zauważyłem, że zawinęła w nią słoiczek z cyankalium. Z tego powodu postanowiłem iść za nią. Gdy weszła do pokoju porucznika, zatrzymałem się w progu, zdecydowany czekać na nią na korytarzu, aby nie przeszkodzić temu ostatniemu spotkaniu. Byłem przekonany, że nie otruje się w pokoju rannego. On wszakże dostrzegłszy mnie, stojącego za panią Ortegue, przyzwał mnie do siebie gestem.

Miał już nierówny oddech, który mu przerywał mowę, oddech przyspieszony, to znowu zwalnający się do ostateczności, a chwilami całkiem urwany. Wyrzekł też pierwsze słowa z wielką trudnością, zwracając się do Renarda i chirurga Quenant, którzy stali przy jego łóżku.

— Panowie, chciałbym pomówić z moją kuzynką w obecności doktora Marsal.

Zrozumiałem natychmiast utajoną pobudkę tego życzenia. Wiedziałem ostatecznie tyle o stosunkach rodzinnych pani Ortegue, że Le Gallic mógł poruszyć w mojej obecności niektóre kwestye; z drugiej strony obecność moja wystarczała na to, aby przeszkodzić mu w poruszaniu osobistej struny jego uczuć.

Renard i Quenant wyszli, ale Quenant rzekł wprzód głośno:

— Będziemy czekać na korytarzu, panie poruczniku, ale, proszę nie nadużywaj pan swoich sił.

A do mnie rzekł jeszcze cicho:

— Tu niema rady. Już koniec. Rdzeń zajęty.

— Katarzyno — zaczął mówić konający głosem, któremu zamierające chwilami tony nadały dziwnie uroczysty charakter i bardziej przejmujący od samejże treści wypowiedzanych słów. Rozmawiałem z Michałem w obecności doktora Marsal. Twój mąż powiedział mi, co zamierzałaś uczynić... Wiem, że z nim już koniec, a lękam się, żebyś i ty nie trwała w zamiarze, nie chcąc go przeżyć. Ty powinnaś żyć Kasiu, musisz nawet żyć i to dla niego. Ja, który umrę za chwilę, upewniam cię, że jest drugi świat. Czuję go już, prawie widzę, stykam się z nim. Wiem, że i na tym drugim świecie można jeszcze cierpieć, za winy własne, lub za te, których byliśmy przy-

czyną. Można też na tym drugim świecie doznać ulgi, za przyczynieniem się i przez dobre uczynki żyjących. Nie wiesz na pewno, czy to prawda, ale nie możesz także dowieść, że tak nie jest. To samo mówiłem dziś twemu mężowi. Pomyśl tylko, że samobójstwo twoje obciążyć może Michała brzemieniem strasznej kary, tam gdzieś... Pomyśl natomiast, że żyjąc możesz mu przynieść pożytek, prawie dobrodziejstwo. Widzisz teraz sama, że musisz żyć. Jeśli prawdą jest to co ci mówię, to ani jedna minuta życia twego, które spędzisz w cierpliwości, pokorze, miłosierdziu, nie będzie dla niego straconą. Ofiara z siebie nigdy nie bywa straconą. — I to, co ja cierpię w tej chwili i co jeszcze wycierpię, nie pójdzie na marne, bo ofiarowałem to za ciebie. Śmierć moją za to, abyś ty została oświeconą, oczyszczoną, abyś ty żyła.

Dodał jeszcze.

— Biedna Kasiu! Ja, który odchodzę, rozumiem, o ile trudniejszym jest twoje zadanie i obowiązek cięższy od mego. To tak łatwo ofiarować się na raz, ale widzisz i ja dużo wycierpiałem, zanim doszedłem do tej godziny. W każdym razie jest ogromna pociecha w cierpieniu, skoro się je przyjęło bez szemrania. Żegnaj cię Kasiu. Nie żądam od ciebie żadnego przyrzeczenia. Wiem, że ty sama nie pozwoliłaś na to, aby ofiara moja za ciebie poszła na marne.



Przycisnął do piersi krucyfiks, tym samym gestem, jakim ona niedawno cisnęła do piersi truciznę.

— Żegnaj cię, Erneście — rzekła wtedy i pochylając się nad rannym, pocałowała go w czoło.

— Dziękuję — wyszeptał gasnącym już głosem, jak gdyby ostatniemi tchnieniem.

Widząc, że grozi mu omdlenie, wybiegłem na korytarz dla przyzwania Renarda i Quenant'a.

— Zostańcie przy nim — rzekłem — tu trzeba natychmiast zastosować nakłucie biodra. Przygotuj pan instrumenta, panie Renard, a ja tu zaraz wrócę.

Podąłem ramię pani Ortegue, która poszła za mną automatycznie. Skorośmy się znaleźli w gabinecie jej męża, gdzie ksiądz Courmont modlił się wciąż jeszcze przy zwłokach, wyjąłem jej z ręki chusteczkę, w której wciąż jeszcze trzymała słoiczek z cyankalium. Palce jej ustąpiły bez oporu.

— Będzie pani żyć? — spytałem.

— Będę — odparła.

### XXX.

Żyje więc. Upłynęły już dni i tygodnie, sześć długich miesięcy, od chwili gdy cała jeszcze drżąca, pod wpływem zakłęb konającego, oddała mi flaszeczkę z trucizną. Uwierzyłem, że zechce żyć,

widząc, jak dotrwała do końca na ceremonii pogrzebowej Michała Ortegue. We trzy dni później, postępować już za trumną porucznika Le Gallic. Obecność jej była zresztą jedyną wspólną cechą dla tych dwóch obrzędów.

Ortegue zastrzegł sobie w ostatnim kodycyłu swego testamentu pogrzeb cywilny, co wywołało w swoim czasie niesłychane przerażenie nabożnego notariusza. Zdaje mi się, że nienawiść jego do Ernesta Le Gallic była główną przyczyną tego postanowienia. Jakże posępny był ten dzień listopadowy, w którym odprowadziliśmy go na cmentarz w Passy. Lubując się nawet w pośmiertnym przepychu, kazał tam sobie wznieść za życia jeszcze wspaniały grobowiec marmurowy, wykładany mozaiką. Niezliczony tłum towarzyszył konduktowi pogrzebowemu głośnego chirurga. Jakże inaczej wyglądał skromny pogrzeb nieznanego żołnierza. Po mszy cichej, odprawionej o godzinie ósmej z rana, w kościele św. Tomasza z Akwinu, odprowadziliśmy zwłoki do dworca kolejowego Montparnasse, skąd odwieziono trumnę do Treguier. Żołnierz bretoński poszedł na wieczny spoczynek do ziemi rodzinnej, obok ojców i dziadków, którzy się w nim odrodzili i których wiarę podzielał.

Te dwa pogrzeby były dla mnie jakby widocznym symbolem. Oficer bretoński żył zawsze we współobcowaniu, padł wśród swoich i leży

wśród swoich, a biedny mój mistrz pozostał samotnym w śmierci, jak był nim w ostatnich godzinach życia przed swym tragicznym zgonem. Słyszę, zda się, jeszcze żalosne brzmienie jego głosu, gdy mówił do mnie przed śmiercią: „Jaki człowiek jest sam“. Ilekroć też przechodzę obok cmentarza w Passy, z jakimże wzruszeniem patrzę na olbrzymi nasyp, górujący nad aleją Henri-Martin. Przenikam wzrokiem w myśli marmurowe ściany grobowca, by dotrzeć do wnętrza podziemnego sklepienia, gdzie w milczeniu i chłodzie śmierci rozsypują się znikome szczątki człowieka, przepojonego niegdyś siłą geniuszu i namiętności, jakim był za życia Ortegue. Żał mi go i takbym mu chciał pomódz, a potem myślę, że jeśli wogóle cierpi, to nie tutaj. To samo zapewne powtarzać sobie musi jego żona.

Patrzę na nią w tej chwili przez okno. W ogrodzie naszym, pod cieniem starych drzew spoczywa na leżaku żołnierz z opaską na oczach; obok niego leżą dwie kule. Przywieziono go nam ze strzaskanem udem i ośleplego. Udało się uratować jego nogę; nie zdołaliśmy przywrócić mu wzroku. Pani Ortegue siedzi obok niego i czyta mu głośno. Wychudła jest, zmieniona. Coprawda tryb życia, jakie prowadzi, spowodować musiał to wyniszczenie. Żyje, tak, żyje, ale w sposób, który zużywać musi nad miarę jej siły. Oddana

jest cała na usługi rannych, których nigdy nie brak w salach naszej kliniki.

W miarę, jak się wojna przedłuża, wielu, wielu, znużyło się już tą pracą, ona nie. Pracuje z tem samem poświęceniem, jak w pierwszych tygodniach, budząc w nas zdumienie, podziw, wreszcie lęk. Noce całe spędza przy rannych, oddając im najniższe usługi tem chętniej, im bardziej są przykre lub niebezpieczne. Na samo przypuszczenie zaraźliwej choroby spieszy do chorego i nie odstępuje go. W tem jej miłosierdziu jest bez wątpienia wola samobójstwa. Próbuje, rzec można, spełnić równocześnie ostatnią wolę obu ludzi, którzy ją tak mocno kochali, a z których jeden kazał jej żyć, a drugi umrzeć. Żyje więc w taki sposób, jaki jej wskazał Le Gallic, w nadziei, że umrze, jak to przyrzekła mężowi.

Chcąc zmusić ją do częściowego choćby wypożyczenia, prosiłem, by się zajęła w szczególności naszymi ślepyimi. Skromne to zadanie, ale, jak mówi ksiądz Courmont, strwożony równie jak ja ubytkiem jej sił, niema na świecie zadania zbyt skromnego, jeśli przynosi ulgę cierpiącym. Na postanowienie jej wpłynął ostatecznie kapelan, a jest to dla mnie dość znaczący objaw. Zdaje mi się, że w duszy jej, w tej pięknej duszy, jak ją nazywał Le Gallic, budzi się nostalgia za religią. Czy to indywidualizm Le Gallica działa na nią jeszcze z poza grobu? Jeśli tak jest, to mimo

to szlachetna kobieta trwa w wierności i gdyby Ortegue zmartwychwstał, nie miałby powodu do zazdrości o ten wpływ. Pragnie gorąco wierzyć, głównie dla niego. Wczoraj jeszcze — bo ze mną jednym rozmawia niekiedy otwarcie — mówiła mi:

— Pan mi wyrzucasz, że pracuję za wiele w szpitalu, a przecież to jest dla mnie jedyne ukojenie. Gdy po dniu i nocy nieustannej pracy jestem do ostateczności zmęczona, mówię sobie: „Jeśli wiara Ernesta jest prawdziwą, jeśli istnieje na prawdę drugi świat, a dusza mego męża nie zgasła, lecz żyje gdzieś i cierpi, to może ta odrobina ulgi, jaką tu przynoszę innym, spada na niego“. Jest to tylko życzenie z mojej strony i to pełne wątpliwości, a przecież skoro mu się poddam, daje mi ono niezmierny spokój wewnętrzny, jak gdyby ktoś mi skądś dziękował. Ale skąd?

To proste pytanie kobiece, zmierza nie mniej jak do rozwiązania nieuchronnego a dręczącego nas zawsze zagadnienia śmierci. O cóż właściwie pyta nieszczęsna wdowa Michała Ortegue? O to, czy jest związek tajemniczy między żywymi a umarłymi, czy też następuje z nimi wieczne zerwanie? Czy nasza obecna działalność wyczerpuje się sama w sobie i kończy bezwzględnie, czy przeciwnie — ma dalszy ciąg gdzieindziej, w świecie duchowym, który jest pierwoabytem i ostatecznym wyjaśnieniem widzialnego świata.

Jeśli istnieje takie przedłużenie naszego doczesnego bytu, śmierć nabiera innego znaczenia, a nawet ma wogóle znaczenie w takim tylko razie, jeśli to przedłużenie istnieje. Jeśli nie, jeśli te koniec wszystkiego, to pomijawszy stopień bólu, jakaż różnica zachodzi między jedną śmiercią a drugą? Bodziec śmierci obojętny być powinien dla tego, który umiera, skoro każda śmierć unicestwia go bezwzględnie.

Zagadnienie to, zasadnicze przecie dla nas i które powinniśmy wszyscy rozstrzygnąć a przynajmniej przemyśleć, zepchniętem bywa zazwyczaj na dalszy plan w codziennym trybie życia. Dziś wszakże powszechna wojna stawia je nieustannie milionom istot o każdej niemal godzinie, od jednego do drugiego krańca Europy, tym, co walczą i giną, i tym, co zostają, jednostkom, rodzinom, krajom, całej niemal ludzkości. Czy tyle krwi, tyle łez przelanych, ma jakieś znaczenie gdzieindziej — czy też przeciwnie, olbrzymi konflikt, na który patrzymy, jest tylko jakby zbiorową gorączką, której jedynym wynikiem ma być przedwczesne wstąpienie w stadium rozkładu milionów ludzkich organizmów, po to tylko, aby służyć za materiał nowym procesom fizykochemicznym?

Oto jest pytanie, które narzuca się natrętnie przy końcu mej opowieści. Chciałem też złożyć niejako tą moją pracą nowy przyczynek do zgłę-

bienia tej kwestyi. Dokonawszy tego w miarę możliwości, zapytuję teraz, ile jest wart ten dokument?

Nadmieniłem już na początku, że spisując ten rodzaj pamiętnika, zebrać chcę szereg spostrzeżeń. Pierwszą i zasadniczą zaletą pamiętnika jest dokładność. Staralem się też być ścisłym; mogę sobie oddać sprawiedliwość pod tym względem. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że w miarę, jak minione wypadki powracały mi pod pióro, jako wskrzeszony obraz, ogarniał mię rosnący niepokój, a nie był to stan sprzyjający ściśle naukowemu roztrząsaniu kwestyi. Łzy, przelane nad mikroskopem, zaćmiewać muszą pole widzenia. Spróbuję więc teraz przynajmniej spojrzeć na całą sprawę chłodno i z bezstronnością, niezbędną dla zachowania obiektywizmu.

Streśmy więc fakty, które udało mi się stwierdzić obserwacją, jako szereg spostrzeżeń. Ugrupować się one dadzą jako dwie równoległe kategorie zjawisk.

Z jednej strony widzimy człowieka niepospolitego, jakim był Ortegue, wyposażonego w niezwykłe zdolności umysłowe, obsypanego hojnie wszystkimi darami losu. Śmierć staje nagle przed nim, jako konieczność. Przyjmuje ją na podstawie pewnej z góry powziętej doktryny, do której wszakże nie umie się przystosować. Śmierć jest w jego przekonaniu bezwzględnie unicestwieniem całej

jego psychiki intelektualnej. Zostaną po nim wprawdzie uczniowie, którzy przedłużą niejako jego działalność, i chorzy, którym zdrowie przywrócił; pamięć jego nie zginie, ale cały bezcenny dorobek pracy duchowej jego myśli, cały skarb nagromadzonych refleksyj i ta zdolność zespolenia własnej osoby z prawami odwiecznymi, które poznał, wszystko to roztopi się, rozplynie w otchłannej nicości. Jest to absolutny rozpad osobowej jego istoty. Przyjmuje w końcu ten stan rzeczy z pewną nawet patetyczną wielkością, ale w wielkości tej tkwi tylko spiorunowana otrzymanym ciosem rezygnacya. Umysł jego ugina się przed koniecznością gestem bezradnej rozpacz, pod naciskiem niezmożonej siły, tem potworniejszej w jego oczach, że wytworzyła go po to tylko, aby go teraz zgnieść.

Tak przedstawia się wypadek pierwszej kategorii.

Przejdźmy teraz do drugiej. Le Gallic, to człowiek czynny w skromnym zakresie. Jego duchowy światopogląd jest również skromny, a przynajmniej uchodzi za taki, bo nie wytworzył sobie sam swej doktryny, lecz przejął już gotową, za co Ortegue go lekceważy. Czy pogarda ta jest słuszną? Le Gallic wnosi bezwiednie do swego pojmowania życia sumę odwiecznego empiryzmu. Przed nim także staje nagle konieczność śmierci, ale tradycyjna jego doktryna pozwala mu nie



tylko przyjąć tę konieczność, ale i znaleźć w niej podniecie do nowego wysiłku duchowego, nową sposobność do wzbogacenia siebie i innych.

Psychika jego uczuciowa godzi się z doktryną, która pozwala mu cierpieć celowo i ofiarować cierpienie swoje i skon, jako ofiarę, która odbije się na innych, przyniesie korzyść tym, których kocha. Psychika jego umysłowa godzi się z nią również, co sam stwierdza, mówiąc o swem zbawieniu. Bo i czemże jest zbawienie, jeśli nie utrzymaniem przy życiu najlepszej części naszego jestestwa? To też rezygnacya jego jest w gruncie radością, entuzjazmem, miłością. Gdzie tamten słabnie, on zwycięża i tryumfuje, gdzie tamten przeczy sam sobie, on stwierdza swą indywidualność. Dla takiego Ortegue'a śmierć jest wypadkiem równającym się katastrofie, złośliwą pułapką i niedorzecznością, dla Le Gallica to tylko ostateczne dopełnienie życia.

Jaki stąd wniosek?

Oto, że wybierając pomiędzy dwoma hipotezami, których stosowanie w praktyce miałem sposobność oglądać zbliska u tych dwóch ludzi, jedna jest zdalna do zużytkowania, druga nie. Rozumiem sam, że konkluzya ta jest tak niezłożona, że się może komuś wydać błahą; ale to już wypływa z pokroju mego umysłu, że takiej przedewszystkiem szukam. Przyzwyczajony do praktyki klinicznej, uważam zastosowanie danego śro-

dka w praktyce za jedyne dowód, stwierdzający trafność danej teorii. W medycynie uznają za prawdę jedynie tezę sprawdzoną, to jest działającą w praktyce, słowem eksperymentalną. Z tego punktu widzenia, jakkolwiek może się to komuś wydać dziwnem, stanowisko takiego Le Gallie bardziej jest naukowe niż Ortegue'a, bardziej zbliżone do zasady Magendiego. Ten ostatni, pokazując pewne doświadczenie Tiedemanowi, usłyszał od niego zarzut: „A prawo Richeta?“ — „Cóż mię obchodzi to prawo — odparł na to Magendie. Widocznie ono się myli, skoro doświadczenie moje mówi inaczej“.

Streszczając raz jeszcze analizę z wyników mego doświadczenia, wyciągam z nich jeszcze nowy wniosek. Śmierć niema sensu, jeżeli jest tylko końcem wszystkiego; posiada przeciwnie głębszy sens i znaczenie, jeżeli jest ofiarą. Mówiąc nawiasem, ofiara poniesiona musi mieć także swój sens, głębszy i zrozumiałe znaczenie. W poszczególnych wypadkach takiego na przykład Delanoe, lub Dufoura, którzy oddają życie swe za ojczyznę, w okopach strzeleckich, sens tej ofiary jest całkiem jasny, a suma ich poświęceń stanowi o wartości wojska. Z drugiej strony jednak jest to poświęcenie terażniejszości na rzecz przyszłości, a skądże przyszłość przychodzi do tego, aby posiadać takie przywileje?

Przyczyną jest tu kategoriyczny imperatyw, wydany nam przez sumienie, które samo odbiera go skądinąd. Ale skąd? I oto powracamy do pytania, jakie rzuciła mi pani Ortegue: skąd? A następnie są wypadki, w których ofiara poniesiona nie daje bezpośredniego rezultatu, a istota, dla której poświęcenie było dokonane, nie wie o niem. Pani Ortegue wprawdzie znalazła się na czas u wezgłowania swego kuzyna, aby usłyszyć z ust jego, że oddaje życie swoje dla niej, ale mogła też nie dowiedzieć się o tem. Codziennie dowiadujemy się o śmierci żołnierzy, którzy zginęli, oddając życie za towarzyszy broni, którzy mogą o tem nie wiedzieć i mogą nawet zginąć mimo to. Nie mniej przeto ofiara miała miejsce. Aby więc ofiara miała sens i znaczenie, musi być ktoś w braku ludzkich świadków, kto wie o tej ofierze i zachowa w pamięci czyn człowieka, który się poświęcił za drugiego człowieka, mimo że tamten o nim nie wie. Jeśli nie istnieje taki świadek nieznanych ofiar, to i ofiary te jakby nie istniały, a przecież wszystko w nas buntuje się przeciw takiemu postawieniu sprawy. Z drugiej strony ten świadek, ta świadomość, to sumienie, które sądzi czyny i przechowuje o nich pamięć, nie zostało odkryte w świecie fizycznym. Czy stąd mamy wnioskować, że ono wcale nie istnieje, czy przeciwnie

jest to dowód, że doświadczenia fizyczne nie wyczerpują całej sumy realnych zjawisk?

Przypomniałem sobie zdanie, jakie wypowiedział raz w mojej obecności uczony amerykański fizyolog, Wiliam James, jeden z najszerzszych, a jednocześnie najściślejszych umysłów, jakie spotkałem, liczący się przytem niezmiernie ze znaczeniem faktu. „Wierzę — rzekł on — że przez obcowanie z ideałem, wstępuje na świat nowa energia, która daje początek nowym zjawiskom“. Co rozumiał przez ideał? Siłę, skoro jest siłą, źródło świadomości, a więc jest świadomość, źródło miłości, a więc jest miłość. Nie może też istnieć w pochodnych formach coś, co nie istniało zasadniczo w ich pierwobycie. Ten sam Wiliam James mówił jeszcze o wyższej naszej psychice, „że jest ona częścią składową czegoś, co jest większe od niej, ale jest tej samej natury“, czegoś, co działa we wszechświecie na zewnątrz nas i może nam przyjść z pomocą.

— Ależ to początek naszego „Credo“, zredagowanego tylko w innych słowach — rzekł na to ksiądz Courmont, skorom mu powtórzył te zdania Wiliama Jamesa. „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego“, a więc w coś większego, a tej samej natury, i co może nam przyjść z pomocą. Wiliam James mówi o nowej energii, która wstępuje na świat, a cóż innego twierdzimy powtarzając „Zstał z niebios dla nas“?

Słucham tych słów księdza i nie mogę mu zaprzeczyć, odkąd byłem świadkiem śmierci Ernesta, Le Gallic i Ortegue'a, odkąd widziałem bogactwo i pełnię duchową pierwszego tego zgonu i rozpaczliwy stoicyzm drugiego, tak zda się obnażony z wszelkiej pociechy. Nie mogę mu przeczyć, że tak rzekę eksperymentalnie, wtedy także, gdy mając zapewne na myśli niepokój duchowy pani Ortegue, a może i mój, bo jest dość przenikliwy, aby go dostrzedz, powiada:

— Biedne, biedne dusze współczesne. Z jakimże bólem szukają prawdy, która jest tuż przy nich. Ale nie jestże już ten sam ból poszukiwania modlitwą? Bóg jest najbliżej nas w chwili właśnie, gdy odczuwamy brak Jego.

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



~~BIBLIOTEKA  
URZĘDNIK TOW. ...  
SEKCYJA ...  
... W KRAKOWIE~~





